

Philip K. Dick

**KLANY
KSIĘŻYCA ALFY**



DICK PHILIP K.

Klany księżycy Alfy

(tłumaczyła Agata Dudkiewicz)

PHILIP K. DICK

SCAN-dał

1

Zanim wszedł do gabinetu zgromadzenia, Gabriel Baines wysłał przodem klekoczącego symulakrona, chcąc sprawdzić, czy nie zostanie zaatakowany. Symulakron, tak zręcznie skonstruowany, że przypominał go w każdym szczególe, od kiedy został wyprodukowany przez pomysłowy klan Mansów, robił już wiele rzeczy, ale Baines używał go jedynie dla własnej ochrony. Zapewnienie sobie bezpieczeństwa było jedynym celem jego życia, roszczeniem do członkostwa w enklawie Pare w Adolville na północnym krańcu księżycy.

Baines, rzecz jasna, wielokrotnie bywał poza Adolville, ale bezpiecznie, czy raczej stosunkowo bezpiecznie, czuł się jedynie tutaj, w obrębie grubych murów miasta Pare. Dowodziło to, iż jego chęć przynależności do klanu Pare nie była wynikiem kombinacji, dzięki którym mógł dostać się do któregośkolwiek z masywnych, solidnie zbudowanych okręgów miejskich. Baines niewątpliwie był szczery, jeżeli w ogóle ktoś mógłby mieć co do niego jakiegokolwiek wątpliwości.

Na przykład jego wizyta w obskurnych norach Hebów, gdy poszukiwał zbiegłych członków brygady pracowniczej.

Byli Hebami, więc prawdopodobnie powrócili do Gandhitown.

Problem jednakże polegał na tym, że wszyscy Hebowie, przynajmniej dla niego, wyglądali identycznie: zgarbione istoty w poplamionych ubraniach, chichoczące i niezdolne skoncentrować się na jakiegokolwiek skomplikowanej czynności. Byli użyteczni jedynie jako siła robocza, nic więcej. Ale w Adolville, gdzie nieustannie trzeba udoskonalać fortyfikacje przed najazdami Mansów, siła robocza była zawsze potrzebna. A żaden Pare nie zabrudziłby sobie rąk. W każdym razie między rozpadającymi się chatami Hebów czuł paniczny strach, jako reakcję tej części osobowości, która narażona była na największe wpływy z zewnątrz. Siedlisko Hebów było zamieszkanym śmietnikiem pełnym kartonowych domów. Oni jednak nie protestowali, żyli wśród własnych śmieci w niezmałconej równowadze.

Tutaj, na odbywającym się dwa razy w roku zebraniu wszystkich klanów, Hebowie oczywiście będą mieli swojego rzecznika. Prawdopodobnie w tym roku znowu będzie to gruba Sarah Apostoles. Baines, przemawiając w imieniu Pare, znajdzie się w jednym pomieszczeniu z odpychającym – mówiąc dosłownie – Hebem. Nie przydawało to godności jego zadaniu.

Więszą jednak obawę budził w nim reprezentant Mansów, ponieważ Baines, jak każdy Pare, panicznie się ich bał. Szokowała go ich bezmyślna agresywność. Nie mógł jej pojąć, gdyż była bezcelowa. Lubowali się w przemocy, znajdowali wręcz perwersyjną przyjemność w niszczeniu przedmiotów i zastraszaniu ludzi, szczególnie Pare, do których należał.

Świadomość tego, jacy są Mansowie, niczego nie ułatwiała – ciągle drżał na samą myśl o mającej nastąpić konfrontacji z Howardem Strawem, ich delegatem.

Sapiąc astmatycznie, symulakron powrócił. Na jego twarzy, imitującej oblicze Bainesa, przyklejony był sztuczny uśmiech.

–Wszystko w porządku. Szkodliwych gazów nie ma, nie ma też substancji trujących w dzbanie z wodą, otworów strzelniczych na karabiny maszynowe i maszyn piekielnych. Nie istnieje też zagrożenie wyładowań elektrycznych. Może pan bezpiecznie wejść – klekotał chwilę aż do całkowitego zatrzymania; potem zamilkł.

–Nikt się do ciebie nie zbliżał? – spytał ostrożnie Baines.

–Nikogo jeszcze tam nie ma – odparł symulakron. – Z wyjątkiem oczywiście Heba zamiatającego podłogę.

Baines szybkim ruchem otworzył drzwi i ujrzał Heba. Mężczyzna zamiatał we właściwy sobie sposób, powoli i jednostajnie. Miał zwyczajny, głupi wyraz twarzy, jak gdyby bawiła go ta praca. Prawdopodobnie mógłby ją wykonywać bez znudzenia miesiącami. Hebowie nie męczyli się swoimi zadaniami, gdyż nie pojmowali nawet idei różnorodności. Oczywiście – zastanawiał się Baines – w tej prostocie była jakaś zaleta. Na przykład duże wrażenie wywarł na nim słynny święty Hebów, Ignatz Ledebur. Emanowała z niego ogromna siła duchowa, kiedy tak wędrował z miasta do miasta, rozsiewając ciepło swej niewinnej osobowości Heba. Ten z pewnością nie budził uczucia zagrożenia...

Hebowie, nawet ich święci, nie starali się nawracać ludzi, jak to czynili mistycy Skitzów. Jedno, czego pragnęli, to żeby pozostawiono ich w spokoju. Ich życie z roku na rok stawało się coraz mniej skomplikowane. Wegetacja na poziomie warzywa była ich ideałem.

Po sprawdzeniu swego pistoletu laserowego Baines zdecydował się wejść. Ostrożnie wkroczył do gabinetu zgromadzenia, usiadł, po czym nagle zmienił miejsce na inne. Tamto było za blisko okna – stanowiłby zbyt wygodny cel dla kogoś znajdującego się na zewnątrz. By zająć się czymś, w oczekiwaniu na pozostałych, postanowił podrażnić się z Hebem.

–Jak się nazywasz? – zapytał.

–J-jacob Simion – odpowiedział Heb, nie przestając zamiatać z tym samym głupim uśmiechem. Heb nigdy nie zdawał sobie sprawy, że ktoś mu dogryza, lecz nawet jeżeli o tym wiedział, nie przejmował się. Apatia wobec wszystkiego, to był ich sposób na życie.

–Lubisz swoją pracę, Jacob? – spytał Baines, zapalając papierosa.

–Jasne – odparł Heb i zachichotał.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich ładna, pulchna Annette Golding z torebką pod pachą, delegatka Poly. Jej okrągła twarz była zarumieniona, a zielone oczy błyszczały, gdy chwyciła oddech.

–Myślałam już, że się spóźniłam – powiedziała.

–Nie. – Baines podniósł się, podając jej krzesło. Obrzucił ją fachowym spojrzeniem. Nic nie wskazywało, że przyniosła ze sobą broń. Mogła jednak mieć śmiertelne zarodki w kapsułkach ukrytych w ustach. Uznał, że tak było, i przesiadł się, wybierając krzesło na dalekim końcu wielkiego stołu. Dystans... to najważniejsze.

–Gorąco tu – powiedziała Annette, wyraźnie spocona. – Przebiegłam całe schody. – Uśmiechnęła się do niego szczerze, jak to zwykli robić niektórzy Poly. Nie uważał, że jest atrakcyjna... chociaż, gdyby trochę schudła... Niemniej jednak lubił Annette i wykorzystał sposobność, by trochę się z nią podroczyć. Rozmowa miała delikatne zabarwienie erotyczne.

–Annette – powiedział – jesteś tak miłą i sympatyczną osobą. Szkoda, że nie masz męża. Gdybyś wyszła za mnie...

–Tak, Gabe – odparła, uśmiechając się – czułabym się bezpiecznie. Papierek lakmusowy w każdym kącie, pulsujące analizatory atmosfery, ekwipunek na wypadek oddziaływania promieniowania maszyn...

–Bądź poważna – powiedział Baines zagniewany. Zastanawiał się, ile mogła mieć lat. Z pewnością nie więcej niż dwadzieścia. I, jak wszyscy Poly, wyglądała dziecinnie. Poly nie dorastali, nie zmieniali się z upływem czasu. Bo na czym polegało bycie Poly, jeżeli nie na sztucznym przedłużaniu dzieciństwa? W końcu wszystkie dzieci, z każdego klanu na księżycu, rodziły się jako Poly, chodziły do wspólnej centralnej szkoły jako Poly i nie zmieniały się do dziesiątego czy dwunastego roku życia. A niektóre, jak ona, nigdy nie miały się zmienić.

Annette otworzyła torebkę, wyjęła z niej paczuszkę cukierków i zaczęła łapczywie jeść.

–Jestem zdenerwowana – wyjaśniła – więc muszę jeść. Podaje paczuszkę

Bainesowi, ale uprzejmie odmówił – w końcu

nigdy nic nie wiadomo. Chronił swoje życie przez trzydzieści pięć lat i nie zamierzał go stracić pod wpływem głupiej zachcianki. Wszystko powinno być uprzednio przemyślane i zaplanowane, jeżeli chciał przeżyć drugie tyle.

–Mam nadzieję, że Louis Manfredi w tym roku ponownie będzie reprezentował klan Skitzów – powiedziała Annette. – Zawsze go lubiłam. Ma tyle interesujących rzeczy do powiedzenia. Bestie z ziemi i nieba, potwory, które walczą pod ziemią... – Zamyślona ssała twardego cukierka. – Czy myślisz, że wizje Skitzów są prawdziwe, Gabe?

–Nie – odpowiedział szczerze Baines.

–W takim razie, dlaczego wciąż rozmawiają i myślą o nich? Przynajmniej dla nich są rzeczywiste.

–Mistycyzm – rzekł Baines pogardliwie. Wciągnął powietrze i poczuł jakiś nienaturalny zapach, coś słodkiego. Zdał sobie sprawę, że pochodzi on z włosów Annette i odetchnął. Może o to właśnie chodzi – pomyślał nagle, znów czujny.

–Masz ładne perfumy – powiedział nieszczerze. – Jak się nazywają?

–„Noc dzikości” – odparła Annette. – Kupiłam je od handlarza z Alfa II. Kosztowały mnie dziewięćdziesiąt skórów, ale pachną pięknie, nie uważasz? Miesięczna pensja. – Z jej oczu wycierał smutek.

–Wyjdź za mnie – zaczął znowu Baines, a potem urwał.

Pojawił się reprezentant Depów. Stał w drzwiach, a jego wytrzeszczone oczy, w pełnej przerażenia twarzy, zdawały się przeszywać Bainesa na wylot.

–Dobry Boże – jęknął Gabriel, nie wiedząc, czy współczuć biednemu Depowi, czy żywić dla niego pogardę. W końcu mężczyzna mógłby nabrać werwy, wszyscy Depowie mogliby, gdyby mieli trochę odwagi. Ale odwaga była uczuciem nie znanym mieszkańcom kolonii z południa. Ten rzeczywiście wykazywał całkowity jej brak. Zawahał się przy drzwiach, bojąc się wejść, tak obojętny na swój los, że zrobiłby każdą rzecz, nawet taką, której się bał. Podczas gdy Ob-Com na jego miejscu po prostu policzyłby do dwudziestu, odwróciłby się i uciekł.

–Proszę wejść – nakłaniała Annette, wskazując krzesło.

–Jaki jest sens naszej rozmowy? – zapytał Dep i wszedł powoli, pochylony, zdesperowany. – Zadajemy sobie tylko ból. Nie widzę powodu rozpętywania kolejnych awantur. – Usiadł zrezygnowany z pochyloną głową i ciasno zwartymi

rękami.

–Jestem Annette Golding – powiedziała Annette. – A to jest Gabriel Baines, Pare. Ja jestem Poly. Ty jesteś Depem, czyż nie? Wnioskuje ze sposobu, w jaki gapisz się w podłogę – zaśmiała się ze zrozumieniem.

Dep nie odpowiedział, nie wymienił nawet swojego imienia.

Mówienie (o czym Baines dobrze wiedział) było dla Depów niezwykle trudne – mieli problemy z zebraniem energii. Ten Dep przyszedł wcześniej prawdopodobnie ze strachu przed spóźnieniem. Nadgorliwość wynikająca z obawy. Baines nie lubił ich. Byli bezużyteczni dla siebie i dla innych klanów. Po co w ogóle żyli? W przeciwieństwie do Hebów nie mogli nawet służyć jako robotnicy. Kładli się na ziemi i patrzyli w niebo niewidzącymi oczami, pozbawieni nadziei.

Pochylając się do Bainesa, Annette powiedziała miękko:

–Rozchmurz go.

–W życiu tego nie zrobię! – odparł Baines. – Co mnie to obchodzi? To jego wina, że jest, jaki jest. Mógłby się zmienić, gdyby chciał. Mógłby uwierzyć w dobro, gdyby zadał sobie trud. Jego los nie jest gorszy niż kogokolwiek z nas, może nawet lepszy. W końcu pracuje w ślimaczym tempie. Chciałbym wykonywać rocznie tak mało pracy, jak przeciętny Dep.

Przez otwarte drzwi weszła wysoka blondynka w średnim wieku ubrana w długi, szary płaszcz. Była to Ingrid Hibbler, Ob-Com. Liczyła szeptem, idąc dookoła stołu i dotykając kolejno każdego krzesła. Baines i Annette czekali, a Heb, zamiatając podłogę, podniósł głowę i zachichotał. Dep patrzył w dół, nic nie widząc. W końcu panna Hibbler znalazła krzesło, którego numer ją usatysfakcjonował, odsunęła je i usiadła sztywno ze ściśniętymi rękami. Jej palce poruszały się szybko, jakby robiła na drutach niewidzialny ubiór ochronny.

–Na parkingu wpadłam na Strawa – powiedziała i zaczęła cicho liczyć. – Ci Mansowie... Och, jest okropny, prawie przejechał po mnie. Musiałam... – przerwała. – Nieważne. Trudno pozbyć się jego aury, kiedy raz cię zakazi. – Zadrzała.

Annette odezwała się nie wiadomo do kogo:

–Jeżeli w tym roku Manfred ponownie jest delegatem Skitzów, prawdopodobnie wejdzie przez okno zamiast przez drzwi – zaśmiała się wesoło. Heb jej zawtórował. – I oczywiście czekamy na Heba – dodała.

–Ja jestem d-delegatem z Gandhitown – rzekł Heb, Jacob Simion, monotonicznie poruszając miotłą. – M-myślałem, że pozamiatam trochę, kiedy będę cz-czekał –

uśmiechnął się do nich otwarcie.

Baines westchnął. Reprezentant Hebów, dozorca. Ale oni wszyscy tacy byli, nawet jeżeli nie w tej chwili, to potencjalnie. Więc pozostał jeszcze tylko Skitz i Mans, Howard Straw, który przybędzie, jak tylko skończy krążyć po parkingu, strasząc przybywających delegatów. Lepiej by było, gdyby nie próbował mnie nastraszyć – pomyślał Baines. Laserowy pistolet przy pasie nie był zabawką, poza tym sym tylko czekał w holu na jego sygnał.

–Czego będzie dotyczyć dzisiejsze spotkanie? – zapytała Ob-Com, panna Hibbler, i nagle zaczęła liczyć z zamkniętymi oczami: – Raz, dwa. Raz, dwa.

–Krąży pogłoska – powiedziała Annette – że zauważono dziwny statek. Nie jest to statek handlowy z Alfa II. Jesteśmy tego prawie pewni. – Wciąż jadła cukierki z takim zacięciem, że skończyła już prawie całą torebkę. Wiedział, że Annette, miała jakieś zaburzenia w pracy mózgu, pewną odmianę syndromu żarłoczości. I za każdym razem, kiedy była zdenerwowana, jej stan znacznie się pogarszał.

–Statek – powiedział Dep, budząc się z odrętwienia. – Może to wydobędzie nas z tego bałaganu.

–Jakiego bałaganu? – spytała panna Hibbler.

–Przecież wiesz – odparł Dep, poruszając się. To było wszystko, na co mógł się zdobyć. Potem znów zamilkł i zapadł w swą ponurą śpiączkę.

Dla Depów zawsze wszystko było bałaganem. I oczywiście oni także bali się zmian. Pogarda Bainesa wzrosła, gdy zdał sobie z tego sprawę. Ale – statek. Jego wzgarda zmieniła się w przerażenie. Czy to prawda?

Straw, Mans będzie wiedział. W Da Vinci Heights Mansowie opracowali urządzenia do obserwacji przybywających pojazdów. Prawdopodobnie informacja ta przyszła stamtąd, jeżeli oczywiście mistycy Skitzów nie przewidzieli tego w swojej wizji.

–To pewnie podstęp – powiedział głośno Baines. Wszyscy w gabinecie, z ponurym Depem włącznie, spojrzeli na niego. Nawet Heb na moment przestał zamiatać.

–Mansowie gotowi są na wszystko – wyjaśnił Baines. – To ich sposób na uzyskanie przewagi nad resztą nas. Wyrównywanie długów.

–Za co? – spytała panna Hibbler.

–Wiesz, że Mansowie nienawidzą nas wszystkich – powiedział Baines. – Są pozbawieni ogłady. Barbarzyńscy brutale, nie myci bojówkarze, którzy sięgają po strzelbę, ilekroć usłyszą słowo „kultura”. Mają to zakorzenione w swej przemianie

materii.

Ale to jeszcze niczego nie wyjaśniło. Szczerze mówiąc, nie wiedział, dlaczego Mansowie tak bardzo starają się zranić wszystkich dookoła, jeżeli nie wynikało to, jak głosiła jego teoria, z czystej przyjemności zadawania bólu. Nie – pomyślał – to musi być coś więcej. Złość i zawiść. Muszą nam zazdrościć, bo wiedzą, że kulturowo stoimy wyżej od nich. Tak zmienne jest Da Vinci Heights; nie ma tam żadnego porządku, żadnej estetycznej jedności. Galimatias niekompletnych, tak zwanych „twórczych” projektów, zaczętych, lecz nigdy nie ukończonych.

–Straw jest troszkę gruboskórny, przyznaję – powiedziała wolno Annette. – Nawet trochę zwariowany. Ale dlaczego miałby meldować o obcym statku, gdyby go nie widział? Nie podałeś żadnego jasnego wytłumaczenia.

–Ale ja wiem – twierdził Baines uparcie – że Mansowie, a szczególnie Howard Straw, są przeciwko nam. Powinniśmy się bronić przed... – przerwał, bo drzwi się otworzyły i do gabinetu obcesowo wkroczył Howard Straw.

Rudy, wielki i muskularny uśmiechał się szeroko. Jego nie obchodziło pojawienie się obcego statku na ich małym księżycu. Czekano jeszcze tylko na Skitza, który jak zwykle mógł się spóźnić godzinę. Mógł gdzieś wędrować w transie, zatopiony w swych wizjach prototypowej rzeczywistości, kosmicznych sił pierwotnych stanowiących podstawę doczesnego wszechświata, jego wiecznej wizji tak zwanego Urwelt.

–Równie dobrze możemy już zaczynać – zdecydował Baines, na tyle, na ile pozwalała mu na to obecność Strawa. I panny Hibbler. W gruncie rzeczy nie zwracał uwagi na żadne z nich, może z wyjątkiem Annette, tej o obfitych, wyrazistych piersiach. Ale to do niczego nie prowadziło.

Nie była to jego wina, wszyscy Poly byli tacy. Nikt nigdy nie potrafił przewidzieć, którą wybiorą drogę. Żyli celowo na opak, w sposób nie odpowiadający prawom logiki. Ale przy tym nie byli ćmami jak Skitzowie ani pozbawionymi mózgu maszynami jak Hebowie. Byli prawdziwie żywi. To było to, co mu się podobało w Annette – jej ożywienie i świeżość.

W rzeczywistości sprawiała, że czuł się sztywny, zamknięty w grubej, żelaznej skorupie jak jakaś archaiczna broń z bezsensownej, starożytnej wojny. Miała dwadzieścia lat, on trzydzieści pięć. Być może w tym tkwiła przyczyna. A potem pomyślał: „Założę się, że ona chce, abym czuł się w ten sposób. Ona umyślnie stara się, bym czuł się źle”.

I jak na zawołanie poczuł do niej lodowatą, wyrachowaną nienawiść Pare.

Annette, udając, że niczego nie zauważyła, nadal wyjadała resztki ze swej torebki z

cukierkami.

Delegat Skitzów na naradę zgromadzenia w Adolfville, Omar Diamond, przyglądając się krajobrazowi świata, ujrzał dwa bliźniacze smoki – czerwonego i białego, życia i śmierci. Smoki, zwarte w walce, sprawiały, że równina się trzęsła, a niebo ponad nią rozstąpiło się i pomarszczone, jakby gnijące, szare słońce przyniosło zbyt małą ulgę światu, szybko tracącemu swój skąpy zapas życia.

–Stójcie – powiedział Omar, podnosząc rękę i zwracając się do smoków.

Mężczyzna i kobieta o falujących włosach, idący chodnikiem, zatrzymali się.

–Co mu się stało? Czy on coś robi? – spytała dziewczyna, spoglądając z odrazą.

–To tylko Skitz – odpowiedział rozbawiony mężczyzna. – Zatopiony w swoich wizjach.

–Odwieczna wojna wybuchła na nowo – nawoływał Omar. – Moce życia gasną. Czy żaden człowiek nie podejmie rozstrzygającej decyzji, nie wyrzeknie się swego życia, aby je odnowić?

–Wiesz, można im zadawać różne pytania i czasami dostaje się interesujące odpowiedzi – mężczyzna roześmiał się, mrugając do żony. – No, dalej, zapytaj go o coś. Tylko o coś wielkiego i ogólnego, na przykład: „Jakie jest znaczenie egzystencji?”, a nie: „Gdzie wczoraj zgubiłam nożyczki?” – nalegał.

Kobieta ostrożnie zwróciła się do Omara:

–Przepraszam, zawsze zastanawiałam się, czy istnieje życie po śmierci?

–Nie ma śmierci – odpowiedział Omar. Był zaskoczony pytaniem, dowodziło ono bowiem wielkiej ignorancji. – To co widzisz, co nazywasz „śmiercią”, jest jedynie fazą kiełkowania, w której nowa forma życia drzemie, czekając wezwania do przyjęcia kolejnej inkarnacji. – Podniósł ramiona, wskazując. – Widzisz? Nie można zabić smoka śmierci, nawet jeżeli jego krew spływa czerwienią po trawie. Jego nowe postacie powstają do życia ze wszystkich stron. Z ziarna zasianego w ziemi kiełkuje roślina. – Ruszył dalej, pozostawiając mężczyznę i kobietę. – Muszę iść do sześciopiętrowego kamiennego budynku – powiedział do siebie. – Czekają tam zgromadzenie. Howard Straw, barbarzyńca. Panna Hibbler, zrzęda, uwięziona przez liczby. Annette Golding, ucieleśnienie samego życia, zanurzająca się we wszystko, co pozwoli jej istnieć. Gabriel Baines, który zniewolony jest przez konieczność obrony przed tym, co nie atakuje. Prosty człowiek z miotłą, który bliższy jest Boga niż ktokolwiek z nas. I ten smutny, który nigdy nie patrzy do góry, człowiek nawet bez imienia. Jak go nazwę? Może Otto. Nie, chyba Dino. Dino Watters. Oczekuje śmierci, nie wiedząc, że żyje oczekiwaniem pustego widma, bo nawet śmierć nie

może go uchronić przed samym sobą.

Stojąc u stóp sześciopiętrowego budynku, największego w osadzie Pare – Adolfville, lewitował. Balansował naprzeciwko właściwego okna, skrobiąc w nie paznokciem, dopóki ktoś mu nie otworzył.

–Pan Manfredi nie przybędzie? – spytała Annette.

–W tym roku to niemożliwe – wyjaśnił Omar. – Przeniósł się do innego królestwa i przez cały czas po prostu siedzi. Karmią go przez nos.

–Och – powiedziała Annette i wzdrygnęła się. – To katatonia.

–Zabijcie go – powiedział opryskliwie Straw – i będziecie to mieli z głowy. Ci Skitzowie są gorzej niż beużyteczni. Zachowują się jak Joanna D’Arc. Nic dziwnego, że wasza osada jest taka uboga.

–Materialnie jest uboga – zgodził się Omar – ale bogata w wartości nieśmiertelne.

Trzymał się daleko od Strawa, w ogóle nie zwracając na niego uwagi. Nie odpowiadała mu jego pasja niszczenia wszystkich wokół. Okrucieństwo to wynikało z zamiłowania, a nie z potrzeby. Jego zło pochodziło ze świadomego, dobrowolnego wyboru.

Z drugiej strony, znajdował się tam Gabriel Baines. Jak wszyscy Pare potrafił być okrutny, ale był zniewolony. Przejęty chronieniem własnej skóry, naturalnie popełniał błędy. W przeciwieństwie do Strawa, nie można go było jednak ganić.

Zajmując miejsce, Omar powiedział:

–Błogosławione niech będzie zgromadzenie. A więc raczej posłuchajcie wieści o właściwościach dających życie, niż o działaniach smoka zła. – Odwrócił się do Strawa. – Jakie są wiadomości, Howardzie?

–Uzbrojony statek – powiedział Straw z szerokim, chytrym uśmiechem. Bawił go ich zbiorowy niepokój. – Nie statek handlowy z Alfa II, ale z całkowicie innego systemu. Przechwyciliśmy ich myśli. Nie dotyczą one żadnej misji handlowej, tylko... – z satysfakcją urwał, nie kończąc zdania. Chciał zobaczyć, jak wiją się przed nim.

–Musimy się bronić – powiedział Baines.

Panna Hibbler przytaknęła, a po niej niechętnie uczyniła to Annette. Nawet Heb przestał zamiatać i wyglądał na zaniepokojonego.

–My w Adolfville – mówi Baines – oczywiście zorganizujemy obronę. Zwrócimy się

do twoich ludzi, Straw, po pomysły techniczne. Wiele od was oczekujemy. To jedyny raz, gdy chcemy, abyście dla naszego wspólnego dobra rzucili swój los na szalę.

–„Wspólne dobro” – przedrzeźniał go Straw. – Chodzi ci o „nasze” dobro.

–Mój Boże – powiedziała Annette. – Czy zawsze musisz być tak nieodpowiedzialny, Straw? Czy nie możesz choć raz zdać sobie sprawy z konsekwencji? Pomyśl przynajmniej o naszych dzieciach. Musimy, jeżeli nie siebie, to chociaż je ochronić.

–Niech moce życia powstaną i zatriumfują na polu bitwy. Niech biały smok umknie czerwonej plamie pozornej śmierci – modlił się cicho Omar Diamond. – Niech ten świat stanie się bezpiecznym łonem i strzeże nas od tych, którzy są w obozie piekła.

I nagle przypomniał sobie obraz, który ujrzał, gdy szedł na naradę zgromadzenia – zwiastun przybycia wroga. Strumień wody zamienił się w krew, kiedy go przekroczył. Teraz wiedział już, co znaczyła owa wizja. Wojna i śmierć, być może zniszczenie Sześciu Klanów

i ich sześciu miast – sześciu, jeżeli nie liczyć śmietnika, który był przestrzenią życiową Hebów.

–Jesteśmy zgubieni... – mamrotał chrapliwie Dino Watters. Wszyscy patrzyli na niego, nawet Jacob Simion, Heb. Jakież to podobne do Depa.

–Wybacz mu – wyszeptał Omar.

I gdzieś w niewidzialnym królestwie duch życia usłyszał, odpowiedział i wybaczył na wpół umarłej istocie, jaką był Dino Watters z kolonii Depów, Cotton Mather Estates.

Ledwie rzuciwszy okiem na popękane ściany starego mieszkania, ukryte oświetlenie, które prawdopodobnie i tak już nie działało, archaiczne okno wizyjne i sfatygowaną, przestarzałą podłogę z płytek pochodzących jeszcze sprzed wojny koreańskiej, Chuck Rittersdorf powiedział: „Może być” i wyciągnął swoją książeczkę czekową, krzywiąc się na widok kominka z kutego żelaza; ostatni raz widział taki w roku 1970, kiedy był jeszcze dzieckiem.

Właścicielka tego walącego się budynku podejrzliwie zmarszczyła brwi, oglądając papiery identyfikacyjne Chucka.

–Wynika z tego, że jest pan żonaty, panie Rittersdorf, i ma pan dzieci. Nie może pan sprowadzić ich do tego mieszkania. Wyraźnie zaznaczyłam to w ogłoszeniu w homeogazecie: „magistrowi, pracującemu, niepijącemu i...”

–O to właśnie chodzi – powiedział znużony Chuck. Recepcjonistka, gruba kobieta w średnim wieku, ubrana w wenusjańską suknię ze skóry grających świerszczy i futrzane pantofle, budziła w nim odrazę. Stało się to już męczące.

–Jesteśmy z żoną w separacji. Dzieci zostały z nią. Dlatego właśnie potrzebuję tego mieszkania.

–Ale będą pana odwiedzać. – Jej purpurowo umalowane brwi uniosły się.

–Nie zna pani mojej żony – powiedział Chuck.

–Ależ na pewno będą. Znam te nowe federalne prawa rozwodowe. To już nie to samo co rozwody stanowe za starych czasów. Byliście już w sądzie? Dostaliście pierwsze dokumenty?

Wczoraj wyprowadzili się do hotelu, a przedwczoraj – to była ostatnia noc walki, by osiągnąć niemożliwe: żyć z Mary.

Podał recepcjonistce czek, a ona zwróciła mu kartę identyfikacyjną i wyszła. Zamknął od razu drzwi, podszedł do okna i spojrzał w dół na ulicę, na samochody, skoczki odrzutowe, rampy i tunele dla przechodniów. Niedługo będzie musiał zadzwonić do swego adwokata, Nata Wildera. Już wkrótce. Rozpad ich małżeństwa wyglądał na ironię; zawodem jego żony (a była w tym naprawdę dobra) było doradztwo w sprawach małżeńskich. Tutaj, w Marin County, w Kalifornii, gdzie prowadziła swoje biuro, cieszyła się dobrą opinią. Bóg jeden wie, ile rozpadających się związków uratowała, a jednak fatalnym zrzędzeniem losu to właśnie jej wspaniałe talenty i umiejętności spowodowały, że znalazł się w tym ponurym mieszkadle. Osiągnąwszy tak wiele, Mary nie mogła oprzeć się uczuciu pogardy dla niego, i w

ciągu lat uczucie to potęgowało się. Jego kariera – i musiał się z tym pogodzić – nie była nawet w części tak udana jak jej. Praca, którą zresztą bardzo lubił, polegała na programowaniu symulakronów dla agencji wywiadowczej rządu w Cheyenne, potrzebnych do ich niezliczonych akcji propagandowych, agitacji przeciwko stanom komunistycznym, otaczającym USA. Chuck głęboko wierzył w to, co robił, ale w żaden sposób nie można było uznać jego zajęcia za wysoko płatne czy też specjalnie chlubne. Programy, które sporządzał, były – delikatnie mówiąc – infantylne, fałszywe i stronicze. Skierowane były głównie do uczniów zarówno w USA, jak i sąsiednich stanach komunistycznych oraz do wielkiej liczby dorosłych o niskim wykształceniu. Rzeczywiście, odwaliał czarną robotę. I Mary wytykała mu to wiele razy. Najemnik czy nie, kontynuował swą pracę, mimo że w ciągu sześciu lat ich małżeństwa otrzymał wiele innych ofert. Być może robił to, dlatego że lubił słuchać swoich słów wypowiedzianych przez humanoidalne symulakrony, być może czuł, że to, co robi, jest niezbędne. USA było w defensywie, ekonomicznie i politycznie, i musiało programować symulakrony propagandowe, które na całym świecie służyć miały jako reprezentanci CIA, by agitować, przekonywać, oddziaływać. Ale...

Trzy lata temu nastąpił kryzys. Jednym z klientów Mary, uwikłanym w nieprawdopodobne problemy małżeńskie związane z obecnością w jego życiu trzech kochanek, był producent telewizyjny, Gerald Feld, twórca słynnego, jedyne w swoim rodzaju show telewizyjnego Bunny'ego Hentmana. Był też właścicielem większości popularnych komediowych programów telewizyjnych. Podczas jednego z nieoficjalnych spotkań, Mary pokazała Geraldowi kilka scenariuszy programów, które Chuck napisał dla lokalnego oddziału CIA w San Francisco. Feld przeczytał je z zainteresowaniem, bo (i to tłumaczyło wybór Mary) zawierały rzeczywiście duży ładunek humoru. Na tym polegał talent Chucka: układał coś więcej niż zwykłe pompatyczne programy... Mówiło się o nich, że tryskają humorem. I Feld zgodził się. Poprosił Mary o zorganizowanie spotkania z Chuckiem.

Teraz, stojąc przy oknie w małym nieciekawym mieszkadłe, do którego nie przyniósł nawet jednej zmiany ubrania, i patrząc na ulicę w dole, przypomniał sobie rozmowę z Mary. Dyskusja była wyjątkowo zjadliwa, typowa dla tego rodzaju rozmów; dobitnie uwidaczniała dzielącą ich przepaść.

Dla Mary sprawa była jasna: nadarza się możliwość pracy, więc powinno się ją dokładnie przemyśleć. Feld dobrze zapłaci, a Chuck zdobędzie niezwykle prestiż. Każdego tygodnia na końcu programu Bunny'ego Hentmana na ekranie ukazywać się będzie nazwisko Chucka jako scenarzysty i cały niekomunistyczny świat będzie mógł to zobaczyć. Mary – i to był klucz do całego problemu – mogłaby się nim wówczas szczycić, jako że zajęcie to byłoby wybitnie twórcze. A dla Mary kreatywność była furtką do sezamu życia. Praca dla CIA, programowanie symulakronów propagandowych, które wyszczekiwały wiadomości dla niewykształconych Afrykańczyków czy Azjatów, nie były twórcze. Informacje powtarzały się, a tak czy inaczej CIA cieszyło się złą sławą w liberalnych, bogatych

kręgach ludzi wykształconych, wśród których obracała się Mary.

–Jesteś jak dozorca na państwowej posiadzie, grabiący liście w parku satelitarnym – powiedziała rozwścieczona Mary. – Najłatwiej jest żyć w poczuciu bezpieczeństwa, bez konieczności walki. Masz trzydzieści trzy lata i przestałeś już próbować, nie starasz się zmienić siebie.

–Słuchaj – rzekł bezradnie. – Jesteś moją matką czy żoną? Czy to do ciebie należy zmuszanie mnie do działania? Czy ja muszę się rozwijać? Mam zostać przewodniczącym TERPLAN-u, czy o to właśnie ci chodzi?

Poza prestiżem i pieniędzmi chodziło o coś więcej. Najwyraźniej chciała, żeby był kimś innym. Ona, ta, która znała go najlepiej, wstydziła się go. Gdyby podjął pracę, pisząc dla Bunny'ego Hentmana, stałby się innym człowiekiem, tak przynajmniej rozumowała.

Nie mógł zaprzeczyć logice. Ale jak na razie obstawał przy swoim i nie zmienił pracy. Coś w nim było po prostu zbyt apatyczne. Na dobre czy złe. Musiała zajść zmiana w głębi duszy, a świadomość tego nie była dla niego łatwa.

Na zewnątrz na ulicy wylądował biały chevrolet delux, błyszczący nowy sześciordzwiowy model. Chuck przyglądał mu się leniwie i nagle z niedowierzaniem stwierdził, że – choć wydawało się to niemożliwe – była to jego eks-żona. Właśnie go znalazła.

Jego żona, doktor Mary Rittersdorf, miała mu złożyć wizytę.

Ogarnęło go przerażenie i narastające poczucie bezsilności. Nawet tego nie potrafił – znaleźć mieszkała tak, aby Mary nie mogła go odszukać. Za kilka dni Nat Wilder mógłby załatwić mu legalną ochronę, ale na razie był bezradny. Musiał przyjąć swoją byłą współmałżonkę.

Nietrudno było się domyślić, w jaki sposób go znalazła; średniej jakości usługi detektywistyczne były tanie i łatwo dostępne. Mary prawdopodobnie udała się do Wszędowściubów, agencji robotów, i wynajęła niuchacza. Wprowadziła mu do pamięci wykres fal mózgowych Chucka i automat podążał za nim we wszystkie miejsca, które odwiedził po rozstaniu z żoną. W tych czasach poszukiwanie ludzi stało się odrębną nauką. „Kobieta zdecydowana znaleźć cię – pomyślał – może uczynić to z łatwością”. Być może rządziło tym jakieś prawo; mógłby je nazwać Prawem Rittersdorfa. Proporcjonalnie do czyjegoś ukrycia się, ucieczki, usługi detektywistyczne...

Rozległo się pukanie do drzwi.

Podchodząc do nich niechętnie, na sztywnych nogach, pomyślał: „Wygłosi mi teraz

kazanie, w którym wykorzysta wszystkie możliwe argumenty. Ja, oczywiście, nie będę miał na nie żadnej odpowiedzi. Nic, oprócz uczucia, że po prostu już nie możemy być razem. Że jej pogarda dla mnie oznacza koniec między nami, zbyt ostateczny, by nawet czas mógł uleczyć rany”.

Otworzył drzwi. Stała tam, ciemnowłosa, drobna, bez makijażu, w drogim (swoim najlepszym) płaszczu z naturalnej wełny. Chłodna, kompetentna, wykształcona kobieta, która w wielu dziedzinach go przerastała.

–Słuchaj, Chuck – powiedziała. – Nie pójdę na to. Wynajęłam ekipę, by wzięli wszystkie twoje rzeczy i umieścili je w magazynie. Przyszedłam tu po czek, chcę dostać wszystkie pieniądze z twojego konta. Potrzebuję ich, mam duże wydatki.

Więc jednak się mylił. Żadnej ckliwej przemowy o rozsądku i odpowiedzialności. Wręcz przeciwnie: to ona uczyniła ostatni ruch. Ogłuszyło go to całkowicie, więc tylko gapił się bezradnie.

–Rozmawiałam z Bobem Alfsonem, moim adwokatem – powiedziała Mary. – Wniosłam pozew o zrzeczenie się przez ciebie praw do domu.

–Co? – spytał. – Dlaczego?

–Abyś mógł przepisać swoją część domu na mnie.

–Dlaczego?

–Abym mogła go sprzedać. Zdecydowałam, że nie potrzebuję tak wielkiego domu, wolę gotówkę. Zamierzam wysłać Debby do tej szkoły na wschodzie, o której rozmawialiśmy.

Deborah była najstarszym z ich dzieci, ale mimo wszystko miała dopiero sześć lat, zbyt mało, aby wysłać ją tak daleko od domu. „Niezły numer” – pomyślał.

–Pozwól mi najpierw porozmawiać z Natem Wilderem – powiedział słabo.

–Chcę ten czek teraz.

Mary nie weszła nawet do środka. Po prostu stała tam. Poczul rozpaczliwą panikę, strach przed niepowodzeniem i cierpieniem. Przegrał już – mogła wymusić na nim wszystko.

Gdy poszedł po książeczkę czekową, Mary weszła parę kroków dalej w głąb pokoju. Nie powiedziała ani słowa, tak silna była jej awersja. Kurczył się pod jej wpływem, nie potrafiąc stawić jej czoła. Udał więc głęboko zajętego wypisywaniem czeku.

–R propos – powiedziała Mary swobodnym tonem. – Teraz, kiedy odszedłeś na dobre, mogę przyjąć ofertę rządu.

–Cóż to za oferta?

–Potrzebują psychologów-konsultantów na wyprawę międzyplanetarną. – Nie zamierzała zadać sobie trudu wyjaśniania mu.

–Ach, tak. – Chuck miał słabą pamięć. – Praca charytatywna.

Rezultat terrańsko-alfańskiego konfliktu sprzed dziesięciu lat. Samotny księżyc Układu Alfy, zasiedlony przez Terran, którzy w wyniku działań wojennych zostali odcięci od świata. Zbiorowisko takich małych enklaw istniało w Układzie Alfy liczącym tuzin księżyców i dwadzieścia dwie planety.

Mary wzięła czek i złożywszy go, wsunęła do kieszeni.

–Czy zapłacą ci coś? – zapytał.

–Nie – odparła niechętnie.

Więc będzie żyła i utrzymywała dzieci wyłącznie z jego pensji. Dotarło to do niego: pragnęła orzeczenia sądowego, które zmusiłoby go do robienia tego wszystkiego, czego uporczywie odmawiał i co doprowadziło do rozpadu ich sześciolatniego małżeństwa. Dzięki swoim wpływom w sądach Marin County uzyska taki wyrok i wówczas Chuck będzie zmuszony przerwać pracę dla CIA i poszukać czegoś zupełnie innego.

–Jak... długo cię nie będzie? – zapytał. Było oczywiste, że zamierzała dobrze wykorzystać ten okres reorganizacji ich życia. Będzie robiła wszystko, na co, przynajmniej w jej mniemaniu, nie pozwalała jego obecność.

–Okolo sześciu miesięcy. To zależy. Nie oczekuj, że będę z tobą w kontakcie. W sądzie będzie mnie reprezentować Alfson. Wystąpiłam o separację, więc już nie musisz tego robić – dodała.

Inicjatywa wymknęła mu się z rąk. Jak zwykle był zbyt powolny.

–Możesz wziąć wszystko – powiedział nagle do Mary.

„To, co możesz mi dać, nie wystarcza” – mówiło jej spojrzenie.

„Wszystko” było prawie niczym, jeśli chodziło o jego osiągnięcia.

–Nie mogę ci dać tego, czego nie mam – rzekł cicho.

–Owszem, możesz – odparła Mary z uśmiechem – ponieważ sąd dowie się o tobie tego, o czym ja zawsze wiedziałam. Jeżeli będziesz musiał, to znaczy, jeżeli ktoś cię zmusi, będziesz wypełniać standardowe obowiązki alimentacyjne.

–Ale... przecież muszę mieć coś z życia dla siebie?

–Przede wszystkim jesteś zobowiązany zatroszczyć się o nas – odparła.

Na to nie miał odpowiedzi, mógł tylko skinąć głową.

Później, już po wyjściu Mary, rozejrzał się i znalazł w szafie stertę starych homeogazet. Usiadł na starożytniej sofie w stylu duńskim, stojącej w dużym pokoju, i zaczął je wertować w poszukiwaniu artykułów dotyczących wyprawy międzyplanetarnej, w której miała wziąć udział Mary.

–Jej nowe życie – powiedział do siebie – mające zastąpić małżeńskie.

W gazecie sprzed tygodnia znalazł mniej więcej kompletny artykuł. Zapalił papierosa i zaczął uważnie czytać.

Amerykański Międzyplanetarny Serwis Zdrowia i Opieki Społecznej poszukiwał psychologów, gdyż księżyc pierwotnie był obiektem szpitalnym, centrum leczenia psychiatrycznego dla terrańskich osadników w Układzie Alfry, którzy doznali załamania na skutek nadmiernego obciążenia psychicznego, jakie niosła za sobą kolonizacja międzyukładowa. Alfańczycy opuścili księżyc, pozostali jedynie handlowcy.

To, co obecnie było wiadomo o statusie księżycy, pochodziło właśnie od nich. Według ich relacji, w ciągu dziesiątków lat, od kiedy szpital został wyłączony spod zwierzchnictwa Terry, wyrosły tam różnego rodzaju cywilizacje. Nie mogli jednak ocenić stopnia ich rozwoju, nie znając kryteriów stosowanych przez Terrę. W każdym razie na księżycu produkowane były towary, istniał rodzimy przemysł i Chuck zastanawiał się, dlaczego rząd czuł potrzebę wtrącania się w tę sprawę. Łatwo mógł sobie tam wyobrazić Mary; była dokładnie tym, kogo agencja międzynarodowa TERPLAN potrzebowała. Pomyślał, że ludzie pokroju Mary zawsze odnoszą sukcesy.

Podszedł do archaicznego okna i zatrzymał się przy nim, ponownie patrząc w dół. I nagle poczuł narastające, znane uczucie. Przekonanie, że nie ma sensu dalej żyć. Samobójstwo, cokolwiek sądziły o nim Kościół i prawo, w tym momencie stanowiło jedyne wyjście.

Obok było mniejsze okno. Otwierając je, słyszał brzęczenie skoczka odrzutowego, lądującego na dachu budynku gdzieś w głębi ulicy. Gdy dźwięk umilkł, odczekał chwilę i wspiął się na krawędź okna, balansując nad ulicą.

W duszy Chucka jakiś głos, ale nie jego własny, powiedział:

–Proszę, niech pan mi powie, jak się pan nazywa. Bez względu na to, czy zamierza pan skoczyć czy nie.

Chuck odwrócił się i zobaczył żółtego ganimedejskiego galaretniaka, który przepłynął cicho pod drzewami mieszkadła i teraz formował się w kopczyk małych kulek, które składały się na jego fizyczną istotę.

–Wynajmuję mieszkanie po przeciwnej stronie korytarza – wyjaśnił galaretniak.

–Wśród Terran panuje zwyczaj pukania – powiedział Chuck.

–Nie mam niestety nic, czym mógłbym zapukać. W każdym razie woląłem wejść, zanim pan... wyjdzie.

–To moja prywatna sprawa, czy wyskoczę.

–„Żaden Terranin nie jest wyspą” – niedokładnie zacytował galaretniak. – Witam w budynku, który my, lokatorzy, żartobliwie nazywamy „Mieszkalnią Zbędnych Rączek”. Są tu też inni, których powinien pan poznać. Kilkoro Terran, jak pan, i sporo innych istot, z których jedne wzbudzą w panu odrazę, a inne zainteresują. Chciałem pożyczyć od pana filiżankę grzybków jogurtowych, ale biorąc pod uwagę pańskie poprzednie zajęcie, prośba ta wydaje się nieco obraźliwą.

–Na razie jeszcze nie przyniosłem tu żadnych rzeczy. – Chuck przełożył nogę przez parapet, wszedł do pokoju i odsunął się od okna. Nie zdziwił go widok Ganimedejczyka; przybysze spoza Terry żyli jak w gettach: bez względu na to, jak wpływowi i wysoko postawieni byli w swoim społeczeństwie, tutaj musieli żyć w podrzędnych mieszkalniach, takich jak ta.

–Mogłem wziąć ze sobą wizytówkę – powiedział galaretniak – aby dokonać prezentacji. Jestem importerem nie oszlifowanych kamieni szlachetnych, kupcem złotej biżuterii i, kiedy czas na to pozwala, fanatycznym kolekcjonerem znaczków. W moim pokoju mam zbiór z początków istnienia Stanów Zjednoczonych, którego ozdobą jest czteroznaczkowa seria z Kolumbem. Czy chciałby pan... – przerwał. – Widzę, że nie. W każdym razie pragnienie samozniszczenia chwilowo opuściło pański umysł. To dobrze. Oprócz tego, o czym mówiłem...

–Czy prawo nie zabrania ci używać swoich zdolności telepatycznych na tej planecie? – spytał Chuck.

–Tak, ale sytuacja wydawała się wyjątkowa. Panie Rittersdorf, osobiście nie mogę pana zatrudnić, gdyż nie potrzebuję usług propagandowych, ale mam wiele kontaktów z mieszkańcami dziewięciu księżyców, i jeśli da mi pan trochę czasu...

–Nie, dziękuję – przerwał ostro Chuck. – Chcę zostać sam. – Pośredników pracy miał już dosyć na całe życie.

–Ale ja, w przeciwieństwie do pańskiej żony, nie mam ukrytych motywów. – Galaretniak podpłynął bliżej. – Jak u większości mężczyzn z Terry, pańskie poczucie własnej wartości związane jest ze zdolnościami zarobkowymi, co do których ma pan poważne wątpliwości i krańcowe poczucie winy. Mogę coś dla pana zrobić... ale to wymaga czasu. Obecnie muszę opuścić Terrę i wrócić na swój księżyc. Powiedzmy, że zapłacę panu pięćset skinów, oczywiście amerykańskich, jeśli pojedzie pan ze mną. Jeśli pan chce, może to pan traktować jako pożyczkę.

–Co ja mam do roboty na Ganimedzie? – powiedział Chuck zirytowany. – Czy pan tego nie rozumie? Mam pracę i w zupełności mi ona wystarcza. Nie zamierzam jej zmienić.

–Podświadomie...

–Niech pan nie wchodzi w moją podświadomość bez mojej zgody. – Odwrócił się od galaretniaka.

–Przykro mi, ale pana samobójcze tendencje dadzą znać o sobie być może jeszcze dziś w nocy.

–Nie przeszkadza mi to.

–Jest tylko jedna rzecz, która może panu pomóc – rzekł galaretniak – i nie jest nią moja oferta pracy.

–Więc co w takim razie?

–Kobieta, która zastąpiłaby panu żonę.

–Zachowuje się pan jak...

–Niezupełnie. Nie chodzi o podłoże fizyczne czy też duchowe, ale o względy czysto praktyczne. Musi pan znaleźć kobietę, która zaakceptowałaby pana i kochała takiego, jakim pan jest. W przeciwnym razie zginie pan. Proszę pozwolić mi się nad tym zastanowić. A tymczasem niech pan na siebie uważa. Proszę mi dać pięć godzin. – Galaretniak powoli przeciekł przez szczelinę pod drzwiami na korytarz. Jego myśli zanikały. – Jako importer, kupiec i dealer mam wiele kontaktów z różnymi typami Terran...

W końcu umilkł.

Chuck drżącymi rękami zapalił papierosa. Odszedł dalej, bardzo daleko od okna,

usiadł na starej duńskiej sofie i czekał.

Nie wiedział, jak powinien zareagować na życzliwą ofertę galaretniaka. Był jednocześnie rozgniewany i wzruszony, a przy tym zaskoczony. Czy rzeczywiście Lord Running Clam mógł mu pomóc? Nie wydawało mu się to możliwe.

Czekał godzinę.

Potem rozległo się pukanie. Nie mógł to być wracający Ganimedejczyk, bo ten nie miał przecież czym zapukać. Chuck podniósł się, podszedł do drzwi i otworzył je.

Stała tam terrańska dziewczyna.

Mimo że do załatwienia miała mnóstwo spraw związanych z jej nową darmową pracą dla Amerykańskiego Międzyplanetarnego Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej, Mary Rittersdorf postanowiła najpierw zająć się swoimi prywatnymi interesami. Ponownie pojechała odrzutową taksówką do Nowego Jorku na Fifth Avenue, do biura Jerry'ego Felda, producenta programu Bunny'ego Hentmana. Tydzień temu dała mu plik najnowszych – i najlepszych – scenariuszy napisanych przez Chucka dla CIA. Teraz nadszedł czas, by przekonać się, czy jej mąż, czy też eks-mąż, ma szansę na podjęcie pracy.

Nawet jeżeli Chuck nie starałby się znaleźć lepszego źródła zarobku, ona zatroszczyłaby się o to. Uważała to za swój obowiązek, choćby ze względu na fakt, że przynajmniej w przyszłym roku ona i dzieci będą całkowicie zależni od Chucka.

Po wylądowaniu na dachu, Mary dotarła na dziewięćdziesiąte piętro, podeszła do szklanych drzwi, zawahała się, potem otworzyła je i weszła do holu, w którym siedziała sekretarka pana Felda – bardzo ładna, mocno umalowana, ubrana w dość ciasny sweter z jedwabistej pajęczej nici. Jej wygląd zirytował Mary. „Czy tylko dlatego, że biustonosze wyszły z mody, dziewczyna o tak obfitym biuście nie może ich już nosić?” – pomyślała. W tym przypadku względy praktyczne przemawiały za użyciem stanika.

Mary stała przy biurku, czując, że narasta w niej dezaprobata. Sztuczne powiększenie brodawek – tego już było za wiele!

–Słucham panią – rzekła sekretarka, spoglądając przez ozdobny, stylowy monokl. Gdy napotkała lodowate spojrzenie Mary, jej sutki skurczyły się jakby ze strachu.

–Chcę się widzieć z panem Feldem. Jestem doktor Mary Rittersdorf i nie mam zbyt wiele czasu. O godzinie piętnastej czasu nowojorskiego wyjeżdżam do księżycowej bazy TERPLAN-u. – Postarała się, aby jej głos zabrzmiał kompetentnie i wymagająco. Wiedziała doskonale, jak to osiągnąć.

Po serii biurokratycznych zabiegów Mary została wysłana dalej. Przy biurku i imitacji dębu (ostatni prawdziwy dąb zginął dziesięć lat temu) siedział Jerry Feld z projektorem wideo, zatopiony głęboko w pracy.

–Chwileczkę, doktor Rittersdorf. – Wskazał jej krzesło. Usiadła, założyła nogę na nogę i zapaliła papierosa.

Na miniaturowym ekranie telewizyjnym Bunny Hentman grał niemieckiego przemysłowca. Ubrany w niebieski dwurzędowy garnitur, wyjaśniał radzie zarządzającej, jak wykorzystać w wojnie nowe autonomiczne pługi, produkowane w

ich kartelu.

Cztery pługy na wieść o rozpoczęciu działań wojennych same formują mechanizm, który nie jest już pługiem, lecz wyrzutnią raketową. Bunny tłumaczył to z twardym akcentem, przedstawiając ten wynalazek jako duże osiągnięcie, i Feld zachichotał.

–Nie mam zbyt wiele czasu, panie Feld – powiedziała szorstko Mary.

Feld niechętnie zatrzymał taśmę i odwrócił się do niej.

–Pokazywałem Bunny’emu scenariusze. Jest nimi zainteresowany. Dowcip pani męża jest suchy i wisielczy, ale szczerzy. To jest to, co kiedyś...

–Znam to wszystko – przerwała Mary. – Przez lata musiałam tego słuchać; zawsze wypróbował na mnie swoje teksty. – Zaciągnęła się gwałtownie papierosem, czując wzrastające napięcie. – Czy sądzi pan, że Bunny może coś z nimi zrobić?

–Nie można nic powiedzieć, dopóki pani mąż nie spotka się z Bunnym. Nie ma sensu, by pani...

Drzwi otworzyły się i wszedł Bunny Hentman.

Mary pierwszy raz osobiście spotkała słynnego komika telewizyjnego i poczuła zaniepokojenie: czym będzie się różnił od rozpowszechnionego wizerunku? Uznała, że jest trochę niższy i starszy, ma wyraźną łysinę i wygląda na zmęczonego. W rzeczywistości Bunny wyglądał jak zmartwiony handlarz starociami ze środkowej Europy. W wymiętym garniturze, niestarannie ogolony, ze zmierzwionymi przeredzonymi włosami i – by jeszcze wzmóc wrażenie – z ogryzkiem cygara w zębach. Ale jego oczy były czujne i jakby pełne dziwnego ciepła. Mary podniosła się, zaskoczona siłą jego spojrzenia, które z ekranu nie oddziaływało.

Nie była to tylko inteligencja, lecz coś więcej: postrzeganie... nie była pewna czego. I...

Wokół Bunny’ego roztaczała się jakaś aura. Aura cierpienia. Jego twarz, postać wydawały się nim przesiąknięte. „Tak – pomyślała. – To właśnie wyrażają jego oczy. Wspomnienie bólu. Bólu doświadczonego dawno temu, o którym jednak wciąż pamięta”. Dla Bunny’ego komedia była walką, walką z dosłownym, fizycznym cierpieniem; zachowanie dowodzące heroicznej – a przy tym skutecznej – postawy.

–Bun – powiedział Jerry Feld – to jest doktor Mary Rittersdorf. Jej mąż napisał te programy dla robotów CIA, które pokazywałem ci w zeszły czwartek.

Komik wyciągnął rękę i ujął dłoń Mary.

–Panie Hentman... – zaczęła.

–Proszę – przerwał Bunny. – To moje zawodowe nazwisko. Prawdziwe, czyli to, z którym się urodziłem, brzmi Lionsblood Regal. Naturalnie musiałem je zmienić; kto decyduje się na wejście do show-biznesu jako Lionsblood Regal? Mów mi Lionsblood albo po prostu Blood. Jerry nazywa mnie Li-Reg. To oznaka naszej zażyłości. A zażyłość w stosunkach z kobietami to to, czego pragnę najbardziej – dodał, ciągle trzymając rękę Mary.

–Li-Reg to twój identyfikator w sieci kablowej – powiedział Feld. – Znowu ci się wszystko pomieszało.

–Fakt. – Hentman puścił rękę Mary. – A więc, frau doktor Rattenfänger...

–Rittersdorf – poprawiła Mary.

–Rattenfänger – rzekł Feld – po niemiecku oznacza szczurołapa. Bun, uważaj, żeby drugi raz nie popełnić takiej pomyłki.

–Przepraszam – powiedział komik. – Proszę posłuchać, frau doktor Rittersdorf. Proszę nazywać mnie jakoś zdrobniale, będzie mi bardzo miło. Łaknę uczucia ze strony pięknych kobiet, siedzi we mnie mały chłopiec. – Uśmiechnął się, ale jego twarz, a szczególnie oczy ciągle przepełnione były tym samym ogromnym bólem, brzemieniem przeszłości. – Zatrudnię pani męża, jeżeli będę mógł panią widywać. Jeśli zrozumie on prawdziwy cel umowy, to, co dyplomaci nazywają „tajnymi protokołami”. – Natomiast do Jerry’ego Felda rzekł: – Wiesz zresztą, jak ostatnio dają mi się we znaki moje protokoły.

–Chuck jest w walącej się mieszkalni na Zachodnim Wybrzeżu – powiedziała Mary. – Napiszę panu adres. – Szybko wzięła papier i długopis i zanotowała. – Proszę mu powiedzieć, że go pan potrzebuje; proszę mu powiedzieć, że...

–Ale ja go nie potrzebuję – przerwał cicho Bunny Hentman.

–Czy nie mógłby się pan z nim spotkać, panie Hentman? – spytała ostrożnie Mary. – Chuck ma niezwykły talent. Szkoda by było, gdyby nikt go nie zachęcił.

Skubiąc dolną wargę, Hentman zapytał:

–Martwi się pani, że nie zrobi z niego użytku, że się zmarnuje?

Mary skinęła głową.

–To jego talent. On sam powinien o tym decydować.

–Mój mąż – powiedziała Mary – potrzebuje pomocy.

„Wiem o tym najlepiej – pomyślała. – Rozumienie ludzi to mój zawód. Chuck jest niesamodzielnym, infantylnym typem; musi być popychany i ciągnięty, jeżeli w ogóle ma się ruszać. W przeciwnym razie zgnije w tym okropnym ciasnym mieszkadle, które wynajął. Albo wyskoczy przez okno. To jedyna rzecz, która może go uratować – stwierdziła. – Mimo że nawet się do tego nie przyzna”.

–Czy mogę się z panią spotkać? – zapytał Hentman, przyglądając się jej bacznie.

–Jak... jak to spotkać? – Spojrzała na Felda. Jego twarz była niewzruszona, jakby starał się nie zauważać całej sytuacji.

–Po prostu – rzekł Hentman. – Nie w interesach.

–Niestety, wyjeżdżam. Będę pracować dla TERPLAN-u w Układzie Alfy przez wiele miesięcy, jeżeli nie lat.

–A więc nici z pracy dla pani mężulka – odparł Hentman.

–Kiedy pani wyjeżdża, doktor Rittersdorf? – zapytał Feld.

–Niedługo. W ciągu najbliższych czterech dni. Muszę się spakować, zorganizować dla dzieci...

–Cztery dni – powiedział Hentman zamyślony. Lustrował ją wzrokiem. – Jesteście z mężem w separacji? Jerry opowiadał...

–Tak – odrzekła Mary. – Chuck właśnie się wyprowadził.

–Proszę dzisiaj zjeść ze mną obiad – zaproponował Bunny.

–A przedtem wpadnę do pani męża lub wyślę tam kogoś. Damy mu sześć tygodni na próbę, niech pisze scenariusze. Umowa stoi?

–Nie mam nic przeciwko zjedzeniu z panem obiadu, ale...

–Nic poza tym – rzekł Hentman. – Tylko obiad. W restauracji, którą pani wybierze. Gdziekolwiek w USA. Ale jeżeli wyjdzie z tego coś więcej... – uśmiechnął się.

Po powrocie na Zachodnie Wybrzeże Mary pojechała miejskim pociągiem do śródmieścia San Francisco, do biura TERPLAN-u – agencji, która oferowała jej tak upragnioną nową pracę.

Wkrótce znalazła się w windzie. Obok niej stał krótko przystrzyżony, dobrze ubrany młody człowiek, urzędnik służby informacyjnej TERPLAN-u, Lawrence McRae.

–Na górze czeka grupa reporterów. Prawdopodobnie będą żądali od pani potwierdzenia faktu, że projekt terapeutyczny jest tylko przykrywką dla podbicia Alfę III M2 przez Terrę, że w rzeczywistości zamierzamy ponownie przejąć kolonię, rozwinąć ją i wysłać tam osadników – mówił mężczyzna.

–Ale przecież ona przed wojną była nasza – powiedziała Mary. – Jakże inaczej moglibyśmy używać jej jako bazy szpitalnej?

–To prawda – odparł McRae. Wyszli z windy i ruszyli wzdłuż korytarza. – Ale od dwudziestu pięciu lat nie wylądował tam żaden statek z Terry. A według prawa oznacza to kres naszych roszczeń do tej ziemi. Pięć lat temu księżyc ponownie uzyskał autonomię polityczną i prawną. Jednakże, jeżeli wylądujemy tam i zreorganizujemy ośrodek szpitalny, z technikami, lekarzami, terapeutami i co tam jeszcze potrzebne, będzie to znak odnowienia naszych pretensji. Pretensji, których nigdy nie przejawiali Alfańcyzy. Oni ciągle jeszcze odbudowują kraj ze zniszczeń wojennych, być może to dlatego. Albo może księżyc nie jest tym, czego potrzebują. Przeprowadzili rekonesans i uznali, że tamtejsze warunki po prostu im nie odpowiadają. Proszę tędy – przytrzymał drzwi.

Mary weszła i znalazła się twarzą w twarz z reporterami. Było ich piętnastu, może szesnastu, niektórzy z kamerami. Wzięła głęboki oddech i podeszła do mównicy.

–Szanowni państwo, to jest doktor Mary Rittersdorf, słynny doradca do spraw małżeńskich z Marin County, która, jak państwo wiedzą, zgłosiła się na ochotnika do realizacji projektu – powiedział McRae do mikrofonu.

–Doktor Rittersdorf – odezwał się jakby od niechcienia jeden z reporterów. – Jak nazywa się projekt? Projekt Psychoza?

Reszta reporterów roześmiała się.

–„Operacja Pięćdziesiąt Minut” to przyjęta przez nas nazwa robocza – odpowiedział McRae.

–Co zamierzacie zrobić z chorymi na księżycu, gdy ich wyłapiecie? – zapytał inny. – Może wmieciecie ich pod dywanik?

–Najpierw zamierzamy przeprowadzić rozeznanie, by zorientować się w sytuacji – odrzekła Mary. – Wiemy już, że byli pacjenci, przynajmniej niektórzy, i ich potomstwo żyją. Nie twierdzą, że wiemy, na ile społeczeństwo, które stworzyli, zdolne jest do życia, moim zdaniem wcale, mimo faktu że jednak żyją. Tym, którym będziemy mogli, zapewnimy terapię. Największą uwagę skupimy oczywiście na dzieciach.

–Kiedy spodziewa się pani dotrzeć na Alfę III M2, pani doktor? – spytał reporter. Aparaty fotograficzne zafurkotały jak stado odlatujących ptaków.

–Myślę, że w ciągu dwóch tygodni.

–Nie będzie pani za to dostawać pieniędzy, prawda? – zapytał dziennikarz.

–Nie.

–Jest więc pani przekonana, że przedsięwzięcie to jest realizowane w imię publicznego dobra? Czy to jest przyczyną?

–No cóż – powiedziała z wahaniem Mary. – To...

–Więc Terra odniesie korzyści z wścibiania nosa w kulturę byłych pacjentów szpitala dla umysłowo chorych? – W głosie dziennikarza brzmiała przesadna uprzejmość.

–Co powinnam odpowiedzieć? – spytała Mary, zwracając się do McRae.

–Odpowiedź na to pytanie nie wchodzi w zakres kompetencji doktor Rittersdorf. Ona jest z wykształcenia psychologiem, nie politykiem. Odmawiam odpowiedzi.

Wysoki, szczupły, doświadczony reporter podniósł się i spytał, wolno cedząc słowa:

–Czy ekspertom TERPLAN-u nie przyszło do głowy, że powinni zostawić księżyc w spokoju i traktować jego kulturę jak każdą inną, respektując jej wartość i obyczaje?

–Nie wiemy jeszcze – odparła Mary z wahaniem. – Być może, gdy będziemy wiedzieć więcej... – Zaplątała się w wyjaśnieniach i umilkła. – Ale to nie jest kultura – dodała. – Nie ma tradycji. To społeczeństwo składające się z jednostek chorych umysłowo i ich potomstwa, powstałe zaledwie dwadzieścia pięć lat temu. Nie może pan podnosić ich znaczenia, porównując chociażby z kulturą ganimedejską czy jońską. Jakie wartości mogą wytworzyć ludzie chorzy umysłowo, do tego w tak krótkim czasie?

–Ale sama pani mówiła – mruknął reporter – że na razie nic o nich nie wiecie. Wszystko, co wiecie, to...

–Jeżeli wykształcili jakąkolwiek trwałą, zdolną do przetrwania kulturę, zostawimy ich w spokoju – przerwał ostro McRae. – Ale decyzja należy do ekspertów, takich jak pani Rittersdorf, a nie do pana, do mnie, czy też kogokolwiek z Amerykanów. Szczerze mówiąc, uważamy, że nie ma nic bardziej groźnego niż społeczeństwo, w którym chorzy psychicznie dominują, określają wartości, kontrolują środki przekazu. Może się z tego narodzić najgorsze, co sobie można wyobrazić: fanatyczny kult religijny, paranoiczny, nacjonalistyczny światopogląd, barbarzyńska destruktywność typu maniakalnego. Wystarczająco usprawiedliwia to nasze badanie Alfry III M2. Ten plan ma bronić naszych własnych wartości i naszego życia.

Reporterzy milczeli. Wypowiedź McRae'a najwyraźniej ich przekonała. Mary także przyznawała mu rację.

Później, gdy ona i McRae opuścili pokój, zapytała:

–Czy rzeczywiście taki jest cel wyprawy?

–Chodzi pani o to, czy jedziemy na Alfę III M2 w obawie przed konsekwencjami, które mogą dla nas wyniknąć z istnienia obłąkanej enklawy społecznej? Że pomyłone społeczeństwo, takie jak to, może nas niepokoić? – spytał McRae, przyglądając się jej. – Myślę, że takie uzasadnienie powinno wystarczyć, także pani.

–Nie powinnam pytać. – Patrzyła na młodego urzędnika TERPLAN-u. – Powinnam...

–Powinna się pani zajmować terapią, to wszystko. Ja pani nie mówię, jak leczyć chorych, dlaczego więc pani miałyby mi mówić, jak kierować polityką? – Jego spojrzenie było chłodne. – Jednak powiem pani o celu operacji, który nawet do głowy by pani nie przyszedł. Jest całkiem prawdopodobne, że w ciągu dwudziestu pięciu lat społeczeństwo ludzi chorych umysłowo wynalazło rozwiązania techniczne, które będziemy mogli wykorzystać. Szczególnie maniacy, grupa najbardziej aktywna. – Przcisnął guzik windy. – Wiem, że są bardzo twórczy. Podobnie jak paranoicy.

–Czy to właśnie tłumaczy brak wcześniejszych interwencji Terry? – spytała Mary. – Chcieliście zobaczyć, jak będą rozwijały się ich idee?

McRae uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Wyglądał na bardzo pewnego siebie. I to był błąd, zważywszy na wszystko, co współczesna nauka wiedziała o psychopatach. Być może nawet śmiertelny błąd.

W godzinę później, wracając do swego domu w Marin County, zdała sobie sprawę z zasadniczych sprzeczności w stanowisku rządu. Z jednej strony sondowali kulturę Alfę III M2, obawiając się zagrożenia, a z drugiej próbowali dociec, czy też nie wytworzyła czegoś użytecznego. Już prawie sto lat temu Freud wykazał, jak fałszywa może być podwójna logika. W rzeczy samej jedno ich działanie wykluczało drugie. Psychoanaliza uogólniała to: kiedy podawano dwie wzajemnie sprzeczne przyczyny działania, prawdziwy, ukryty motyw bywał zupełnie inny; była to trzecia ewentualność, której urzędnicy rządowi nie byli świadomi. Zastanawiała się, jaki w tym wypadku był prawdziwy powód. W każdym razie plan, do realizacji którego zaoferowała swoją pomoc, nie wyglądał już tak idealistycznie. I przeczuwała jeszcze jedno: rzeczywisty cel tej akcji miał przynieść rządowi duże zyski. Pomyślała, że prawdopodobnie nigdy nie dowie się, co to za cel.

Zajęta była pakowaniem swetrów, gdy nagle zdała sobie sprawę z czyjejś obecności w pokoju. W drzwiach stali dwaj mężczyźni. Mary szybko poderwała się na równe nogi.

–Gdzie jest pan Rittersdorf? – spytał wyższy. Wyciągnął w jej stronę płaską, ciemną kartę identyfikacyjną. Mężczyźni byli z biura jej męża, z filii CIA w San Francisco.

–Wyprowadził się – odpowiedziała. – Dam panom jego adres.

–Dostaliśmy wiadomość – rzekł starszy – od nieznanego informatora, że pani mąż może planować samobójstwo.

–Zawsze to robi – odrzekła, pisząc adres nędznej dziury, w której obecnie mieszkał Chuck. – Nie martwiłabym się tak o niego; jest chronicznie chory, ale jakoś nie umiera.

Starszy z przedstawicieli CIA przyglądał się jej z ponurą wrogością.

–Rozumiem, że są państwo w separacji.

–Tak, ale to nie pańska sprawa. – Obdarzyła go krótkim, profesjonalnym uśmiechem. – Czy mogę się teraz zająć pakowaniem?

–Nasze biuro – powiedział mężczyzna – stara się zapewnić opiekę wszystkim swoim pracownikom. Jeżeli pani mąż popełni samobójstwo, przeprowadzimy śledztwo, aby zbadać, w jakim stopniu jest pani w to zamieszana. A mając na uwadze pani zawód, może to być kłopotliwe, czyż nie?

–Tak, przypuszczam, że tak – odrzekła Mary po krótkiej chwili.

Młodszy odezwał się:

–Proszę to traktować jako nieformalne ostrzeżenie. Pani Rittersdorf, proszę nie naciskać na męża. Rozumie pani? – Jego oczy były zimne i pozbawione życia.

Skinęła głową i zadrżała.

–A jeżeli przypadkiem się tu pokaże, proszę go do nas skierować. Co prawda wziął sobie trzydniowy urlop, ale mimo to chcielibyśmy z nim porozmawiać – rzekł starszy, po czym obaj mężczyźni wyszli z pokoju.

Po ich wyjściu Mary, oddychając z ulgą, wróciła do pakowania.

„CIA nie będzie mnie uczyć, co mam robić – powiedziała do siebie. – Będę mówić mojemu mężowi, co zechcę, i robić, co zechcę. Nie ochronią cię, Chuck. – Pakowała swetry, upychając je ze złością, jeden po drugim, w walizce. – Uważaj, bo pogorszyłeś sprawę, wciągając ich w to wszystko. Ty biedny, przestraszony durniu – pomyślała, śmiejąc się. – Myślisz, że uda ci się mnie przestraszyć, przysyłając tu swoich współpracowników. Sam się ich możesz bać, bo ja na pewno nie. To tylko

głupie, tępe gliny”.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do adwokata i nie poinformować go o pogroźkach CIA. „Nie – zdecydowała jednak. – Nie teraz. Poczekam, aż sprawa rozwodowa znajdzie się w sądzie. A potem przedstawię to jako dowód. Pokażę im, jakie życie musiałam wieść z takim mężem, stale narażona na szykany ze strony policji”.

Umieściła ostatni sweter w walizce i zamknęła ją szybkim ruchem.

„Biedny Chucku – powiedziała do siebie – w sądzie nie masz szans. Nigdy się nie domyślisz, jakiego asa wyciągnę z rękawa. Nie wypłacisz się do końca życia. Dopóki będziesz żył, nie uwolnisz się ode mnie. Zawsze będę cię coś kosztowała”.

Zaczęła starannie składać sukienki, pakując je do wielkiego kufra ze specjalnymi wieszakami.

„Będzie cię to kosztowało więcej, niż jesteś w stanie zapłacić” – rzekła do siebie.

Dziewczyna stojąca w drzwiach odezwała się miękkim, niepewnym głosem:

–Ehm, jestem Joan Trieste. Lord Running Clam powiedział, że pan się właśnie wprowadził. – Zajrzała w głąb pokoju. – Nie przyniósł pan jeszcze niczego ze swoich rzeczy? Czy mogę jakoś pomóc? Może rozsunę zasłony albo wyczyszczę półki w kuchni, jeśli pan chce.

–Dziękuję, dam sobie radę – odparł Chuck.

Wzruszyło go, że galaretniak sprowadził dziewczynę. Uznał, że miała nie więcej niż dwadzieścia lat. Brązowe włosy, bez jakiegoś szczególnego odcienia, splecione w gruby warkocz, opadały jej na plecy. Zupełnie zwyczajne włosy. Była całkiem blada, po prostu biała. Nie miała dobrej figury, chociaż była szczupła. Ubrana była w obcisłe, ciemne spodnie, pantofle i męską bawełnianą koszulę. Jak to dyktowała moda, nie miała stanika, ale jej brodawki były zwykłymi płaskimi, ciemnymi kólkami pod białą bluzką – nie było jej stać lub może nie chciała zrobić sobie tak popularnej obecnie operacji ich powiększenia. Przyszło mu do głowy, że nie jest bogata. Być może studentka.

–Lord Running Clam – wyjaśniła – jest z Ganimeda. Mieszka po przeciwnej stronie korytarza. – Uśmiechnęła się nieznacznie. Zauważył, że miała bardzo ładne, białe i równe zęby. Niemal doskonałe.

–Tak – powiedział Chuck. – Wpłynął tutaj pod drzwiami mniej więcej godzinę temu. Miał tu kogoś przysłać – dodał. – Najwidoczniej myślał, że...

–Czy rzeczywiście próbował się pan zabić? Po krótkiej chwili wzruszył ramionami.

–Galaretniak tak uważał.

–Wiem, że tak było. Nawet teraz to widać. – Przeszła obok niego, wchodząc do pokoju. – Jestem, no wiesz, psi.

–Jaki rodzaj psi? – Zostawił drzwi na korytarz otwarte. Sięgnął po paczkę papierosów. – Są przecież różne. Od tych, którzy potrafią poruszać góry, do tych, którzy tylko...

–Mam bardzo skromną moc, ale spójrz. – Odwróciła się i uniosła połę koszuli. – Widzisz mój znaczek? Jestem formalnym członkiem Organizacji Psi-menów Amerykańskich. Potrafię sprawić, by czas się cofnął. Na ograniczonej przestrzeni, powiedzmy dwanaście na dziewięć, mniej więcej takiej jak twój duży pokój. Do pięciu minut. – Uśmiechnęła się i jeszcze raz mógł podziwiać jej zęby. Uśmiech zupełnie

zmieniał twarz dziewczyny, czyniąc ją piękną. Dopóki się uśmiechała, przyjemnością było na nią patrzeć i Chuckowi wydawało się, że to coś o niej mówi. Jakby piękno emanowało z jej wnętrza. W środku była urocza i zdał sobie sprawę, że z upływem lat będzie się to coraz bardziej uzewnętrzniało, oddziałując na jej wygląd.

–Czy to użyteczny talent? – zapytał.

–Ma ograniczone zastosowanie. – Usiadła na oparciu duńskiej sofy, wsadziła rękę do kieszeni i zaczęła mu tłumaczyć: – Pracuję dla Departamentu Policji w Ross. Wysyłają mnie do ciężkich wypadków drogowych. Możesz się śmiać, ale to naprawdę pomaga. Cofam czas do chwili przed wypadkiem, a jeżeli jestem zbyt późno, jeżeli minie więcej niż pięć minut, czasami mogę przywrócić do życia osobę, która właśnie zmarła. Rozumiesz?

–Mhm – odparł.

–Nie płacą za to dużo. A co gorsza, muszę być do dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zawiadamiają mnie i jadę na miejsce wypadku superszybkim skoczkiem odrzutowym. Spójrz.

–Odwróciła głowę, pokazując prawe ucho. Ujrzał mały cylinder przymocowany do jego płątki i zrozumiał, że to policyjny odbiornik.

–Zawsze mogą mnie zlokalizować. To znaczy, że nie mogę być dalej niż kilka sekund od środka transportu. Mogę chodzić do restauracji, teatrów, znajomych, ale...

–Cóż – powiedział. – Może kiedyś uratujesz mi życie.

„Gdybym wyskoczył – pomyślał – mogłaby mnie wrócić do życia. Cóż za ogromna przysługa...”

–Uratowałam już wielu ludzi. – Joan wyciągnęła rękę. – Czy mogę prosić o papierosa?

Podał jej i zapalił, czując się, jak zwykle, winnym swojej opieszałości.

–A co ty robisz? – spytała.

Z ociąganiem – nie dlatego, że się tego wstydził, lecz miał świadomość, że zajęcie to posiadało tak niski status w hierarchii społecznego szacunku – opisał swoją pracę w CIA. Joan Trieste słuchała uważnie.

–Więc chronisz rząd przed upadkiem? – zapytała z uśmiechem zadowolenia. – To wspaniale!

–Dziękuję – powiedział onieśmielony.

–Pomyśl tylko: w tym momencie setki symulakronów w całym komunistycznym świecie powtarzają twoje słowa, zatrzymując ludzi na rogach ulic i w dżunglach. – Jej oczy błyszczały. – A ja tylko pomagam Departamentowi Policji.

–Jest takie prawo – rzeki Chuck – które nazywam Trzecim Prawem Rittersdorfa, Prawem Zmniejszonego Znaczenia. Głosi ono, że proporcjonalnie do długości pracy wykonywany zawód zaczyna mieć dla ciebie coraz mniejsze znaczenie w hierarchii wartości. – Odwzajemnił jej uśmiech. Jasność jej oczu i błysk zębów sprawiały, że łatwo się było uśmiechać. Powoli zapominał o przygniatającym go rozpaczliwym nastroju sprzed paru chwil.

Joan przeszła się po pokoju.

–Czy zamierzasz przynieść tutaj wszystkie swoje osobiste rzeczy, czy też będziesz żyć tak jak teraz? Mogę ci pomóc jakoś to urządzić, a i Lord Running Clam także chętnie się przyłączy. Dalej, w głębi korytarza, mieszka istota z płynnego metalu, pochodząca z Jowisza. Nazywa się Edgar. Teraz jest zahibernowany, ale kiedy wróci do życia, prawdopodobnie tu zajrzy. A w pokoju po lewej przebywa myśloptak z Marsa, no wiesz, z takimi kolorowymi piórami. Nie ma rąk, ale przenosi przedmioty za pomocą psychokinezy. Też będzie chciał pomóc, ale dzisiaj jest zajęty, bo wysiaduje jajka.

–Boże – powiedział Chuck. – Jakiż to poligenetyczny budynek. – Był trochę ogłupiały po usłyszeniu tego wszystkiego.

–Piętro wyżej mieszka greeb leniwiec z Callisto. Cały jest oplatany dookoła lampy, która jest standardowym wyposażeniem każdego mieszkadła... Rocznik mniej więcej 1960. Obudzi się, kiedy tylko zajdzie słońce. Wtedy wychodzi po zakupy. A galaretniaka już spotkałeś. – Energicznie i trochę nieumiejętnie zaciągnęła się papierosem. – Lubię to miejsce. Można tu spotkać wszystkie formy życia. Przed tobą ten pokój wynajmował mech z Wenus. Uratowałam mu kiedyś życie, bo wysechł... Wiesz, oni potrzebują wilgoci. Klimat Marin County jest dla nich zbyt suchy. W końcu przeniósł się do Oregonu, gdzie ciągle pada – przerwała i odwracając się, spojrzała na niego. – Wyglądasz, jakbyś miał masę problemów.

–Żadnych prawdziwych, raczej te wymyślane. Takie, których da się uniknąć. – „Kłopoty – pomyślał – gdybym ruszył głową, nigdy bym się w nie nie zaplątał. Nie powinienem był się żenić”.

–Jak ma na imię twoja żona?

–Mary – odparł zaskoczony.

–Nie możesz się zabić tylko dlatego, że się rozstaliście. Kilka miesięcy, może tygodni, i znów pobierasz się do kupy. Bo teraz czujesz się jak strzęp człowieka. Takie rozdarcie zawsze boli. Wiem to, bo przedtem mieszkała tu pewna protoplazma... Cierpiała za każdym razem, kiedy się dzieliła, a jednak musiała to robić, musiała rosnać.

–Myślę, że wzrastanie boli. – Podeszedł do okna i jeszcze raz spojrzął na szybkobieżne chodniki, samochody i skoczki odrzutowe. Podeszedł tak blisko...

–To nie jest złe miejsce, by żyć – powiedziała Joan. – Wiem, bo mieszkałam już w wielu miejscach. Każdy w Departamencie Policji w Ross zna „Schowek Zużytych Rączek” – dodała otwarcie. – Mieliśmy tu mnóstwo kłopotów. Drobne kradzieże, bójki, nawet zabójstwo. To nie jest czyste miejsce, sam widzisz.

–A jednak...

–A jednak uważam, że powinieneś tu zostać. Będziesz miał towarzystwo. Głównie w nocy, kiedy zaczynają krążyć mieszkające tu istoty spoza Terry. Sam zobaczysz. A Lord Running Clam może być naprawdę dobrym przyjacielem. Pomógł już wielu ludziom. Ganimedejczycy mają w sobie coś, co święty Paweł nazwał caritas... i pamiętaj, święty Paweł mówił, że caritas to najważniejsza z cnót. Obecnie używa się chyba terminu empatia – dodała.

Drzwi mieszkała otworzyły się i Chuck odwrócił się natychmiast. Zobaczył dwóch mężczyzn, których dobrze znał: swego szefa, Jacka Elwooda, i współpracownika przy pisaniu scenariuszy – Pete’a Petriego. Na jego widok mężczyźni jakby się uspokoili.

–Do diabła – powiedział Elwood. – Już myśleliśmy, że przyjedziemy za późno. Wpadliśmy do ciebie do domu, bo sądziliśmy, że możemy cię tam zastać.

–Jestem z Departamentu Policji w Ross – odezwała się Joan Trieste. – Czy mogę zobaczyć pańską kartę identyfikacyjną? – Jej głos był chłodny.

Elwood i Petri pokazali jej identyfikatory CIA, a potem zwrócili się do Chucka.

–Co tutaj robi policja miejska? – spytał Elwood.

–To znajoma – odparł Chuck.

Elwood wzruszył ramionami; najwyraźniej nie interesowały go dalsze szczegóły.

–Czy nie mógłbyś znaleźć sobie lepszego mieszkała? – Zlustrował badawczo pokój.

–Jestem tu tylko czasowo – odrzekł Chuck niezadowolony.

–Żebyś się tylko nie stoczył – odezwał się Petri. – A poza tym unieważnili twoje odejście. Uważają, że powinieneś być w pracy. Dla własnego dobra. Nie powinieneś być sam w miejscu, gdzie możesz pogrążyć się w rozmyślaniach. – Przyjrzał się Joan Trieste, wyraźnie zastanawiając się, czy to ona przeszkodziła Chuckowi w próbie samobójstwa. Nikt go jednak nie oświecił. – Więc wrócisz z nami do biura? Jest masa roboty, na całą noc.

–Dzięki – odparł Chuck – ale muszę przenieść swoje rzeczy. Powinienem się urządzać, przynajmniej częściowo. – Ciągłe pragnął zostać sam, mimo że doceniał ich intencje. Instyngt pchał go jednak do ucieczki. Pragnął się ukryć.

–Mogę z nim zostać, chociażby przez pewien czas – powiedziała Joan Trieste do mężczyzny z CIA. – Dopóki nie dostanę telefonu alarmowego. Zwykle około piątej zaczyna się największy ruch uliczny. Ale do tego czasu...

–Słuchajcie – powiedział Chuck szorstko.

Wszyscy troje spojrzeli na niego pytająco.

–Jeżeli ktoś chce się zabić, nie zatrzymacie go. Możecie to tylko odwlec. Może psi, jak Joan, przywlecze go z powrotem, ale nawet jeśli przywrócicie go do życia, znajdzie sposób, by zrobić to ponownie. Więc zostawcie mnie w spokoju. – Czuł się znużony. – O czwartej mam spotkanie z moim adwokatem. Mam mnóstwo spraw do załatwienia. Nie mogę stać tu i gadać.

Spoglądając na zegarek, Elwood zaproponował:

–Podwiozę cię do adwokata. Możemy to załatwić. – Skinął głową w stronę Petriego.

–Może się jeszcze zobaczymy – powiedział Chuck do Joan.

–Kiedyś. – Był zbyt znużony, by się o to troszczyć. – Dziękuję – dodał niejasno, nie wiedząc dokładnie, za co jej dziękuje.

–Lord Running Clam jest w swoim pokoju – odezwała się z delikatnym naciskiem – i może odbierać twoje myśli. Jeżeli będziesz próbował się zabić, usłyszy i przeszkodzi. Więc jeśli zamierzasz to zrobić...

–Okej – odparł Chuck. – Nie będę próbował tego tutaj.

Wyszedł z Elwoodem i Petrim. Joan podążyła za nimi.

Gdy przechodzili korytarzem, zobaczył, że drzwi do pokoju galaretniaka są otwarte.

Duży żółty kopczyk poruszył się delikatnie w geście powitania.

–Tobie też dziękuję – powiedział na wpół ironicznie Chuck i minął go, idąc ze swoimi współpracownikami z CIA.

W drodze do biura Nata Wildera w San Francisco Jack Elwood odezwał się:

–Słyszałeś pewnie o „Operacji Pięćdziesiąt Minut”. Poprosiliśmy o włączenie tam naszego człowieka. Rutynowa prośba, która oczywiście została uwzględniona. – Patrzył w zamyśleniu na Chucka. – Myślę, że w tym przypadku użyjemy symulakrona.

Chuck Rittersdorf skinął głową bez zainteresowania. Używanie symulakronów w planach, w których istniało potencjalne zagrożenie, było zwykłą procedurą. CIA miało niski budżet operacyjny i nie lubiło tracić ludzi.

–Symulakron – powiedział Elwood – zrobiony dla nas przez General Dynamics w Palo Alto jest już ukończony. Możesz go obejrzeć. – Przeczytał notatkę na małej karteczce, którą wyciągnął z kieszeni: – Nazywa się Daniel Mageboom, lat dwadzieścia sześć, Anglosas... Ukończył uniwersytet w Stanford jako magister nauk politycznych. Przez rok uczył w stanie San Jose, potem wstąpił do CIA. To właśnie powiemy reszcie uczestników operacji. Tylko my będziemy wiedzieć, że symulakron zbiera dla nas dane. Na razie nie zdecydowaliśmy jeszcze, kto będzie nim kierował. Może Johnstone – zakończył.

–Ten głupek – powiedział Chuck.

Do pewnego stopnia symulakron mógł działać na własną rękę, ale operacja tego typu wymagała podejmowania zbyt wielu decyzji. Pozostawiony samemu sobie Dan Mageboom mógł wkrótce zostać zdemaskowany jako maszyna. Mógł chodzić, mówić, ale w chwili wyboru postępowania, dobry operator, usadowiony w całkowicie bezpiecznym Poziomie Pierwszym budynku CIA w San Francisco, przejmował kontrolę.

Gdy zaparkowali pojazd na dachu biura Nata Wildera, Elwood dodał z zadumą:

–Myślałem, Chuck, że ty mógłbyś pokierować Danym. Johnstone, jak sam zauważyłeś, nie jest najlepszy.

Chuck patrzył na niego zaskoczony.

–Dlaczego? To nie moja robota. – Wiedział, że CIA miała korpus ludzi wyszkolonych do operowania symulakronami.

–Traktuj to jako przysługę – rzekł wolno Elwood, przyglądając się natężonemu popołudniowemu ruchowi lotniczemu, który wisiał nad miastem jak chmura dymu. –

Mógłbyś być ze swoją żoną, porozmawiać.

–Absolutnie nie – odparł Chuck po chwili.

–Więc chociaż, by ją obserwować.

–Po co? – Poczł wściekłość i oburzenie.

–Bądźmy realistami – powiedział Elwood. – Dla psychiatrów z CIA jest oczywiste, że ciągle ją kochasz. A potrzebujemy operatora dla Dana Magebooma na pełny etat. Petri przez kilka tygodni może pisać scenariusze. Spróbuj. Zobaczysz, czy ci się to spodoba. Jeżeli nie, to wrócisz do swoich skryptów. Boże, przez lata programowałeś symulakrony, więc założę się, że ta praca przyjdzie ci z łatwością. I będziesz na tym samym statku, co Mary, lądując na Alfie III M2 w tym samym czasie.

–Nie – powtórzył Chuck. Otworzył drzwi pojazdu i wyszedł na płytę lotniska. – Do zobaczenia później. Dziękuję za podwiezienie.

–Wiesz, że mógłbym kazać ci wziąć tę robotę – rzekł Elwood. – Zrobiłbym to, gdybym wiedział, że tak będzie lepiej dla ciebie. A tak pewnie jest. Oto co chyba zrobię: wyciągnę akta twojej żony z FBI i prześledzę je uważnie. W zależności od tego, jakim jest typem człowieka... – Machnął ręką. – Na tej podstawie zadecyduję.

–A jaką osobą powinna być – spytał Chuck – bym miał ją szpiegować symulakronem CIA?

–Kobietą, do której warto, byś wrócił – odrzekł Elwood i zamknął drzwi pojazdu.

Petri włączył silnik i maszyna uniosła się w popołudniowe niebo. Chuck obserwował ją przez chwilę.

–Typowe myślenie CIA – powiedział do siebie z sarkazmem.

–Cóż, powinienem się już do tego przyzwyczaić.

Ale w jednym Elwood miał rację. Zaprogramował już wiele symulakronów całkiem przekonującą retoryką. Gdyby wziął w swoje ręce kontrolę, mógłby nie tylko skutecznie operować Danem Mageboomem, czy jak on się tam nazywał; mógłby – i to go zastanowiło – przekształcić robota w delikatny instrument, za pomocą którego omamiałby, a nawet niszczył tych dookoła niego. On sam, Chuck, nie był tak przekonujący, był jednak mistrzem w swoim zawodzie. Dan Mageboom w jego rękach mógłby stanąć twarzą w twarz z Mary. I Jack Elwood wiedział o tym najlepiej. Nic dziwnego, że to zaproponował.

Ale istniała także zła strona. Zamiar ten budził w nim odrazę. Kurczył się na samą

myśl o jego ohydzie, a mimo to nie mógł go po prostu odrzucić. Przecież nawet sama egzystencja na Ziemi także nie była czysta.

Rozwiązanie prawdopodobnie polegało na znalezieniu kogoś, na kim można było polegać podczas kierowania symulakronem. Kogoś, kto mógłby strzec jego interesów. Na przykład Petri.

A potem pomyślał: „Ale jakie są moje interesy?” Głęboko zamyślony przeszedł przez rampę. Nowy pomysł, ten podsunięty mu przez Jacka Elwooda, niepostrzeżenie wśliznął się do jego myśli.

Symulakron CIA z Mary na odległym księżycu, w całkowicie innym układzie gwiazdnym, wśród chorych członków obłąkanego społeczeństwa – jest jedna rzecz, którą mógłby zrobić w takich warunkach, pomyślał. Coś, co biorąc pod uwagę tak wyjątkową sytuację, mogłoby ująć na sucho. Nie był to pomysł, którym można by się z kimś podzielić. W rzeczywistości nawet samemu sobie nie umiał tego wytłumaczyć. Jednakże miało to pewną przewagę nad samobójstwem, do tego już doszedł. „W takich warunkach, dzięki maszynie CIA, czy raczej General Dynamics, mógłbym spróbować ją zabić – powiedział do siebie. – Prawnie zostałbym uniewinniony, bo symulakron, kierowany na taką odległość, często funkcjonuje na własną rękę. Jego autonomiczne obwody często biorą górę nad instrukcjami odległego operatora. W każdym razie warto spróbować. W sądzie mogę się bronić, że symulakron działał sam. Mogę przytoczyć niezliczone dokumenty dowodzące, że roboty często robią takie rzeczy... Historia CIA pełna jest takich fuszerek w kulminacyjnych momentach. Potem będzie śledztwo, mające udowodnić, że przekazałem instrukcje symulakronowi”.

Podszedł do drzwi Nata Wildera, otworzył je i wszedł do środka, ciągle głęboko zamyślony.

Dobry czy zły pomysł – sprawa pozostawała do rozstrzygnięcia na gruncie moralnym, jeżeli nie czysto praktycznym. W każdym razie był to ten rodzaj pomysłu, który nieprędko wietrzył z głowy, kiedy już raz w niej zagościł. Jak idee fixe ogarniał jego myśli i tam już pozostawał.

Nawet teoretycznie nie mogła to być „zbrodnia doskonała”. Ciężar podejrzeń padnie na niego. Sędzia – ktokolwiek by prowadził tę sprawę – od razu domyśli się, co się wydarzyło. Podobnie reporterzy, wśród których były najtęższe głowy USA. Ale podejrzania a dowody, to dwie różne rzeczy. Poza tym do pewnego stopnia mógłby się ukryć za zasłoną tajności, która stale otaczała działania CIA.

Między Terra i Układem Alfy były ponad trzy lata świetlne – niezmierna odległość. Oczywiście zbyt dużo, by – w normalnych warunkach – popełnić najwyższą zbrodnię. Zniekształcenia sygnałów przechodzących przez hiperprzestrzeń racjonalnie

uznawane były jako stale istniejący czynnik. obrońca, jeżeli byłby dobry, nawet z tego jednego argumentu mógłby zrobić użytek.

A Nat Wilder był takim adwokatem.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem, po zjedzeniu obiadu w restauracji „Niebieski Lis”, zadzwonił do domu swojego szefa, Jacka Elwooda.

–Chciałbym zobaczyć to stworzenie, które nazywacie Dan Mageboom – oświadczył ostrożnie.

Na małym ekranie twarz szefa wykrzywiła się w uśmiechu.

–W porządku. Wracaj do tej rudery, w której żyjesz. Dan wpadnie do ciebie. Teraz jest u mnie w domu i zmywa naczynia. Co sprawiło, że się zdecydowałeś?

–Nie ma żadnej konkretnej przyczyny – odrzekł Chuck i odłożył słuchawkę.

Wrócił do mieszkania – w nocy jego pokój wyglądał jeszcze bardziej przygnębiająco – i usiadł, czekając na Dana.

Prawie natychmiast na korytarzu rozległ się męski głos, pytający o niego. A potem myśli ganimedejskiego galaretniaka uformowały się w jego mózgu:

–Panie Rittersdorf, jakiś dżentelmen szuka pana.

Chuck podszedł do drzwi i otworzył je. Za nimi stał niski mężczyzna w średnim wieku z wydatnym brzuchem, ubrany w staromodny garnitur.

–Czy pan jest Rittersdorf? – zapytał posępnie. – O rany, ale śmietnik. Pełno dziwnych istot spoza Terry. Co robi tu Terranin? – Wylał chusteczką spoconą czerwoną twarz. – Jestem Bunny Hentman. Czy jesteś scenarzystą? Czy też może pomyliłem adres?

–Piszę scenariusze dla symulakronów – odparł Chuck. Wiedział, że to oczywiście robota Mary, która chciała być pewna, że będzie dobrze zarabiał, by wspierać ją materialnie.

–Jak to się stało, że mnie pan nie poznał? – mruknął Hentman. – Czy nie cieszę się światową sławą? A może nie oglądasz telewizji? – Z irytacją zaciągnął się cygarem. – A więc jestem. Chcesz dla mnie pracować, czy nie? Słuchaj, Rittersdorf, nie przywykłem nikogo błagać. Twoja pisanina jest dobra, przyznaję. Gdzie jest twój pokój? Czy może mamy stać na korytarzu? – Zobaczył uchylone drzwi do mieszkania Chucka i od razu ruszył w tym kierunku.

Chuck podążył za nim, usiłując zebrać myśli. Jasne było, że łatwo nie pozbędzie się Hentmana. Ale właściwie jego obecność w niczym mu nie przeszkadzała. Będzie to

dobry sprawdzian skuteczności Dana Magebooma.

–Chyba pan rozumie – powiedział do Hentmana, gdy zamknął drzwi – że specjalnie nie potrzebuję tej pracy.

–Jasne, jasne – kiwnął głową Hentman. – Wiem, że jesteś patriotą i lubisz pracować dla CIA. Słuchaj – skinął na niego palcem – mogę zapłacić ci trzy razy tyle, co oni. I będziesz miał większą swobodę w pisaniu. Mimo że ostatnie słowo co do formy i wykorzystania tego należy oczywiście do mnie. – Ze zgrozą rozejrzał się po pokoju. – Przypomina mi to moje dzieciństwo w Bronksie. To naprawdę straszna nędza. Co się stało? Czyżby żona zniszczyła cię w sprawie rozwodowej? – W jego oczach pojawił się wyraz współczucia. – Taak. To może być ciężkie, wiem. Trzy razy się rozwodziłem i za każdym razem cholernie dużo mnie to kosztowało. Prawo stoi po stronie kobiet. Twoja żona jest atrakcyjna, ale... – Machnął ręką. – Sam już nie wiem. Jest jakaś zimna. Wiesz, o co mi chodzi? Taka wyrachowana. Nie zazdroszczę ci. Z taką kobietą nie można się wplątywać w żadne legalne związki. Trzeba się najpierw upewnić, że jest to tylko romans. – Przyjrzał się Chuckowi. – Tak, ale ty jesteś typem małżeńskim, widać to po tobie. Grasz fair. Taka kobieta jak Mary może cię zdeptać i wyjdiesz z tego bardziej płaski niż dupa owada.

Rozległo się pukanie do drzwi i w tym samym momencie umysł Chucka odebrał myśli Ganimedejczyka, Lorda Runninga Clama:

–Drugi gość, panie Rittersdorf. Tym razem młodszy.

–Przepraszam na chwilę – powiedział Chuck do Bunny’ego Hentmana; podszedł do drzwi i otworzył je.

–Kto tutaj posługuje się myślomową? – wymamrotał za nim Hentman.

Młody mężczyzna o pogodnej twarzy, dobrze wyglądający, w najmodniejszym ubraniu od braci Harding, odezwał się do Chucka:

–Pan Rittersdorf? Jestem Dan Mageboom. Pan Elwood prosił mnie, bym zajrzał do pana.

Dobra robota, nigdy by nie zgadł. Chuck poczuł podniecenie, gdy zdał sobie z tego sprawę.

–Jasne, proszę wejść. – Wprowadził symulakrona do nędznego mieszkadła. – Panie Mageboom, to jest Bunny Hentman, słynny komik telewizyjny. No, wie pan, ten je-je, bum-bum Hentman, który lata w przebraniu zezowatego królika z kłapiącymi uszami.

–Cóż za zaszczyt – powiedział Mageboom, wyciągając rękę. Uścisnęli sobie dłonie, mierząc się wzrokiem. – Wiele razy oglądałem pański program. Kupa śmiechu.

–Tak – mruknął Bunny Hentman, patrząc surowo na Chucka.

–Dan jest nowym pracownikiem w moim biurze, spotykamy się po raz pierwszy. Będziemy teraz razem pracować – dodał Chuck.

–Teraz – zaprotestował energicznie Hentman – będziesz pracować dla mnie, nie rozumiesz tego? Moi pracownicy przygotowali kontrakt. – Zachmurzony, wsadził rękę w kieszenie.

–Czy przypadkiem nie przeszkadzam? – zapytał Mageboom, wycofując się przezornie. – Mogę przyjść później, panie Rittersdorf. Chuck, jeżeli można tak cię nazywać.

Hentman spojrzał na niego, potem wzruszył ramionami i zaczął rozwijać kontrakt.

–Spójrz tutaj. Zobacz, ile dostaniesz. – Dźgnął cygarem papier. – Czy ta banda szpicli może ci tyle zapłacić? Rozśmieszanie Ameryki też jest patriotyczne, podnosi morale, godzi w komunistów. W rzeczy samej jest nawet bardziej patriotyczne niż to, co robisz obecnie. Te symulakrony to bezduszne głąby. Skóra mi cierpnie na samą myśl o nich.

–Zgadza się z panem – powiedział Dan Mageboom. – Ale, panie Hentman, jest też druga strona medalu. Zaraz to panu wyjaśnię. Pan Rittersdorf, Chuck, robi coś, czego nie potrafi nikt inny. Programowanie symulakronów jest sztuką, bez mistrzowskiego zaprogramowania są tylko niezdarami i każdy, nawet dziecko, może je odróżnić od człowieka. Ale właściwie pokierowane... – uśmiechnął się. – Nigdy nie widział pan symulakronów Chucka w akcji. To nieprawdopodobne. Także pan Petri robi to dobrze – dodał. – Czasami nawet lepiej.

Oczywiście to Petri zaprogramował symulakrona. Sam sobie zrobił reklamę. Chuck nie mógł stłumić śmiechu.

–Może powinienem zaangażować tego Petriego – rzekł posępnie Bunny Hentman. – Jeżeli jest taki dobry.

–Do pańskich celów – powiedział Mageboom – Petri może być nawet lepszy. Wiem, co w scenariuszach Chucka przemawia do pana, ale problem polega na tym, że to pewnego dnia zniknie. Wątpię, czy będzie w stanie na dłuższą metę być tak dowcipny. No, ale...

–Bujaj się – warknął Hentman do Magebooma. Do Chucka zaś rzekł: – Nie mogę tak rozmawiać. Czy nie moglibyśmy pójść gdzie indziej? – Był wyraźnie rozzłoszczony obecnością Dana... Coś mu w tym wszystkim nie pasowało.

W umyśle Chucka ponownie pojawiły się myśli galaretniaka:

–Wspaniała, urocza dziewczyna, chociaż bez operacji powiększania sutków, weszła do budynku, panie Rittersdorf. Szuka pana. Powiedziałem jej, żeby weszła na górę.

Bunny Hentman, prawdopodobnie także odbierając myśli galaretniaka, jęknął z desperacją:

–Czy już nigdzie nie możemy porozmawiać? Kto, do diabła, tym razem? – Odwrócił się w stronę drzwi.

–Panna Trieste nie będzie panom przeszkadzać w rozmowie, panie Hentman – powiedział Dan Mageboom.

Chuck spojrzął zaskoczony, że symulakron wygłasza opinię o Joan, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że to nie program. To Petri kierował nim z budynku CIA w San Francisco.

–Czy nie przeszkadzam, Chuck? – spytała. – Pan Hentman! – powiedziała i zaczerwieniła się. Oglądałam pana setki razy! Uważam, że jest pan największym żyjącym komikiem! Jest pan wielki jak Sid Ceasar i ci wszyscy ze starych dobrych czasów! – Jej oczy błyszczały. Stała blisko Bunny’ego Hentmana, ale uważała, żeby go nie dotknąć. – Chuck, jesteś przyjacielem pana Hentmana? Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

–Usiłujemy – jęknął Hentman – zawrzeć umowę. Nie wie pani, jak mamy to zrobić? – Pocąc się obficie, zaczął krążyć po małym pokoju. – Poddaję się – stwierdził. Nie mogę pana zaangażować, nie ma mowy. Zna pan za dużo ludzi. Pisarze powinni prowadzić życie samotników.

Joan Trieste nie zamknęła drzwi i teraz pojawił się w nich galaretniak.

–Panie Rittersdorf – dotarły do Chucka jego myśli – mam do pana pilną sprawę. Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? Może przejdźmy do mojego mieszkania.

Hentman odwrócił się i jęknął. Podeszedł do okna i stanął przy nim, wyglądając demonstracyjnie na zewnątrz. Zaskoczony Chuck podążył za galaretnikiem.

–Proszę zamknąć drzwi i podejść bliżej – powiedział Lord Running Clam. – Nie chciałbym, aby inni odebrali moje myśli. Ta osoba, pan Dan Mageboom – pomyślał cicho Ganimedejczyk – on nie jest człowiekiem, on jest maszyną. W jego wnętrzu nie ma osobowości, ktoś operuje nim na odległość. Doszedłem do wniosku, że powinienem pana ostrzec. W końcu jest pan moim sąsiadem.

–Dziękuję – odparł Chuck – ale wiem już o tym. – Poczł jednak niechęć, nie chciał, żeby galaretniak grzebał w jego myślach, biorąc pod uwagę ich obecną treść.

–Słuchaj... – zaczął, ale Lord Running Clam przerwał mu.

–Zbadałem już zawartość twego umysłu – poinformował go. – Twoją wrogość do żony, mordercze impulsy. W każdym razie byłoby niegrzecznie z mojej strony rozmawiać o tym z kimkolwiek. Tak jak ksiądz lub lekarz, telepata musi...

–Nie rozmawiajmy już o tym – rzekł Chuck. To, że galaretniak wiedział o jego planach, stawiało je w nowym świetle. Być może głupotą byłoby je kontynuować. Gdyby oskarżyciel sprowadził Lorda do sądu...

–Na Ganimedzie – rzekł galaretniak – zemsta jest święta. Jeżeli pan nie wierzy, proszę zadzwonić do swojego adwokata, Nata Wildera. On to sprawdzi. W żaden sposób nie wyrażam ubolewania nad kierunkiem pańskich działań. Są na pewno lepsze od poprzednich, samobójczych zamiarów, które pozostają w sprzeczności z naturą.

Chuck odwrócił się, chcąc wyjść.

–Poczekaj – rzekł galaretniak. – Jeszcze jedna sprawa. W zamian za moje milczenie wyświadczysz mi przysługę.

A więc o to chodziło. Nie był zdziwiony, w końcu Lord Running Clam był biznesmenem.

–Nalegam, panie Rittersdorf, aby przyjął pan pracę oferowaną przez pana Hentmana.

–A co z moją pracą w CIA?

–Nie musi pan jej rzucać, może pan trzymać dwie sroki za ogon jednocześnie. – Myśli galaretniaka brzmiały bardzo konfidencjonalnie.

–Dwie sroki za ogon?! Skąd znasz takie określenie?

–Jestem ekspertem w dziedzinie kultury terrańskiej – wyjaśnił Lord Running Clam. – Będzie pan pracował dla CIA w dzień, a dla Bunny'ego Hentmana w nocy, tak sobie to wyobrażam. Będą panu potrzebne pewne środki, stymulanty z grupy heksoamfetamin, które są nielegalne na tej planecie, ale dostarczę je panu. Mam tu kontakty, więc mogę je łatwo dostać. Nie będzie pan w ogóle potrzebował snu, metabolizm pańskiego mózgu będzie stymulowany przez...

–Szesnastogodzinny dzień pracy! Już lepiej od razu idź na policję.

–Nie – zaprotestował galaretniak. – Wynik będzie taki, że powstrzymasz się od morderstwa, wiedząc, że władze znają twoje zamiary. Nie będziesz więc już próbował

zemścić się na tej złej kobiecie, zaniechasz swoich planów i pozwolisz jej żyć.

–Skąd wiesz, że Mary jest złą kobietą? – spytał Chuck. – Co ty w ogóle wiesz o terrańskich kobietach?

–Z twoich myśli dowiedziałem się o wielu drobnych przejawach sadyzmu, które przez lata dotykały cię ze strony pani Rittersdorf. To niewątpliwie diaboliczne, bezwzględne normy kulturowe. Dlatego też jesteś chory i nie odbierasz rzeczywistości właściwie. No choćby to, że uparcie odmawiasz nadzwyczajnie atrakcyjnej oferty pracy, którą przedstawia ci pan Hentman.

Rozległo się pukanie. Drzwi otworzyły się i do mieszkania zajrzał z groźną miną Bunny Hentman.

–Muszę już iść. Więc jaka jest twoja odpowiedź, Rittersdorf? Jeżeli się do mnie przyłączysz, nie masz prawa zabierać ze sobą tych wszystkich galaretowatych organizmów spoza Terry.

–Pan Rittersdorf przyjmuje tę ofertę, panie Hentman – zabrzmiały myśli Lorda Runninga Clama.

–A kim ty jesteś? – zapytał Hentman. – Jego agentem?

–Jestem kolegą pana Rittersdorfa – oświadczył galaretniak.

–W porządku. – Hentman wręczył Chuckowi kontrakt. – Opiewa na osiem tygodni, jeden godzinny scenariusz tygodniowo i raz w tygodniu udział w konferencji z innymi pisarzami. – Twoja pensja wynosić będzie osiem tysięcy skinów TERPLAN-u, zgoda?

Lepiej niż dobrze. Było to dwa razy więcej, niż oczekiwał. Podpisał kopię umowy.

–Podpiszę jako świadek – powiedziała Joan Trieste. Ona także weszła do pokoju. Podpisała trzy kopie i oddała je Bunny’emu Hentmanowi. Ten wcisnął je do kieszeni płaszcza, lecz zaraz przypomniał sobie, że jedną powinien oddać Chuckowi. Wyciągnął ją więc i zwrócił mu.

–Brawo – powiedział galaretniak. – Aż się prosi, żeby oblać ten fakt.

–Ja nie mogę – odparł Hentman. – Muszę iść. Do zobaczenia, Rittersdorf. Będę w kontakcie. Zainstaluj sobie wideofon w tej zgniłej dziurze albo przeprowadź się do czegoś lepszego. – Drzwi mieszkała Lorda Runninga Clama zamknęły się za nim.

–A więc nasza trójka – powiedział galaretniak – może się zabawić. Znam bar, w którym obsługują nie-Terran. Ja, oczywiście, stawiam.

–Świetnie – odrzekł Chuck. Nie chciał zostać sam. Gdyby został w mieszkadłe, Mary znów mogłaby go tam znaleźć.

Kiedy otworzyli drzwi, ku ogólnemu zaskoczeniu zobaczyli w holu znajomego mężczyznę o puciołowatej twarzy. Był to Dan Mageboom.

–Przepraszam – rzekł Chuck. – Zapomniałem o tobie.

–Idziemy na małą uroczystość – wyjaśnił galaretniak, wyciekając z mieszkadła. – Zapraszamy cię, mimo, że nie masz umysłu i jesteś tylko pustą skorupką.

Joan Trieste z zaciekawieniem przyjrzała się Mageboomowi, po czym spojrzała pytająco na Chucka.

–Mageboom jest robotem CIA – wytłumaczył jej, Dana zaś zapytał: – Kto to? Petri?

–W tej chwili używam mojego obwodu autonomicznego, panie Rittersdorf – uśmiechnął się Dan. – Pan Petri wyłączył się, kiedy wyszedł pan z mieszkadła. Nie wydaje się panu, że to dobra robota? Sądził pan, że jestem pod kontrolą, a nie jestem. – Symulakron wydawał się bardzo zadowolony z siebie. – W rzeczywistości – stwierdził – mogę funkcjonować na własną rękę przez cały wieczór. Mogę iść z wami do baru, pić, bawić się i zachowywać jak człowiek, a czasami może nawet lepiej.

„A więc to jest instrument, za pomocą którego mam wyrównać rachunki z moją żoną” – pomyślał Chuck, gdy wychodzili.

–Pamiętaj, Rittersdorf – ostrzegł galaretniak, przechwytyując jego myśli – panna Trieste jest członkiem Departamentu Policji w Ross.

–Jestem. I co z tego? – powiedziała Joan. Odbierała myśli Lorda Runninga Clama, ale nie Chucka. – Dlaczego pomyślałeś to do pana Rittersdorfa? – zapytała Ganimedejczyka.

–Sądzę, że z tego powodu nie może się angażować w żadne miłostki – odparł.

To wyjaśnienie wyraźnie ją usatysfakcjonowało.

–Myślę – rzekła – że powinieneś się zająć swoimi sprawami. Wy, Ganimedejczycy, musicie tracić dużo czasu na tę waszą telepatię. – Sprawiała wrażenie rozzłoszczonej.

–Przepraszam, jeżeli źle osądziłem pani pragnienia, panno Trieste. Proszę mi wybaczyć – powiedział galaretniak. Do Chucka zaś pomyślał: – A jednak panna Trieste zaangażuje się w związek z panem.

–Na Boga – poskarżyła się. – Pilnuj swojego nosa. Zmieńmy temat.

–Trudno zadowolić terrańskie dziewczyny – pomyślał ponuro Lord Running Clam i przez resztę drogi na wszelki wypadek w ogóle już nie myślał.

Później, gdy siedzieli w restauracji – galaretniak jako wielki żółty kopiec na skóropodobnym fotelu – Joan Trieste powiedziała:

–Myślę, Chuck, że to cudowne, że będziesz pracował dla Bunny’ego Hentmana. Jakież to podniecające!

–Panie Rittersdorf, wydaje mi się, że nie powinien pan powiadamiać swojej żony, że pracuje pan obecnie w dwóch miejscach – pomyślał Lord. – Gdyby o tym wiedziała, zażądałaby wyższych alimentów.

–Rzeczywiście – zgodził się Chuck. To była cenna uwaga.

–Kiedy dowie się, że pracujesz dla Hentmana, lepiej żebyś przyznał się do tego, zatrzymując pieniądze z CIA. Poproś swoich współpracowników, szczególnie twojego przełożonego, Jacka Elwooda, o dyskrecję.

Chuck przytaknął.

–Dzięki temu, mimo że będziesz płacić alimenty, wystarczy ci pieniędzy na dostatnie życie. Pomyślałeś o tym?

Szczerze mówiąc, nie patrzył tak daleko w przyszłość. Galaretniak był bardziej zapobiegliwy i to go zmartwiło.

–Widzisz – rzekł Lord Running Clam – że staram się dbać o twoje interesy. Moje nalegania, byś przyjął ofertę Hentmana...

–Uważam, że to wstrętne – przerwała Joan Trieste – jak wy, Ganimedejczycy, bawicie się ludzkim losem. – Spiorunowała wzrokiem galaretniaka.

–Nie zapominaj – powiedział tamten grzecznie – że to dzięki mnie się spotkaliście. I przewiduję, mimo że nie jestem prekognitą, waszą olbrzymią i pełną sukcesów aktywność w sferze seksualnej.

–Zamknij się – warknęła Joan.

Po uroczystości Chuck zostawił galaretniaka, uwolnił się od Dana Magebooma, przywołał taksówkę i towarzyszył Joan w drodze powrotnej do mieszkania.

Gdy jechali, Joan odezwała się:

–Cieszę się, że nie ma z nami Lorda Runninga Clama. Czytanie przez cały czas cudzych myśli jest nieuczciwe. Ale rzeczywiście, dzięki niemu się spotkaliśmy... – przerwała, podnosząc głowę i nasłuchując uważnie. – Wypadek. – Wydała nowe polecenie taksówce. – Jestem potrzebna, zdarzyło się nieszczęście.

Kiedy dotarli na miejsce, ujrzeli skoczką odrzutowego wbitego dziobem w ziemię. W czasie lądowania widocznie zawiodła turbina i pojazd rozbił się o ścianę budynku, wyrzucając pasażerów na zewnątrz. Pod prowizorycznym przykryciem z płaszczy i swetrów leżał blady starszy mężczyzna. Policjanci odganiaли wszystkich i Chuck zrozumiał, że to było owo nieszczęście.

Joan od razu podbiegła do leżącego. Chuck, nie zatrzymywany przez nikogo, podążył za nią. Przybyła już karetka i terkotała teraz, gotowa do przewiezienia ofiary do szpitala w Ross.

Joan pochyliła się i zaczęła oglądać zmarłego.

–Trzy minuty temu – powiedziała na wpół do siebie, na wpół do Chucka. – W porządku, chwileczkę. Przeniosę go w czasie pięć minut wstecz. – Obejrzała portfel mężczyzny podany jej przez jednego z policjantów. – Earl B. Ackers – wyszeptała i zamknęła oczy. – To ma zadziałać jedynie na pana Ackersa – powiedziała do Chucka. – Przynajmniej tak powinno być. Ale nigdy nie można być tego pewnym... – Jej twarz wykrzywiła się, gdy starała się skoncentrować. – Lepiej odsuń się, żeby to na ciebie nie podziało.

Podniósł się i odszedł dalej. Przechadzał się w zimnym, nocnym powietrzu, paląc papierosa i słuchając zgiełku policyjnych syren. Zebrał się tłum ludzi i samochody poruszały się powoli, kierowane przez policjantów.

„Z jaką dziwną dziewczyną się spotykam – pomyślał. – Członek departamentu policji i do tego psi. Ciekaw jestem, co by zrobiła, gdyby wiedziała, do czego zamierzam użyć symulakrona Dana Magebooma. Prawdopodobnie Lord Running Clam ma rację: byłoby fatalnie, gdyby się dowiedziała”.

–Chodź tu! – krzyknęła Joan, machając do niego.

Podszedł szybko.

Mężczyzna pod prowizorycznym przykryciem oddychał, jego klatka piersiowa unosiła się i opadała lekko, a w kącikach ust gromadziły się kropelki śliny.

–Cofnął się w czasie o cztery minuty – powiedziała do Chucka Joan. – Znowu żyje, ale jest po wypadku. To było wszystko, co mogłam zrobić. – Skinęła na szpitalne symulakrony. Podeszły natychmiast i pochyliły się nad przywróconym do życia rannym mężczyzną. Używając czegoś, co okazało się aparatem rentgenowskim,

starszy rangą symulakron badał jego ciało, szukając najcięższych obrażeń.

Potem zwrócił się do swojego towarzysza; symulakrony wymieniły myśli i natychmiast młodszy otworzył swój metalowy bok, wyciągnął kartonowy rulon i szybko go rozwinął.

Rysunek przedstawiał sztuczną śledzionę. W światłach policyjnych reflektorów Chuck zobaczył informację wytłoczoną na kartonowym pudełku. Symulakrony od razu, na miejscu rozpoczęły operację. Jeden zaaplikował rannemu zastrzyk znieczulający, podczas gdy drugi, przy użyciu skomplikowanej protezy chirurgicznej, zaczął ciąć powłokę jamy brzusznej.

–Możemy już iść – odezwała się Joan, budząc Chucka z zamyślenia. – Moja robota skończona.

Z rękami w kieszeniach, mała i szczupła, ruszyła z powrotem do taksówki. Wyglądała na zmęczoną.

–Pierwszy raz widziałem medyczne symulakrony w akcji – odezwał się Chuck, gdy odjeżdżali z miejsca wypadku. Widok ten wywarł na nim ogromne wrażenie, przekonując o niesamowitych zdolnościach sztucznych ludzi, skonstruowanych i rozpowszechnionych przez General Dynamics. Oczywiście wielokrotnie widywał symulakrony CIA, ale to było coś diametralnie różnego. Tutaj ich przeciwnikiem nie była grupa ludzi o odmiennych przekonaniach politycznych. Tu wrogiem była śmierć.

Jeśli chodzi o symulakrona Daniela Magebooma, będzie odwrotnie. Będzie niósł śmierć, zamiast z nią walczyć.

Oczywiście, po tym, czego był świadkiem, nie mógł powiedzieć Joan Trieste o swoich planach. I czy w tym wypadku względy praktyczne nie nakazywały zerwania z nią stosunków?

Wydawało się niemal zgubne dla inżyniera wplątywać się w morderstwo, jednocześnie dotrzymując towarzystwa przedstawicielce policji. Czy chciał być złapany? Czy był to inny przejaw impulsu samobójczego?

–Pół skina za twoje myśli – powiedziała Joan.

–Słucham?

–Nie jestem Lordem Runningiem Clamem i nie potrafię czytać twoich myśli, ale wyglądasz tak poważnie, że wydaje mi się, że dręczą cię problemy małżeńskie. Chciałabym móc jakoś cię rozweselić. – Zamyśliła się. – Kiedy dojedziemy do mnie, wejdiesz do środka... – Zarumieniła się, najwyraźniej przypominając sobie słowa galaretniaka. – Tylko mały drink – dodała stanowczo.

–Chętnie – odparł, również pamiętając o przepowiedni Lorda.

–Słuchaj – powiedziała Joan. – To, że ci wścibscy Ganimedejczycy pakują te swoje niby-nosy, czy co oni tam mają, w nasze sprawy, nie znaczy... – przerwała rozdrażniona. Jej oczy błyszczały z ożywienia. – Do diabła z nim. Wiesz, on potencjalnie może być bardzo niebezpieczny. Ganimedejczycy są tacy ambitni... Pamiętasz, w jakich warunkach przyłączyli się do wojny alfańsko-terrańskiej? A przecież wszyscy są tacy jak on. Trzymają milion srok za ogon, wszędzie węsząc możliwości. – Zmarszczyła czoło. – Może powinieneś wyprowadzić się z tego budynku, Chuck. Uciec od niego.

„Trochę już na to za późno” – pomyślał trzeźwo.

Dojechali do domu Joan. Była to nowoczesna, przyjemna budowla, bardzo prosta w konstrukcji i, jak wszystkie nowe budynki, w większej części podziemna.

–Mieszkam na szesnastym piętrze – powiedziała Joan, gdy zjeżdżali windą. – To trochę jak życie w kopalni. Szczególnie kiepsko, gdy cierpi się na klaustrofobię.

Chwilę później Już pod drzwiami mieszkała, gdy znalazła klucz i wsunęła go w zamek, dodała filozoficznie:

–Ale w razie ponownego ataku Alfańczyków jest to bezpieczne miejsce. Między nami a bombą wodorową jest piętnaście pięter.

Otworzyła drzwi. Gwałtownie błysnęła jasna smuga światła, a potem zgasła.

Zamrugał i zobaczył stojącego na środku pokoju mężczyznę z kamerą, mężczyznę, którego rozpoznał. Rozpoznał i znenawidził.

–Cześć, Chuck – rzekł Bob Alfson.

–Kto to jest?! – krzyknęła Joan. – I dlaczego nas filmuje?!

–Spokojnie, panno Trieste – odparł Alfson. – Jestem adwokatem żony pani kochanka. Potrzebujemy dowodów do rozprawy sądowej, która, nawiasem mówiąc – spojrzał na Chucka – jest na wokandzie w następnym poniedziałek o dziesiątej rano, w sali rozpraw sędziego Brizzolara. Przesunęliśmy termin; pańska żona chce mieć to za sobą jak najszybciej.

–Wynoś się – powiedział Chuck.

–Z przyjemnością – odparł Alfson, idąc w kierunku drzwi. – Ten film, którego używam... Na pewno spotkałeś się z nim w CIA. Jest drogi, ale skuteczny. Użyłem czasowego filmu Agfom – wyjaśnił Chuckowi i Joan. – Nagranie nie będzie

przedstawiało tego, co działo się tu dotychczas, lecz co będziecie robić w ciągu następnej pół godziny. Myślę, że to bardziej zainteresuje sędziego Brizzolara.

–Nie oczekuj, że stanie się tu coś ciekawego – rzekł Chuck. – Idę stąd. – Wyszedł na korytarz. Powinien był opuścić to miejsce możliwie jak najszybciej.

–Myślę, że się mylisz – powiedział Alfson. – Sądzę, że na tym filmie znajdzie się parę wartościowych rzeczy. W każdym razie, co ci zależy? To czysto techniczna sztuczka, dzięki której Mary uzyska korzystny wyrok. Musi odbyć się formalna prezentacja dowodów. I nie odmówię sobie przyjemności zobaczenia wówczas twojej miny.

Chuck, zmieszany, odwrócił się.

–To naruszenie prywatności...

–Wiesz, że w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat nikt nie miał odrobiny prywatności – parsknął Alfson. – Pracujesz dla agencji wywiadowczej, nie bądź więc śmieszny, Rittersdorf. – Wyszedł na korytarz, minął Chucka i nie spiesząc się, poszedł w kierunku windy. – Gdybyś chciał kopię filmu...

–Nie – przerwał Chuck. Patrzył za adwokatem, dopóki ten nie zniknął mu z oczu.

–Może jednak wejdiesz. W końcu i tak jest to zarejestrowane na filmie. – Przytrzymała drzwi mieszkała i Chuck wszedł z ociąganiem. – To, co on robi, oczywiście jest nielegalne, ale wydaje mi się, że w sądzie zawsze to wykorzystują. – Poszła do kuchni i zaczęła przygotowywać drinki. Dobięgl go brzęk szklanek. – Czy masz ochotę na Mercurian Slumps? Mam pełną butelkę...

–Wszystko mi jedno – odparł szorstko Chuck. Joan przyniosła drinka. Przyjął go zamyślony.

„Odegram się na niej za to – powiedział do siebie. – Teraz to już przesądzone. Walczę o życie”.

–Wyglądasz strasznie – powiedziała Joan. – Bardzo cię zdenerwował ten facet z kamerą czasową, prawda? Wciskanie nosa w nasze życie. Najpierw Lord Running Clam, a teraz, kiedy...

–Ciągle jeszcze można zrobić coś w tajemnicy – odrzekł Chuck. – Tak, żeby nikt o tym nie wiedział.

–Na przykład?

Nie odpowiedział. Sącył swojego drinka.

Z wysokich półek zeskoczyły na ziemię trzy koty; trzy stare rude kocury, cętkowany kot bezogonowy, następnie kilka półsyjamskich kociaków z puszystymi wąskimi pyszczkami, zwinny młody czarny kocur i ciężarna kocica. Wszystkie wraz z małym pieskiem zgromadziły się u stóp Ignatza Ledebura, uniemożliwiając mu wyjście z chaty.

Przed nim leżały szczątki martwego szczura. Pies, terier, złapał go, a koty ponadgryzały. Ignatz słyszał o świcie ich miauczenie. Było mu żal szczura, który prawdopodobnie łaził po śmieciach leżących przy drzwiach chaty. W końcu on też miał prawo do życia jak ludzie. Pies oczywiście nie wziął tego pod uwagę, instynkt zabijania ośwładnął całą jego słabą istotą. Nie było mowy o żadnej winie moralnej, bowiem szczury przerażały go. W przeciwieństwie do swoich pobratymców z Terry miały łapy na tyle zręczne, aby konstruować prymitywną broń. Były kute na cztery nogi.

Przed Ignatzem stała zardzewiała pozostałość traktora, długo nie poddawanego przeglądowi. Porzucono go tutaj z nadzieją, że może kiedyś zostanie zreperowany. Od tego czasu bawiło się na nim piętnaścioro (a może szesnaścioro?) dzieci Ignatza, pobudzając do działania szczątki jego obwodów.

Nie znalazł tego, czego szukał – pustego plastikowego kartonu po mleku, potrzebnego do rozpalenia porannego ognia. Musiał więc zamiast tego połamać deskę. Zaczął grzebać wśród sterty rupieci, szukając odpowiedniej.

Poranne powietrze było zimne i drżał, żałując, że zgubił swą wełnianą kurtkę. W czasie jednego z długich spacerów położył się, by odpocząć, kładąc kurtkę pod głowę jako poduszkę... Kiedy obudził się, zapomniał o niej i zostawił tam. No i po kurtce. Oczywiście nie pamiętał, gdzie to było. Niejasno majaczyło mu, że gdzieś w okolicach Adolfville, dziesięć dni marszu od domu.

Mieszkająca w sąsiedniej chałupie kobieta, która kiedyś była jego, do momentu aż znudziło mu się ojcowanie dwojgu dzieciom, które z nią miał, wyszła i rozwścieczona zaczęła krzyczeć na dużą białą kozę, buszującą w ogródku warzywnym. Zwierzę nie przestało jeść, dopóki kobieta nie podeszła. Potem bryknęło, wierzgnęło zadnimi nogami i odskoczyło. Liście buraka ciągle sterczały mu z pyska. Stado kaczek, przestraszone aktywnością kozy, zakwakało i rozpiezchło się w panice.

Ignatz roześmiał się. Kaczki wszystko brały zbyt poważnie. Połamał deskę i wrócił do chaty. Koty ciągle wlokły się za nim; zamknął im drzwi przed nosem (jednemu mimo to udało się przecisnąć do środka), przykucnął przy żelaznej spalarce śmieci i zaczął przygotowywać ognisko.

Na kuchennym stole spała jego obecna żona, Elsie, przykryta stosem koców. Wiedział, że nie wstanie, dopóki mąż nie rozpali ognia i nie przygotuje kawy. Nie winił jej za to. W takie zimne poranki nikt nie lubi wstawać. Mieszkańcy Gandhitown budzili się do życia późnym rankiem, z wyjątkiem oczywiście tych Hebów, którzy wędrowali przez całą noc.

Z jedynej w chacie sypialni wychyliło się małe dziecko. Stało z kciukiem w ustach, nagie, w milczeniu przyglądając się Ignatzowi rozpalającemu ogień. Za plecami dziecka jazgotał telewizor, w którym wysiadła wizja. „Powiniennem coś z tym zrobić” – powiedział do siebie Ignatz, ale nie uznał tego za specjalnie pilne. Przed uruchomieniem księżycowego przekaźnika telewizyjnego w Da Vinci Heights życie było prostsze.

Nagle spostrzegł, że brakuje jednej części garnka. Zamiast jednak jej szukać, zaczął gotować kawę. Na kuchence propanowej zagrzał rondel wody, a następnie wrzucił do niego garść ziarenek. Przyjemny, mocny zapach wypełnił chatę. Ignatz wdychał go z przyjemnością.

Stał przy piecu, Bóg jeden wie, jak długo, wachając i słuchając trzaskania ognia ogrzewającego chatę, kiedy zaczął zdawać sobie sprawę, że ma wizję.

Sparaliżowany, pozostał na miejscu. Tymczasem kociak wspiał się na zlew, gdzie natychmiast zajął się jakimiś resztkami, jedząc je łapczywie. Widok ten i dochodzące dźwięki mieszały się z innymi dźwiękami i widokami. A wizja była coraz potężniejsza.

–Chcę kaszkę kukurydzianą na śniadanie – oświadczył goły dzieciak stojący w drzwiach sypialni.

Ignatz Ledebur nie odpowiedział. Wizja była tak wyraźna, że przesłaniała mu obraz rzeczywistości, i Ignatz właściwie nie wiedział, gdzie się znajduje – nie był ani tutaj, ani tam. A w kategoriach czasu...

Wydawało mu się, że to, co widział, istniało zawsze, ale nie miał co do tego pewności. Być może w ogóle nie istniało w czasie, nie miało początku i bez względu na to, co robił, nie miało końca, gdyż było zbyt wielkie. Najprawdopodobniej pochodziło z innego wymiaru.

–Hej – zamruczała sennie Elsie. – Gdzie jest moja kawa?

–Poczekaj – odparł.

–Poczekaj? Czuję ją, więc, do diabła, gdzie jest? – Usiłowała usiąść, rozrzucając dookoła okrycia. Była naga; jej piersi kołysały się. – Czuję się fatalnie. Jakbym zaraz miała zwymiotować. Twoje dzieciaki są pewnie w łazience. – Zsunęła się ze stołu i podeszła chwiejnie do okna. – Co tak stoisz? – zapytała podejrzliwie, zatrzymując się

przy wejściu do łazienki.

–Daj mi spokój – powiedział Ignatz.

–„Daj mi spokój”? Cholera, to był twój pomysł, żebym tu zamieszkała. Nigdy nie chciałam opuszczać Franka. – Wchodząc do łazienki, trzasnęła drzwiami. Otworzyły się ponownie, więc zamknęła je i przytrzymała nogą.

Wizja się skończyła. Ignatz, zawiedziony, odwrócił się i z rondlem kawy podszedł do stołu. Zrzucił koce, wyciągnął dwa kubki – pozostałości po wczorajszym posiłku – i napełnił je gorącą kawą. Rozdęte ziarenka pływały na powierzchni.

–Co to było? Kolejny z tych twoich tak zwanych transów? Zobaczyłeś coś? Może Boga? – Jej obrzydzenie było ogromne. – Nie dość, że muszę żyć z Hebem, to jeszcze z takim, który ma wizje jak Skitzowie. Jesteś Hebem czy Skitzem? Śmierdzisz jak Heb. Zdecyduj się. – Spuściła wodę i wyszła z łazienki. – I do tego jesteś tak skory do gniewu jak Mans. Tego najbardziej w tobie nie znoszę: twojej ciągłej drażliwości. – Znalazła swoją kawę i zaczęła pić. – Pełno w niej ziarenek! – krzyknęła z wściekłością. – Znowu zgubiłeś garnek!

Teraz, kiedy wizja ustąpiła, trudno mu było przypomnieć sobie, co przedstawiała. To był jedyny kłopot z wizjami. Zawsze zadawał sobie pytanie, na ile związane były z rzeczywistością.

–Widziałem potwora. Stał na Gandhitown i zmiażdżył je. – Było mu przykro. Lubił Gandhitown znacznie bardziej niż inne miejsca na księżycu. A potem poczuł strach, większy niż kiedykolwiek w życiu zdarzyło mu się czuć. Nie mógł nic zrobić. Nie było sposobu, żeby zatrzymać bestię. Nadejdzie i dosięgnie ich wszystkich, nawet potężnych Mansów z ich sprytnymi wynalazkami. Nawet Pare, którzy próbowali bronić się zarówno przed tym, co rzeczywiste, jak i tym nierzeczywistym.

Ale w wizji było coś więcej.

Za potworem zjawiała się potępiona dusza.

Ujrzał ją, gdy wypełzła na świat niczym błyszcząca, zgniła galaretka. Wszystko, czego dotykała, ulegało rozkładowi, nawet jałowa ziemia, rośliny i drzewa. Filiżanka tego czegoś mogłaby zniszczyć cały wszechświat, a należało to do człowieka. Stworzenia, które chciało...

A więc zbliżały się dwa źródła zła. Potwór, który zniszczy Gandhitown, a prócz niego potępiona dusza. Przychodziły oddzielnie i każde z nich ostatecznie miało pójść swoją drogą. Potwór był kobietą, potępiona dusza – mężczyzną. I...

Zamknął oczy. Ta część wizji najbardziej go przeraziła – tych dwoje będzie toczyć

śmiertelną bitwę. I nie będzie to walka między dobrem i złem, lecz ślepy, bezcelowy bój między dwoma istnieniami, z których żadne nie ma racji.

Bitwa, może nawet zakończona śmiercią jednego z nich, będzie toczyć się na tym świecie. Nadchodzą tu, by rozegrać walkę w swej nie kończącej się wojnie.

–Przygotuj jajka – odezwała się Elsie.

Ignatz niechętnie zaczął przekładać śmiecie koło zlewu, w poszukiwaniu pudełka z jajkami.

–Będziesz musiał umyć patelnię – dodała. – Zostawiłam ją w zlewie.

–W porządku. – Odkręcił zimną wodę i zaczął szorować zaskorupiałą powierzchnię patelni kłębem zgniecionych gazet.

„Ciekawe – pomyślał – czy mógłbym wpłynąć na rezultat walki? Czy obecność dobra w jej centrum wywarłaby jakikolwiek skutek?”

Mógłby zebrać wszystkie swoje duchowe zdolności i spróbować. Nie tylko dla dobra księżycy, lecz także obu tych posępnych istnień. Uwolnić je od ich brzemienia.

Pomysł ten pochłonął Ignatza i, czyszcząc patelnię, roztrząsał go w milczeniu. Nie było sensu mówić o tym Elsie – powiedziała by mu po prostu, żeby poszedł do diabła. Nie wiedziała nic o jego mocy, a on nigdy jej nie ujawniał. Gdy był we właściwym nastroju, potrafił przechodzić przez ściany, czytać w myślach, leczyć choroby lub wywoływać je u złych ludzi, wpływać na pogodę, rzucać urok na plony. Mógł robić prawie wszystko, ale tylko w odpowiednim nastroju. Taka była jego świętość.

Nawet podejrzliwi Pare widzieli w nim świętego. Podobnie jak wszyscy inni na księżycu, włączając w to wiecznie zajętych, drażliwych Mansów – kiedy ustawiali w swej działalności na tyle, by go zauważyć.

Jeśli ktoś mógł uratować księżyc przed tymi dwoma nadchodzącymi organizmami, to tylko on, i wiedział o tym. „To moje przeznaczenie” – pomyślał.

–To nie świat, to tylko księżyc – powiedziała Elsie z ponurą wzgardą. Stała przy spalarce śmieci, ubierając się w rzeczy, które miała na sobie poprzedniego dnia. Chodziła w nich już tydzień i Ignatzowi przyszło do głowy – nie bez pewnego zadowolenia – że jest na dobrej drodze, by stać się Hebem. Nie trzeba było dużo więcej.

A dobrze było być Hebem. Bo Hebowie odnaleźli właściwą drogę i uwolnili się od tego, co niepotrzebne.

Otworzył drzwi chaty i jeszcze raz wyszedł na poranny chłód.

–Dokąd idziesz?! – wrzasnęła za nim Elsie.

–Na naradę – odparł Ignatz. Zamknął drzwi i z kotami płaczącymi się wokół jego nóg ruszył na poszukiwanie swego przyjaciela Skitza Omara Diamonda.

Dzięki swym nadnaturalnym mocom psi, Ignatz teleportował się w różne miejsca na księżycu, aż w końcu, przekonany, że tam znajdzie Omara, przeniósł się do budynku Zgromadzenia w Adolfville. Lewitował na poziomie piątego piętra wielkiej, kamiennej budowli, balansując naprzeciwko okna i stukając w nie, dopóki ktoś go nie zauważył i nie wpuścił do środka.

–Boże, Ledebur – powiedział Howard Straw, reprezentant Mansów. Śmierdzisz jak koza. Dwóch Hebów w jednym pokoju to stanowczo za duży smród. – Odwrócił się, próbując powstrzymać charakterystyczny dla Mansów wybuch gniewu.

–Jaka jest przyczyna twojego wtargnięcia? – zapytał reprezentant Pare, Gabriel Baines. – Mamy naradę.

Ignatz Ledebur w milczeniu skomunikował się z Omarem Diamondem, wyjaśniając mu, że sprawa jest pilna. Diamond usłyszał go, zgodził się, po czym od razu połączyli umysły i opuścili zebranie. Szli po trawie, w której rosły grzyby. Przez jakiś czas żaden z nich się nie odzywał, tylko obaj machinalnie utrącali grzybom kapelusze.

W końcu Diamond przemówił:

–Właśnie rozmawialiśmy o inwazji.

–Zacznij się od Gandhitown – powiedział Ignatz. – Doświadczyłem wizji; ci, którzy nadejdą...

–Tak, tak – rzekł z irytacją Diamond. – Wiem, że dysponują piekielnymi mocami. Zapoznałem już delegatów z tym faktem. Nic dobrego nie może z tego wyniknąć, są oni tak potężni, że zostaną na tej planecie na zawsze.

–Na księżycu – poprawił go Ignatz i zachichotał.

–Niech będzie „na księżycu”. – Diamond zamknął oczy i przeszedł spory kawałek, mimo że nie widział drogi. Popadł, jak zauważył Ignatz, w chwilową dobrowolną katatonię. Wszyscy Skitzowie byli bardzo na to podatni, więc Ignatz postanowił przeczekać sprawę. Zatrzymując się, Omar wymamrotał coś, czego Ledebur nie zrozumiał.

Ignatz westchnął i usiadł na ziemi. Obok niego stał w transie Omar Diamond. Nie

dochodził do nich żaden dźwięk, oprócz nieśmiałego szumu odległych drzew rosnących za łąką.

Nagle Diamond odezwał się:

–Zespół swoją moc z moją, to ujrzymy inwazję tak wyraźnie, że... – Tu znowu jego słowa przeszły w bełkot.

Ignatz (nawet święty może mieć dosyć) westchnął znowu.

–Musimy skomunikować się z Sarah Apostoles – powiedział Diamond. – We trójkę możemy wywołać wizję wroga tak, że stanie się ona rzeczywistością. Będziemy wówczas mogli kontrolować jego przybycie.

Wysyłając myśli, Ignatz skontaktował się z Sarah Apostoles, śpiącą w swej chacie w Gandhitown. Poczuł, jak obudziła się, poruszyła, jęknęła i zabełkotała coś, wstając z łóżka.

Czekali z Omarem Diamondem i już wkrótce się pojawiła. Ubrana była w męski płaszcz, spodnie i tenisówki.

–Tej nocy miałam sen – powiedziała. – Jakieś stworzenia krążą po okolicy, przygotowując się do zmanifestowania swej obecności. – Jej owalną twarz wykrzywiało zmartwienie i dokuczliwy, niszczący strach. Wyglądała strasznie i Ignatzowi było za nią wstyd. Sarah w trudnych momentach nie potrafiła oczyścić się z destruktywnych emocji.

Zbyttno absorbowowało ją ciało i jego ułomności.

–Usiądź – odezwał się Ignatz.

–Sprawimy, że pojawią się teraz, w tym miejscu – rzekł Diamond i pochylił głowę. Dwoje Hebów uczyniło to także, koordynując swoje wzajemnie się wspomagające moce wizjonerskie. Koncentrowali się wspólnie. Czas mijał; nikt nie wiedział, jak wiele go upłynęło, kiedy to, co kontemplowali, rozkwitło obok nich jak pączek zła.

–Oto jest – rzekł Ignatz.

Wszyscy troje otworzyli oczy, spojrzeli na niebo i ujrzeli opuszczający się coraz niżej obcy statek. Udało się.

Wypuszczając kłęby pary, statek osiadł na ziemi sto metrów od nich. Ignatzowi wydawało się, że jest on monstrualnych rozmiarów. Największy, jaki w życiu widział. Ledebur czuł strach, ale jak zwykle starał się nad nim zapanować (już wiele lat temu uporał się ze wszelkimi fobiami). Sarah jednak wyglądała na panicznie przerażoną.

Spojrzała na pojazd i dostrzegła otwarty właz. Okupanci przygotowywali się do wyjścia z ogromnego cylindrycznego organizmu z metalu i tworzyw sztucznych.

–Niech się do nas zbliżą – rzekł Omar Diamond, ponownie zamykając oczy. – Niech zauważą naszą obecność. Zmusimy ich, by nas dostrzegli i oddali nam cześć.

Ignatz przyłączył się do niego, a po chwili uczyniła to także – na tyle, na ile mogła – przerażona Sarah Apostoles.

Z luku statku opuszczono rampę. Pojawiły się dwie postacie i krok po kroku zeszły na ziemię.

–Może zrobimy jakiś cud? – zaproponował z nadzieją Ignatz.

–Na przykład? – spytał głosem pełnym wątpliwości Diamond. – Z reguły nie zajmuję się magią.

–Ja z Ignatzem możemy spróbować – powiedziała Sarah i zwróciła się do Ignatza: – Stwórzmy im widmo planetarnego pająka, który rozpina siatkę przeznaczenia nad całym życiem.

–W porządku – odparł Ignatz i skierował swoją uwagę na przywołanie obrazu planetarnego, bądź, jakby powiedziała Elsie, księżycowego pająka.

Przed dwiema, postaciami ze statku pojawiły się, blokując im drogę, lśniące pajęcze macki. Postacie zamarły. Jedna z nich powiedziała coś niezrozumiale.

Sarah roześmiała się.

–Jeżeli pozwolisz się rozśmieszyć, stracimy nad nimi przewagę – upomniał ją surowo Omar.

–Przepraszam – ciągle chichocząc, próbowała się usprawiedliwić.

Niestety było już za późno. Stos migoczących fragmentów macek rozpadł się i nagle, ku swojemu przerażeniu, Ignatz spostrzegł, że ich trójka została rozdzielona. Ich triumwirat został zniszczony przez jeden odruch słabości. Ignatz nie siedział już na łące; zamiast tego znalazł się w stercie śmieci przed własną chatą w centrum Gandhitown. Wrogie makroorganizmy odzyskały kontrolę nad swoim działaniem. Mogły powrócić do realizacji własnych planów.

Ignatz podniósł się i ruszył do postaci ze statku, które teraz stały, niepewnie rozglądając się dokoła. U stóp Ignatza baraszkowały koty. Potknął się i prawie upadł. Zaklął i odepchnął zwierzęta, próbując pokonać siłę ciężenia i starając się zachować godny wygląd. Ale było to niemożliwe, ponieważ za jego plecami drzwi chaty

otworzyły się i wyszła Elsie. Jego wysiłek poszedł na marne;

–Kto to jest?! – wrzasnęła.

–Nie wiem – odparł zirytowany Ignatz. – Zaraz się dowiemy.

–Powiedz im, żeby poszli do diabła – dodała Elsie i ujęła się pod boki. Przez kilka lat była Mansem i ciągle jeszcze odznaczała się tą arogancką „gościnnością” nabytą w Da Vinci Heights. Gotowa była do walki, zanim jeszcze mogła zorientować się, przeciwko czemu. „Choćby – pomyślał – z otwieraczem do konserw i rondlem”. Rozbawiło go to i zaczął się śmiać. Kiedy raz zaczął, nie mógł już przestać i takim go zobaczyli dwaj najeźdźcy.

–Co cię tak bawi? – zapytał jeden z nich; była to kobieta.

Ignatz, wycierając oczy, odparł:

–Czy pamiętacie dwukrotne lądowanie? Pamiętacie planetarnego pająka? Nie pamiętacie.

To było zbyt śmieszne; wrogowie nie zdawali sobie nawet sprawy z wysiłków trójki świętych, obdarzonych nadnaturalną mocą. Dla nich to wszystko się nie zdarzyło. Nie było nawet złudzeniem, chociaż na to właśnie poszły wszystkie wysiłki Ignatza Ledebura, Sarah Apostoles i Omara Diamonda. Śmiał się i śmiał, a tymczasem do dwóch przybyszy dołączył trzeci, a potem czwarty.

Jeden z nich, mężczyzna, westchnął, rozglądając się dokoła:

–Boże, co za koszmarny śmietnik. Myślicie, że wszędzie jest podobnie?

–Możecie nam pomóc – powiedział Ignatz. Udało mu się zapanować nad sobą. Wskazał na rdzewiejący wrak automatycznego traktora, na którym bawiły się dzieci.
– Czy moglibyście łaskawie wyświadczyć mi przysługę i zreperować mój farmerski sprzęt? Gdyby mi ktoś pomógł...

–Tak, tak – zapewnił go jeden z mężczyzn. – Pomożemy posprzątać to miejsce. – Zmarszczył nos z odrazą. Widocznie poczuł lub zobaczył coś, co przepełniło go wstrętem.

–Wejdźcie do środka – rzekł Ignatz. – Napijemy się kawy.

Odwrócił się w stronę chaty. Po chwili trzech mężczyzn i kobieta z ociąganiem podążyli za nim.

–Przepraszam, że tu tak ciasno i taki bałagan... – Ignatz pchnął drzwi i od razu

większości kotów udało się wcisnąć do chaty. Pochylił się i powyrzucał je, jednego po drugim, za drzwi.

Czterej najeźdźcy weszli i stanęli w progu z bardzo nieszczęśliwymi minami.

–Usiądźcie – powiedziała Elsie, wykrzesując z siebie iskrę gościnności. Postawiła czajnik na kuchence. – Tylko oczyśćcie tę ławkę – poinstruowała. – Rzućcie rzeczy gdziekolwiek, jeżeli chcecie, nawet na podłogę.

Przybysze niechętnie, z widoczną odrazą zepchnęli stos brudnych dzieciennych ubrań na ziemię i usiedli.

Wszyscy mieli niewyraźne, otępiałe miny, i Ignatz zastanawiał się, dlaczego.

–Czy nie moglibyście posprzątać tego mieszkadła? – zapytała z wahaniem kobieta. – Jak możecie żyć w takich... – Machnęła ręką, jakby zabrakło jej sił na dokończenie zdania.

Ignatz poczuł skruchę. Ale w końcu... było tak wiele ważnych spraw i tak mało czasu. Ani on, ani Elsie nie mogli znaleźć chwili, żeby uporządkować to wszystko. Rzeczywiście, to chyba nieładnie, że tak zapuścili swoją chatę, ale... Wzruszył ramionami. Może kiedy indziej. A najeźdźcy także mogliby im pomóc, na przykład dostarczając symulakron-gosposię, który zabrałby się do pracy. Mansowie oczywiście mieli takie, ale żądali za nie zbyt dużo. Może okupanci daliby mu za darmo.

Szczur wypełził ze swojej dziury za lodówką i przebiegł przez pokój, a kobieta, widząc prymitywną małą broń, którą niósł, zamknęła oczy i jęknęła.

Przygotowujący kawę Ignatz zachichotał. „Cóż, w końcu nikt ich nie prosił, żeby tu przychodzili. Jeżeli nie podoba im się Gandhitown, mogą wyjechać”.

Z sypialni wychyliło się kilkoro dzieci i bez słowa gapiły się na intruzów, którzy siedzieli w ponurym milczeniu, z bólem serca czekając na kawę i ignorując niewinne, uporczywe spojrzenia maluchów.

W dużym gabinecie zgromadzenia w Adolville reprezentant Hebów, Jacob Simion, nagle przemówił:

–Wylądowali. W Gandhitown. Są z Ignatzem Ledeburem.

–A my tu siedzimy i gadamy – powiedział rozwścieczony Howard Straw. – Wystarczy tego bezsensownego trajkotania. Trzeba ich zgnieść. Nic tu po nich. Zgadza się?... – Szturchnął Gabriela Bainesa.

–Zgadzam się – odparł Baines i odsunął się trochę od delegata Mansów. – Skąd wiesz? – zwrócił się do Jacoba Simiona.

Heb prychnął.

–Nie widziałeś ich w pokoju? Tych ciał astralnych? Przyszedł tutaj Ignatz. Pewnie tego nie pamiętasz. Przyszedł i zabrał Omara Diamonda, ale zapomniałeś, bo to się nigdy nie zdarzyło. Najeźdźcy uczynili to niebyłym, bo podzielili troje na jedno i dwoje.

–A więc jest już za późno, skoro wylądowali – przemówił Dep, patrząc bez nadziei w podłogę.

Howard Straw parsknął ostrym, lodowatym śmiechem.

–Przecież to tylko Gandhitown. Kogo to obchodzi? Powinno być wysadzone w powietrze. Osobiście byłbym zadowolony, gdyby starli je z powierzchni tego księżyca. To dół kloaczny, a wszyscy, którzy tam mieszkają, śmierdzą na kilometr.

Jacob cofnął się jak rażony gromem i mruknął:

–Ale na szczęście nie jesteśmy okrutni. – Powstrzymał łzy bezsilności.

Howard Straw wyszczerzył zęby w uśmiechu i trącił łokciem Gabriela Bainesa.

–Czy nie macie w Da Vinci Heights jakiejś efektywnej broni? – zapytał Gabriel. Miał głębokie przeczucie, że brak reakcji Mansów na to, co się dzieje w Gandhitown, dowodził, że nie zamierzają oni nic uczynić, dopóki ich własna kolonia nie będzie zagrożona. Nie zamierzali użyć owoców swojej pomysłowości na rzecz wspólnej obrony. Teraz podejrzenia, które Baines zawsze żywił wobec Strawa, wydawały się uzasadnione.

Zmartwiona Annette Golding powiedziała, marszcząc brwi:

–Nie możemy skazać Gandhitown na pewną śmierć.

–„Na pewną śmierć” – przedrzeźniał ją Straw. – Wspaniale. Oczywiście, że możemy. Słuchajcie, mamy broń. Jeszcze nigdy jej nie używaliśmy; mogłaby zmieść z powierzchni ziemi wszystkie armie najeźdźców. Ale zademonstrujemy ją, kiedy będziemy mieli na to ochotę. – Potoczył wzrokiem po pozostałych delegatach, rozkoszując się swoją wyższością; teraz wszyscy byli od niego uzależnieni.

–Wiedziałem, że w momencie kryzysu tak właśnie się zachowacie – rzekł z goryczą Baines. Boże, jak on nienawidził Mansów. Byli całkowicie pozbawieni zasad moralnych, egoistyczni i zarozumiali. Nie mogli wprost znieść myśli o pracy dla

wspólnego dobra. Gdy Gabriel zdał sobie z tego sprawę, od razu przyrzekł sobie, że jak tylko nadarzy się okazja, odegra się na Howardzie za wszystkie czasy. „Właściwie – pomyślał – jeżeli nadejdzie szansa, by odplacić im wszystkim, całej osadzie Mansów, to będzie to chwila, na którą warto było czekać całe życie”. Teraz Mansowie mieli przewagę, jednak był pewien, że nie będzie to trwać wiecznie. „Warto by nawet było – pomyślał Baines – pójść do najeźdźców i zawrzeć z nimi pakt w imieniu Adolfville: my i oni przeciwko Da Vinci Heights”. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej pomysł mu się podobał.

–Czy masz jakąś propozycję, Gabe? – zapytała Annette Golding, przyglądając mu się. – Wyglądasz, jakbyś wymyślił coś rozsądnego. – Jak wszyscy Poly, miała bardzo wyczulony zmysł postrzegania i potrafiła właściwie odczytać zmieniający się wyraz jego twarzy.

Gabe postanowił skłamać. Oczywiście, nie miał innego wyjścia.

–Myślę – powiedział – że możemy poświęcić Gandhitown. Oddamy im ten teren i pozwolimy przejąć nad nim nadzór, zbudować bazę, czy co tam chcą. Może to się nam nie podobać, ale...

Jacob Simion jęknął zrozpaczony.

–Ludzie, w-was nie obchodzi nasz los, bo nie jesteśmy... tak czyści jak wy. Wracam do Gandhitown połączyć się z moim klanem. Jeśli mają zginać, zginę razem z nimi. – Podniósł się, z trzaskiem odstawiając krzesło. – Zdrajcy – dodał, gdy odchodził w kierunku drzwi, powłócząc nogami jak wszyscy Hebowie.

Pozostali delegaci przyglądali mu się z różnymi odcieniami obojętności w oczach. Nawet Annette Golding, która generalnie troszczyła się o wszystkich i wszystko, nie wydawała się zmieszana.

I nagle Gabriel Baines poczuł przelotny smutek, ponieważ wszystkich potencjalnie czekał ten sam los; każdego – Pare, Poly, Skitza czy nawet Mansa – podstępne przeznaczenie niedostrzegalnie pchało na tę samą rafę. Ich też to mogło spotkać. W każdej chwili. „A jeżeli komukolwiek z nas – zdał sobie sprawę Baines – to się przydarzy, nie będziemy mieli dokąd pójść. Co stanie się z Hebem bez Gandhitown? Dobre pytanie”. Przeraziło go to.

–Zaczekaj – powiedział głośno.

Powłócząc nogami, nie ogolony, zaniedbany Jacob Simion zatrzymał się przy drzwiach. W zapadniętych oczach Heba zapłonęła iskierka nadziei.

–Wróc – rzekł Gabriel Baines i zwrócił się do reszty, a szczególnie do aroganckiego Howarda Strawa: – Musimy działać wspólnie. Dzisiaj Gandhitown, jutro Hamlet-

Hamlet, my albo Skitzowie. Najeźdźcy wyłapią nas jednego po drugim. Dopóki nie pozostanie tylko Da Vinci Heights. – Niechęć do Strawa sprawiła, że w jego głosie odezwała się nuta niemiłej szorstkości. Dla niego samego było to prawie niedostrzegalne. – Głosuję formalnie za tym, żeby wszystkie nasze wysiłki skierować na odzyskanie Gandhitown. Musimy tam im stawić czoło. – „Wśród zwierzęcego nawozu, stert śmieci i rdzewiejących szczątków maszyn” – dodał do siebie w myśli i skrzywił się.

–Popieram – powiedziała po krótkiej chwili Annette Golding. Przeprowadzono głosowanie. Jedynie Howard Straw był przeciw. Wniosek przeszedł.

–Straw – z ożywieniem odezwała się Annette. – Nakazuje ci się produkcję tej cudownej broni, którą się tak chwaliłeś. Jesteście tacy waleczni, więc pozwolimy wam poprowadzić atak na Gandhitown. – A do Gabriela Bainesa rzekła: – A wy, Pare, zorganizujcie to. – Teraz, gdy zapadła decyzja, wyglądała na całkiem spokojną.

–Warto zauważyć, że jeżeli wojna rozegra się w Gandhitown i okolicach, zniszczenie nie osiągnie innych osad. – Ingrid Hibbler miękko zwróciła się do Strawa: – Pomyślałeś o tym?

–Wyobraź sobie walkę w Gandhitown – mruknął Straw. – Brodzenie po pas w... – przerwał, a potem zwrócił się do Jacoba Simiona i Omara Diamonda: – Będziemy potrzebować wszystkich świętych, wizjonerów, a nawet psi, jakich tylko możecie znaleźć wśród Skitzów i Hebów. Czy będziemy mogli ich zatrudniać?

–Myślę, że tak – odparł Diamond. Simion skinął głową.

–Z cudowną bronią z Da Vinci Heights i zdolnościami świętych Hebów i Skitzów – rzekła Annette – będziemy mogli zmanifestować coś więcej niż opór.

–Gdybyśmy znali pełne nazwiska najeźdźców, moglibyśmy sporządzić ich wykres numerologiczny, odkryć ich słabe punkty. Albo gdybyśmy mieli ich dokładne daty urodzenia... – odezwała się panna Hibbler.

–Myślę – przerwała Annette – że broń Mansów plus zorganizowane siły Pare, w połączeniu z nadprzyrodzonymi mocami Hebów i Skitzów, będą bardziej użyteczne.

–Dziękuję, że nie poświęciliście Gandhitown. – Jacob Simion patrzył z niemym podziwem na Gabriela Bainesa.

Pierwszy raz od miesiąca, a nawet lat, Baines poczuł, że topnieją wszystkie jego fobie. Rozkoszował się uczuciem szczęścia, prawie euforii. Ktoś go lubił. Nawet jeżeli był to tylko Heb, znaczyło to dużo.

Przypomniało mu to jego dzieciństwo. Czas, kiedy jeszcze nie był Pare.

Idąc po błotnistej, zaśmieconej głównej ulicy Gandhitown, doktor Mary Rittersdorf powiedziała:

–Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam. Z klinicznego punktu widzenia to wszystko jest zwariowane. Ci wszyscy ludzie muszą być hebefrenikami. Strasznie, strasznie chorzy.

Coś w jej duszy mówiło, że powinna opuścić to miejsce i nigdy tu nie wracać. Polecieć z powrotem na Terrę, ponownie podjąć pracę jako doradca w sprawach małżeńskich i zapomnieć, że kiedykolwiek tu była.

I cały ten pomysł przeprowadzenia psychoterapii z tymi ludźmi...

Wzdrygnęła się. Nawet chemoterapia czy też elektrowstrząsy nie odniosłyby tu większego efektu. To było ostatnie stadium choroby umysłowej – za późno, by coś zrobić.

Stojący obok niej młody agent CIA, Dan Mageboom, odezwał się:

–Więc twoja diagnoza brzmi: hebefrenia? Czy mogę złożyć oficjalny raport? – Ujął ją pod ramię, pomagając jej ominąć szczątki martwego zwierzęcia. W popołudniowym słońcu żebra sterczały jak zęby wielkiego pogiętego widelca.

–Tak, to oczywiste – odparła Mary. – Widziałeś szczątki szczura porzucane po podłodze chaty? Rzygać mi się dosłownie chce. Teraz nikt nie żyje w ten sposób. Nawet w Indiach czy Chinach. To tak, jakbyś cofnął się w czasie cztery tysiące lat. Tak pewnie żył sinantropus czy neandertalczyk, tylko bez rdzewiejących ciągników.

–Na statku zrobimy sobie drinka – powiedział Dan Mageboom.

–Żaden drink mi nie pomoże. Wiesz, co mi przypomina to okropne miejsce? Straszne, stare, tandetne mieszkanie, do którego przeniósł się mój mąż, po tym jak się rozstaliśmy.

Mageboom wzdrygnął się i nerwowo zamrugął.

–Wiesz, że miałam męża – rzekła Mary. – Mówiłam ci. – Zastanawiała się, dlaczego zaskoczyła go jej uwaga. W drodze na Alfę otwarcie opowiadała mu o swoich problemach, znajdując w nim wiernego słuchacza.

–Nie sądzę, aby to było odpowiednie porównanie – powiedział Mageboom. – Warunki tutaj panujące noszą znamiona grupowej psychozy; twój mąż nigdy nie żył

w ten sposób, przecież nie miał żadnych zaburzeń umysłowych.

–Skąd wiesz? – zapytała Mary, zatrzymując się gwałtownie. – Nigdy go nie spotkałeś. Chuck był, to znaczy jest, chory. Ma utajone objawy hebefrenii. Chuck zawsze uchylał się od odpowiedzialności socjoseksualnej. Opowiadałam ci o wszystkich moich wysiłkach, aby zaczął szukać pracy, która zagwarantowałaby mu godziwe wynagrodzenie. – Uświadomiła sobie, że przecież Mageboom sam był pracownikiem CIA, trudno więc było oczekiwać od niego jakiegokolwiek współczucia. Postanowiła zostawić ten temat. I bez roztrząsania problemów jej życia z Chuckiem było dostatecznie przygnębiająco.

Po obu jej stronach, Hebowie, jak siebie wyjątkowo trafnie nazywali, biorąc pod uwagę rodzaj ich choroby, gapili się tępo i bezmyślnie szczyrzyli zęby, nie zdradzając nawet specjalnego zaciekawienia.

Drogę przecięła im biała koza. Mary i Dan Mageboom zatrzymali się przezornie; żadne z nich nie miało specjalnego doświadczenia w postępowaniu z kozami. Zwierzę minęło ich.

„Przynajmniej – pomyślała Mary – ci ludzie są nieszkodliwi”.

Hebefrenicy we wszystkich stadiach choroby pozbawieni byli zdolności wyładowywania agresji. Zagroženiem byli inni chorzy, a spotkanie z nimi było nieuchronne. W szczególności należało się obawiać depresji maniakałnych, które w swej szczytowej fazie mogły być wysoce destruktywne.

Ale musiała się przygotować na coś jeszcze gorszego.

Agresywność maniaków w najgorszym wypadku przejawiała się w postaci napadów złego humoru, krótkotrwałych orgii destrukcji, które stopniowo ustępowały. Paranoicy byli dużo groźniejsi; można było przewidzieć, że ich permanentna wrogość zamiast z biegiem czasu osłabnąć, wykryzalizowała się w szczegółowo zaplanowane działanie. Paranoik jest kalkulującym analitykiem, jego czynności są przemyślane, a każdy ruch stanowi część schematu. Jego wrogość niekoniecznie musi przeradzać się w czyn, ale leczenie powoduje jedynie pogorszenie się stanu chorego. W przypadku tych ludzi, zaawansowanych paranoików, kuracja – czy nawet próba dokonania dokładniejszej diagnozy – jest właściwie niemożliwa. Podobnie jak hebefreników, paranoików nie można przywrócić do normalnego życia.

Ale w przeciwieństwie do depresji maniakałnej, hebefrenii czy też zwykłej schizofrenii katatonicznej, paranoja wydawała się najbardziej racjonalna. Formalny zapis logicznego rozumowania nie wykazywał zaburzeń, wewnątrz jednak paranoik cierpiał na największe dostępne istotom ludzkim zwyrodnienie umysłu. Był niezdolny do empatii, nie potrafił wyobrazić sobie siebie w roli innej osoby. Stąd też inni

praktycznie dla niego nie istnieli. Byli tylko ruchomymi obiektami, które oddziaływały na niego lub też nie. Przez dziesiątki lat modne było stwierdzenie, iż paranoicy niezdolni są do miłości. To nieprawda. Paranoik w pełni doświadcza miłości, jako czegoś ofiarowanego mu przez innych i jako własnego uczucia. Jest jednak pewne małe „ale” – paranoik przeżywa miłość jako rodzaj nienawiści.

–Zgodnie z moją teorią – powiedziała Mary do Dana Magebooma – na tym świecie powinno funkcjonować kilka podtypów chorób umysłowych w hierarchii podobnej do kast w starożytnych Indiach. Ci ludzie tutaj, hebefrenicy, byłiby odpowiednikiem nietykalnych. Maniacy są w takim razie kastą nieustraszonych wojowników, jedną z najwyższych.

–Samurajowie – rzekł Mageboom. – Jak w Japonii.

–Tak – przytaknęła Mary. – Paranoicy, właściwie schizofrenicy paranoidalni, funkcjonują wówczas jako kasta władców, odpowiedzialna za rozwój ideologii politycznych i programów społecznych, mają więc rozeznanie w całym świecie. A zwykli schizofrenicy... – zamyśliła się. – Odpowiadają oni klasie poetów, chociaż niektórzy z nich mogą być religijnymi prorokami, jak nieliczni Hebowie. Oni jednak wydają ascetycznych świętych, podczas gdy spośród schizofreników pochodzą dogmatycy. Ci z syndromem schizofrenii polimorficznej byłiby wówczas kreatywnymi członkami społeczeństwa, tworzącymi nowe idee. – Usiłowała sobie przypomnieć inne istniejące kategorie. – Mogą też być inni, z nadmierną pobudliwością nerwową, zaburzeniami psychotycznymi, które są zaawansowaną formą łagodniejszej nerwicy obsesyjno-kompulsywnej. Ci ludzie są zazwyczaj urzędniczy nami pełniącymi podrzędne funkcje. Ich konserwatyzm jest przeciwwagą dla radykalizmu schizofreników polimorficznych, zapewniając społeczeństwu stabilność.

–Więc można by pomyśleć, że wszystko jest w porządku. – Mageboom machnął ręką. – Czy w takim razie różni się to od społeczeństwa Terry?

Mary przez chwilę rozważała jego pytanie. Było niezłe.

–Bez odpowiedzi? – spytał Mageboom.

–Oczywiście jest odpowiedź. W tym społeczeństwie przywództwo przypada naturalnie paranoikom. Stanowią oni największą indywidualność pod względem inicjatywności, inteligencji i prostych, wrodzonych możliwości. Rzecz jasna, będą mieć problemy z maniakami, którzy zechcą przejąć pałeczkę. Między tymi dwoma klasami sytuacja zawsze będzie napięta. Ale, widzisz, w przypadku paranoików wytyczających linię ideologiczną, dominującym uczuciem będzie nienawiść. Nienawiść skierowana w dwie strony: dowództwo nienawidzić będzie wszystkich pozostających poza obrębem ich własnej enklawy i oczywiście będzie przekonane, że w związku z tym wszyscy nienawidzą ich. A to może wpędzić całe społeczeństwo w

iluzoryczną walkę z wrogiem, który nie istnieje, dla zwycięstwa nad niczym.

–Dlaczego tak się dzieje?

–Ponieważ – odparła – bez względu na to, jak to się zaczęło, rezultaty zawsze będą takie same. Totalna izolacja tych ludzi. Taki będzie ostateczny efekt całej ich zbiorowej działalności; stopniowe odcięcie się od innych istot żywych.

–Ale czy bycie samowystarczalnym jest takie złe?...

–Nie – powiedziała Mary. – To nie jest samowystarczalność, to coś zupełnie innego. Coś, czego ani ja, ani ty nie możemy sobie właściwie wyobrazić. Pamiętasz stare eksperymenty z ludźmi trzymanymi w absolutnej izolacji? Wróćmy do połowy dwudziestego wieku, kiedy dopiero rozważano możliwość lotów w kosmos, pozostawienia człowieka na dni, w końcu tygodnie, z coraz mniejszą i mniejszą ilością bodźców... Pamiętasz, jaki był rezultat, gdy umieścili człowieka w komorze, gdzie nie docierały do niego żadne impulsy?

–Jasne – odparł Mageboom. – W efekcie pozbawienia bodźców następuje ostra halucynozą.

Mary skinęła głową.

–Słuchowe, wzrokowe, dotykowe i węchowe halucynacje zastępują brakujące bodźce. Intensywnością doznań mogą one dorównywać rzeczywistości. Efekt przez nie wywołany to na przykład stany lękowe. Halucynacje powstałe pod działaniem środków psychotropowych mogą spowodować napady lęku niemożliwe do wytworzenia w normalnych warunkach.

–Dlaczego?

–Bo są doskonałe. Produkowane są one w systemie zmysł-receptor i powodują sprzężenie zwrotne pochodzące nie z jakiegoś odległego punktu, lecz z własnego systemu nerwowego człowieka. Nie może się on od tego odizolować i wie o tym. Nie ma możliwości odwrotu.

–A jak to będzie wyglądało tutaj? – spytał Mageboom. – Zdaje mi się, że tego nie wiesz.

–Mogę powiedzieć, ale nie jest to łatwe. Nie wiem jeszcze, jak daleko posunęło się to społeczeństwo. Odpowiedź zależy od stopnia jego wyizolowania, po części, od jednostek, które je tworzą. Wkrótce dowiemy się o tym z ich stosunku do nas. Hebowie, których tu widzimy... – Wskazała rudery po obu stronach błotnistej drogi. – Ich stosunek do nas nie jest żadnym wskaźnikiem. Jednak jeśli chodzi o paranoików czy też maniaków, niewątpliwie pewna doza halucynacji, psychologicznej projekcji,

stanowi część ich postrzegania świata, lecz wciąż w pewnym stopniu rozumieją obiektywną rzeczywistość. Jednak nasza obecność tutaj wzmoże ich podatność na halucynacje. Musimy być na to przygotowani. Przywidzenia przyjmą formę postrzegania nas jako skrajnego zagrożenia. My i nasz statek będziemy uznawani – nie interpretowani, ale dosłownie uznawani – za przerażających. Niewątpliwie zobaczą nas jako forpocztę najeźdźców, którzy zamierzają zniszczyć ich społeczeństwo, czyniąc z niego własnego satelitę.

–Ale to prawda. Chcemy przejąć władzę i umieścić ich tam, gdzie byli dwadzieścia pięć lat temu. Jako pacjentów na przymusowej hospitalizacji, czyli w niewoli.

To była dobra uwaga, ale nie całkiem.

–Jest jednak pewna różnica, o której nie wspominasz – powiedziała Mary. – Mała, ale istotna. Zapewnimy tym ludziom terapię, starając się przywrócić ich życiu właściwy tok. Jeżeli nasz plan zakończy się sukcesem, będą rządzić się sami jako prawowici właściciele tego księżycy. Na początku tylko kilku, ale potem stopniowo coraz więcej. To nie jest forma zniewolenia, nawet jeżeli im się tak wydaje. W momencie, gdy wszyscy na tym księżycu będą wolni od psychoz, zdolni do postrzegania rzeczywistości bez zniekształceń...

–Czy myślisz, że można wyperswadować tym ludziom, by dobrowolnie przyjęli status pacjentów?

–Nie – rzekła Mary. – Będziemy musieli użyć siły, by na nich wpłynąć. Z wyjątkiem może paru Hebów, będziemy musieli wsadzić do czubków wszystkich na planecie. To znaczy księżycu – poprawiła się.

–Pomyśl tylko, gdybyś się nie poprawiła, miałbym podstawy, by wsadzić do czubków ciebie.

Popatrzyła na niego przestraszona. Nie wyglądało na to, że żartuje. Jego młoda twarz była zawzięta.

–To było tylko przejęzyczenie – usprawiedliwiła się.

–Owszem – przyznał – ale wiele mówiące. Symptom. – Uśmiechnął się, a był to chłodny uśmiech. Sprawił, że zadrżała z niepokoju i zakłopotania. Co Mageboom miał przeciwko niej? A może i ona stała się trochę paranoiczką? Być może... Zdała sobie nagle sprawę, że czuje ogromną wrogość ze strony tego mężczyzny. A przecież ledwie go знаła. Czuła tę wrogość przez całą podróż, a właściwie, co było dziwne, od samego początku, od chwili gdy tylko się spotkali.

Przestawiwszy symulakrona na działanie autonomiczne, Chuck Rittersdorf wyłączył się z obwodu, podniósł się zdrętwiały z siedzenia przed tablicą kontrolną i zapalił

papierosa. Była dziewiąta wieczorem czasu lokalnego.

Na Alfie III M2 sym zajmie się swoimi sprawami. Jeżeli nastąpi jakiś kryzys, Petri przejmie kontrolę. Teraz Chuck miał inne zadanie. Nadszedł czas, by zająć się scenariuszem dla komika telewizyjnego Bunny'ego Hentmana, jego drugiego pracodawcy.

Miał już zapas stymulantów, które ofiarował mu galaretniak z Ganimeda. Mógł więc przez całą noc spokojnie pracować. Ale najpierw zdecydował się na mały obiadek.

Zatrzymał się przy budce wideofonicznej w hallu budynku CIA i zadzwonił do mieszkałki Joan Trieste.

–Cześć – powiedziała, gdy zorientowała się, kto mówi. – Słuchaj, dzwonił tu pan Hentman. Starał się z tobą skontaktować, więc może przekreść do niego. Mówił, że usiłował złapać cię w budynku CIA w San Francisco, ale powiedzieli, że nigdy o kimś takim nie słyszeli.

–Oni tak zawsze – odparł Chuck. – W porządku, zadzwonię do niego. – Potem zapytał ją o obiad.

–Obawiam się, że w ogóle nie zjesz dzisiaj obiadu. Z tego, co mówił pan Hentman, ma jakiś świetny pomysł i chce, abyś go usłyszał. Mówił, że cię nim zastrzeli.

–Nie byłoby to dla mnie niespodzianką – rzekł Chuck zrezygnowany. Pomyślał, że tak właśnie będą wyglądały stosunki między nim a Hentmanem.

Zakończył rozmowę z Joan i zadzwonił pod numer biura Hentmana.

–Rittersdorf! – krzyknął komik natychmiast po otrzymaniu połączenia. – Gdzie jesteś?! Przyjeżdżaj tutaj natychmiast! Jestem w moim apartamencie na Florydzie. Weź raketę ekspresową, ja zapłacę. Słuchaj, Rittersdorf, teraz się okaże, czy jesteś dobry, czy nie. Nadszedł czas próby.

Duży to był skok: ze śmietników osady Hebów na Alfie III M2 do energicznych planów Bunny'ego Hentmana. Przejście będzie ciężkie, ale może uda mu się przestawić podczas lotu.

Obiad mógłby zjeść na statku, ale to wykluczałoby możliwość zjedzenia go razem z Joan Trieste. Jego praca zaczynała kolidować z życiem prywatnym.

–Powiedz mi teraz o tym pomysle. Zastanowię się nad nim podczas lotu.

W oczach Hentmana błysnęła iskierka chytryści.

–Żartujesz? Żeby ktoś podsłuchał? Słuchaj, Rittersdorf, mogę ci coś zasugerować. Gdy cię wynająłem, od razu o tym pomyślałem, ale... – Wyszczrzył zęby. – Nie chciałem cię wystraszyć. Wiesz, o co mi chodzi? Teraz połknąłeś haczyk. – Roześmiał się głośno. – No to siup!

–Powiedz mi o tym pomysle – powtórzył cierpliwie Chuck.

Zniżając głos do szeptu, Hentman pochylił się na widskanerem, przez co jego nos powiększył się, wypełniając niemal cały ekran. Nos i jedno mrugające, zadowolone oko.

–To nowa postać, którą zamierzam włączyć do mojego repertuaru. George Flibe. Tak się będzie nazywał. Jak tylko powiem ci, kto to jest, od razu będziesz wiedział, dlaczego cię zatrudniłem. Słuchaj: Flibe jest agentem CIA. I udaje kobietę, doradcę do spraw małżeńskich, by zdobyć informacje o podejrzanych. – Hentman przerwał i spojrzał na Chucka wyczekująco. – No, i co na to powiesz?

Po długiej chwili Chuck odpowiedział:

–To najgorsza rzecz, jaką słyszałem od ponad dwudziestu lat.

–Czuł się kompletnie zdruzgotany.

–Masz źle w głowie. To może być największa postać od czasów Freddiego Freelodera Reda Skeltona. A ty właśnie napiszesz ten scenariusz, bo masz doświadczenie. Więc przyjeżdżaj jak najszybciej i zaczynamy pracę nad pierwszym skeczem z George'em Flibem. No! Jeżeli to nie jest świetny pomysł, to co masz lepszego do zaoferowania?

–A co byś powiedział na kobietę, doradcę do spraw małżeńskich, która udaje agenta CIA, by zdobyć informacje, które wyleczą jej pacjentów?

–Żartujesz sobie?

–A na przykład – mówił dalej Chuck – symulakron CIA...

–Nabierasz mnie. – Hentman poczerwieniał, a przynajmniej na ekranie jego twarz znacznie ściemniała.

–Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny.

–Dobra, więc co z tym symulakronem?

–Symulakron CIA, udaje kobietę, no wiesz, doradcę do spraw małżeńskich, ale w końcu się łamie.

–Czy symulakrony rzeczywiście tak się zachowują? To znaczy – załamują się?

–Cały czas.

–Mów dalej – powiedział ponuro Hentman.

–Wiesz, chodzi o to – ciągnął Chuck – co, do jasnej cholery, symulakron może wiedzieć o ludzkich problemach małżeńskich? A tutaj on ma udzielać porad ludziom. Ciągłe im radzi i kiedy raz zacznie, to nie można już mu przerwać. Udziela nawet porad małżeńskich pracownikom General Dynamics, którzy przecież go złożyli do kupy, rozumiesz?

Pocierając podbródek, Hentman skinął powoli głową.

–Hmmm...

–Musi być jakiś szczególny powód, dla którego symulakron zachowuje się w ten sposób. Więc dotrzemy do jego sedna. Epizod, rozumiesz, zacznie się od inżynierów General Dynamics, którzy...

–Rozumiem! – przerwał Bunny. – Jeden z inżynierów, nazwijmy go Frank Fupp, ma problemy małżeńskie, więc spotyka się z doradcą. Daje mu ten dokument, analizę jego problemu, a on bierze go ze sobą do laboratorium General Dynamics, a tam stoi nowy sym i czeka na zaprogramowanie.

–Jasne – powiedział Chuck.

–I... i Fupp czyta na głos ten dokument innemu inżynierowi, nazwijmy go Phil Groom. Symulakron nagle sam się programuje i myśli, że jest doradcą do spraw małżeńskich. Ale właśnie zostaje zakupiony przez CIA, przesłany tam i okazuje się... – Hentman przerwał zamyślony. – Gdzie to wyjdzie na jaw, Rittersdorf?

–Za Żelazną Kurtyną, powiedzmy w Czerwonej Kanadzie.

–Dobra, w Czerwonej Kanadzie, w Ontario. Ma udawać sprzedawcę syntetycznego pożywienia. Może być? Czy oni to robią?

–Mniej więcej.

–Ale zamiast tego – ciągnął podekscytowany Hentman – instaluje się w biurze, wywiesza tabliczkę: „George Flibe, psycholog, doradztwo w sprawach małżeńskich”. I ci wszyscy wysoko postawieni komunistyczni urzędnicy partyjni z problemami małżeńskimi przychodzą do niego... – Hentman dyszał z podniecenia. – Rittersdorf, to najlepszy pomysł, jaki w życiu słyszałem. I jeszcze ci dwaj inżynierowie General Dynamics, którzy pojawiają się i próbują w nim pomajstrować. Słuchaj, wsiadaj teraz

do ekspresowej rakiety na Florydę i naszkicuj to w czasie podróży, żebyś na miejscu miał już jakieś dialogi. Wiesz, myślę, że do czegoś dojdziemy. Nasze mózgi się zsynchronizowały, nie sądzisz?

–Chyba tak – odparł Chuck. – Zaraz tam będę.

Zapisał adres i rozłączył się. Znużony wyszedł z budki. Czuł się całkowicie wyczerpany. I za żadne skarby nie mógł ocenić, czy rzeczywiście wpadł na dobry pomysł. W każdym razie Hentmanowi się podobał, a tylko to się liczyło.

Odrzutową taksówką pojechał do portu kosmicznego w San Francisco i wsiadł na pokład rakiety ekspresowej, która miała go zawieźć na Florydę.

Mieszkalnia Bunny'ego Hentmana była pod każdym względem luksusowa. Wszystkie jej piętra znajdowały się pod ziemią, a umundurowani strażnicy patrolowali wejścia i korytarze.

Chuck podał swoje nazwisko pierwszemu gliniarzowi, który do niego podszedł, i chwilę później zjeżdżał windą na poziom, na którym mieszkał Bunny.

W ogromnym pokoju rozparty na fotelu siedział Hentman. Ubrany był w ręcznie farbowaną marsjańską togę z nici pajęczej i palił ogromne, zielone cygaro z Tamy na Florydzie. Niecierpliwym skinieniem powitał Chucka, a potem przedstawił mężczyzn obecnych oprócz niego w pokoju.

–Rittersdorf, to są twoi dwaj koledzy, moi pisarze. Ten wysoki – wskazał cygarem – to Calv Dark. – Dark powoli zbliżył się do Chucka i podał mu rękę. – A ten mały, gruby, łysy to mój starszy pisarz, Thursday Jones. – Jones również podszedł i uściśnął mu dłoń. Był to żwawy Murzyn o ostrych rysach twarzy. Obydwaj pisarze sprawiali wrażenie przyjaźnie nastawionych i nie czuł z ich strony żadnej wrogości. Widocznie nie mieli mu za złe.

–Usiądź, Rittersdorf – powiedział Dark. – Masz za sobą długą podróż. Napijesz się czegoś?

–Nie – odparł Chuck. Chciał zachować jasność umysłu na czekającą go sesję.

–Jadłeś obiad w drodze? – spytał Hentman.

–Tak.

–Opowiadałem chłopcom o twoim pomysle – zaczął Hentman. – Obu się spodobał.

–To świetnie.

–Jednak – ciągnął Bunny – jeszcze raz go przewalkowali i przed chwilą wystąpili z własną poprawką... Wiesz, co mam na myśli?

–Będę szczęśliwy, mogąc usłyszeć ich pomysł oparty na moim.

–Panie Rittersdorf – odezwał się Thursday Jones, odkaszlnąwszy. – Czy symulakron może popełnić morderstwo?

Chuck gapił się na niego przez chwilę, zanim odpowiedział:

–Nie wiem. – Zrobiło mu się zimno. – Chodzi ci o to, czy może to zrobić, działając automatycznie, na własną rękę...?

–Chodzi mi o to, czy osoba operująca symulakronem na odległość może użyć go jako instrumentu do popełnienia morderstwa.

Chuck zwrócił się do Hentmana:

–Nie widzę nic śmiesznego w tym pomysle. A mam podobno wisielcze poczucie humoru.

–Poczekaj – ostrzegł Bunny. – Zapomniałeś o słynnych starych śmiesznych dreszczowcach, kombinacjach strachu i dowcipu. Jak *Kot i kanarek*, ten film z Paulette Goddard i Bobbem Hope'em. Czy sławny *Arszenik i stare koronki*, nie wspominając już o klasycznych brytyjskich komediach, w których co rusz kogoś mordowano... Było ich kiedyś mnóstwo.

–Ach, tak. – To było wszystko, co Chuck miał do powiedzenia. Milczał, podczas gdy w środku gotowało się w nim z niedowierzania i zdenerwowania. Zastanawiał się, czy to jakiś złośliwy zbieg okoliczności, ten pomysł, żywcem wzięty z jego życia? A może – i wydawało się to bardziej prawdopodobne – galaretniak powiedział coś Bunny'emu. Lecz w takim razie po co organizacja Hentmana robiła to wszystko? Dlaczego zainteresowani byli życiem i śmiercią Mary Rittersdorf?

–Myślę, że pomysł chłopców jest niezły – rzekł Hentman. – Z dreszczykiem... No wiesz, Chuck. Ty pracujesz dla CIA, więc nie myślisz o tym, ale przeciętny człowiek boi się CIA, rozumiesz? Traktuje ją jak tajną policję interplanetarną i organizację szpiegowską, która...

–Wiem – przerwał Chuck.

–No, tylko mnie nie zjedz – parsknął Hentman, rzucając okiem na Darka i Jonesa.

–Chuck, jeżeli mogę tak do ciebie mówić – odezwał się Dark – znamy nasz biznes. Gdy przeciętny Joe myśli o CIA, jest przerażony jak diabli. Kiedy podsuwałeś

Bunny'emu swój pomysł, nie pomyślał o tym. Mamy więc operatora CIA, nazwijmy go... – odwrócił się do Jonesa. – Jakie jest jego robocze nazwisko?

–Siegfried Trots.

–Mamy więc Ziggy'ego Trotsa, tajnego agenta... Trench z urańskich świerszczy, kapelusz z wenusjańskiego kłaczaka opuszczony na czoło i te rzeczy. Stoi w strugach deszczu na jakimś ponurym księżycu, może jednym z tych Jowisza. Znajomy widok.

–A wtedy, Chuck – powiedział Jones, przejmując narrację – widz ma już ustalony obraz, stereotyp, rozumiesz? A potem odkrywa, że Ziggy ma w sobie coś, co odbiega od tego stereotypu ponurego agenta CIA.

–Spójrz, Ziggy Trots jest idiotą – mówił Dark. – Goguś, któremu nic się nie udaje. Mimo że stara się, żeby mu się udało. – Usiadł na kanapie obok Chucka. – Stara się popełnić morderstwo, łapiesz?

–Tak – odparł Chuck sztywno, usiłując słuchać i odzywać najrzadziej, jak to tylko możliwe. Zamykał się w sobie, coraz bardziej przestraszony i pełen podejrzeń.

–Zobaczmy teraz, kogo on będzie próbował zabić – kontynuował Dark. – Właśnie o to się spieraliśmy.

–Szantażystę. Międzynarodowego magnata finansistę z zupełnie innej planety. Może nawet nie-Terranina.

Chuck zamknął oczy i kiwał się monotonicznie.

–Co się stało, Chuck? – spytał Dark.

–On myśli – odparł Bunny. – Przetrawia ten pomysł. Prawda, Chuck?

–T-tak – wykrztusił. Teraz był już pewien, że Lord Running Clam rozmawiał z Hentmanem o tej sprawie. Czuł się osaczony. Nie miał żadnego wyjścia.

–Nie zgadzam się – odezwał się Dark. – Międzynarodowy magnat jubiler, który jest Marsjaninem albo Wenusjańczykiem, to niezłe, ale... – Machnął ręką. – To strasznie oklepane. Mamy już jeden stereotyp, nie wsadzajmy tu następnego. Myślę, że powinien spróbować rozprawić się z... Powiedzmy, ze swoją żoną, która go wykorzystuje – roześmiał się.

–Niezłe – przyznał Bunny. – Ale to jeszcze za mało. Jak długo można by to ciągnąć? Ja chcę nowej, stałej pozycji w programie, a nie tylko numeru na tydzień.

–Myślę, że kołesia z CIA będącego pod pantoflem żony ludzie zawsze kupią – powiedział Dark. – W każdym razie... – Odwrócił się do Chucka. – Potem widać Ziggy’ego Trotsa w pracy, w dowództwie CIA, ze wszystkimi policyjnymi zabawkami i elektronicznymi urządzeniami. I nagle to do niego dociera. – Dark poderwał się na równe nogi i zaczął krążyć po pokoju. – Może ich użyć przeciwko swojej żonie! A jeszcze do tego wszystkiego wchodzi ten nowy symulakron. – Głos Darka naśladowującego symulakrona stał się niewyraźny i metaliczny: – „Tak, proszę pana, co mogę dla pana zrobić? Czekam”.

–Co ty na to, Chuck? – spytał Bunny, szczerząc zęby.

–Czy jedynym powodem, dla którego morduje żonę, jest to, że jest jędzą? – wydusił z siebie Chuck. – Że go terroryzuje?

–Nie! – krzyknął Jones, podrywając się z miejsca. – Masz rację, potrzebujemy jakiejś silniejszej motywacji. Myślę, że mam coś takiego. Jest dziewczyna. Ziggy ma na boku kochankę, interplanetarnego szpiega. Piękna i seksy, rozumiecie? A jego żona nie chce mu dać rozwodu.

–Albo może jego żona poznała przyjaciółkę dziewczyny i...

–Poczekaj – przerwał mu Bunny. – Zobacz, co nam wyszło. Dramat psychologiczny czy komedia? To za bardzo zagmatwane.

–Racja – przytaknął Jones. – Przyczepiliśmy się do tego, aby pokazać, jakim potworem jest jego żona. W każdym razie Ziggy widzi symulakrona... – przerwał, bo ktoś wszedł do pokoju.

Był to Alfańczyk, jedna z tych chitynowych istot, które kilka lat wcześniej uwikłane były w konflikt z Terra. Jego chwytaki zaklekotały, kiedy podszedł do Bunny’ego, wyczuwając jego obecność za pomocą anteny; Alfańczycy byli ślepi.

Dotknąwszy delikatnie twarzy Hentmana, Alfańczyk odwrócił się zadowolony, że wszystko jest na swoim miejscu. Jego pozbawiona oczu głowa obróciła się. Pociągnął nosem, stwierdzając obecność innych ludzi.

–Czy nie przeszkadzam? – spytał brzęczącym głosem, ze śpiewnym alfańskim akcentem. – Usłyszałem waszą dyskusję i zainteresowała mnie ona.

–Rittersdorf – Bunny zwrócił się do Chucka. – Przedstawiam ci jednego z moich najstarszych i najdroższych przyjaciół. Nigdy nie ufałem nikomu tak, jak temu kołesiowi, RBX 303. Może o tym nie wiesz – wyjaśnił – ale Alfańczycy mają nazwiska w stylu tablic rejestracyjnych i to wszystko. Po prostu RBX 303. Brzmi trochę bezosobowo, ale Alfańczycy mają naprawdę dobre serca. RBX 303 ma serce ze złota. – Zachichotał. – A właściwie dwa: po jednym z każdej strony.

–Miło mi cię poznać – powiedział odruchowo Chuck.

Alfańczyk zbliżył się do niego i dotknął go rozwidloną anteną. Chuckowi wydawało się, że dwie muchy biegają mu po twarzy – wyjątkowo nieprzyjemne uczucie.

–Pan Rittersdorf – brzęknął Alfańczyk. – Miło mi pana poznać. – Cofnął się. – A kto jeszcze jest w pokoju, Bunny? Czuję innych.

–To tylko Dark i Jones – odparł Hentman. – Moi pisarze. – Ponownie odwracając się do Chucka, wyjaśnił: – RBX 303 jest potentatem handlowym, dealerem we wszelkiego rodzaju interplanetarnych przedsięwzięciach ekonomicznych. Widzisz, Chuck, tak to wygląda. RBX 303 posiada również pakiet kontrolny Pubtrans Incorporated. Czy coś ci to mówi?

Chuck przez moment nie wiedział, ale potem dotarło do niego. Pubtrans Incorporated to firma sponsorująca show Bunny’ego Hentmana.

–To znaczy – powiedział – że właścicielem spółki jest...

Przerwał. Już miał powiedzieć „jeden z naszych byłych wrogów”, jednak zamilkł. Bo z jednej strony rzeczywiście tak było, ale z drugiej – to przecież dawny, ale nie obecny wróg. Terra i Alfa żyły w pokoju i pojęcie wrogości było nie na miejscu.

–Nie spotkałeś nigdy wcześniej Alfańczyka – powiedział domyślnie Bunny. – A powinieneś. Są wspaniałymi ludźmi. Wrażliwi, z nieprawdopodobnym poczuciem humoru... Pubtrans sponsoruje mnie częściowo, bo RBX 303 wierzy w mój talent. Zrobił dużo, bym z komika grającego w nocnych klubach i okazynie tylko pojawiającego się na antenie, stał się gwiazdą własnego telewizyjnego show. Show istnieje po części właśnie dlatego, że Pubtrans odwalił kawał porządnej roboty, reklamując je.

–Rozumiem – rzekł Chuck. Było mu niedobrze, ale niezupełnie wiedział, dlaczego. Może z powodu sytuacji, której nie był w stanie zrozumieć?

–Czy Alfańczycy są telepatami? – spytał, chociaż wiedział, że tak nie jest. Miał jednak jakieś tajemnicze przeświadczenie dotyczące tego Alfańczyka; przeczucie, że tamten wie wszystko, że nie ma takiego sekretu, którego nie mógłby odkryć.

–Nie są telepatami – odparł Bunny – ale ich zdolności polegają na tym, że słyszą o wiele lepiej niż my. To ich od nas różni. – Spojrzał na Chucka. – A co ci przyszło do głowy z tymi telepatami? Dziwię się, bo przecież musisz znać odpowiedź. W czasie wojny wbijano nam do głów wszystko o wrogach. A nie jesteś taki znowu młody, żeby nie pamiętać. Musiałeś w tym dorastać.

Odezwał się nagle Dark:

–Powiem wam, o co chodzi Rittersdorffowi;wiele razy czułem się podobnie. Rittersdorffa zaangażowano ze względu na jego pomysły i nie chce, by je poznawano bez jego zgody. Należą do niego, dopóki nie zdecyduje się ich komuś odsłonić. Gdybyś przyprowadził, powiedzmy, ganimedejskiego galaretniaka, to, do diabła, byłoby to parszywe pogwałcenie wszystkich naszych praw. Zmienilibyśmy się wtedy w maszyny, z których automatycznie wypompowuje się pomysły. – A do Chucka powiedział: – Nie przejmuj się, RBX 303 nie może czytać w twoich myślach. Może jedynie słuchać subtelnych, drobnych niuansów w twoim głosie. Ale to zadziwiające, jak wiele może odkryć w ten sposób. Alfańczycy są świetnymi psychologami.

–Siedząc w sąsiednim pokoju i słuchając magazynu „Life” – odezwał się RBX 303 – przysłuchiwałem się waszej rozmowie o nowej śmiesznej postaci, Siegfredzie Trotsie. Zainteresowało mnie to i postanowiłem wejść; odłożyłem więc taśmę i oto jestem. Czy nikt nie ma nic przeciwko temu?

–Nikom z nas nie przeszkadza twoja obecność – zapewnił Bunny Alfańczyka.

–Nic tak bardzo mnie nie zajmuje, bawi i fascynuje, jak twórcza sesja twoich utalentowanych pisarzy. Panie Rittersdorff, nigdy przedtem nie widziałem pana w akcji, ale od razu mogę powiedzieć, że ma pan dużo do powiedzenia. Jednak wyczuwam pana awersję, bardzo głęboko skrywaną awersję co do toru, jakim potoczyła się rozmowa. Czy mógłbym spytać, co uważa pan za niewłaściwe w postaci Siegfrieda Trotsa i w jego pragnieniu uwolnienia się od przykłej żony? Czy jest pan żonaty, panie Rittersdorff?

–Tak – odparł Chuck.

–Może ten wątek budzi w panu poczucie winy – powiedział w zamyśleniu Alfańczyk.
– Może podświadomie żywi pan wrogię uczucia do swojej żony.

–Jesteś blisko, RBX 303. Chuck i jego żona rozstali się; ona nawet odwołała się już do sądu. W każdym razie prywatne życie Chucka to jego własna sprawa. Nie jesteśmy tu po to, aby analizować jego psyche. Wracamy do materiału.

–Jednak twierdzę – upierał się Alfańczyk – że w reakcji pana Rittersdorffa jest coś nietypowego. Chciałbym więc dowiedzieć się co. – Odwrócił swą guzowatą, pozbawioną oczu głowę w kierunku Chucka. – Być może, jeżeli będziemy się częściej widywać, zrozumiem to. I mam przeczucie, że także panu przyniesie to korzyść.

Drapiąc się w zamyśleniu po nosie, Bunny Hentman powiedział:

–Może on wie, RBX. Może po prostu nie chce powiedzieć. – Spojrzał na Chucka i dodał: – Ale ciągle uważam, że to jego własna sprawa.

–Po prostu nie przemawia to do mnie jako pomysł na komedię. Tego dotyczy

moja... – Chuck prawie powiedział „niechęć” – wątpliwość.

–Cóż, ja nie mam żadnych wątpliwości – rzekł Bunny. – W rekwizytorni przygotowują mi wydrążony manekin symulakrona, do środka którego ktoś wejdzie. Będzie to o wiele tańsze i pewniejsze, niż kupowanie prawdziwego. I będziemy potrzebowali dziewczyny, która zagra rolę żony Ziggy’ego. Mojej żony, bo ja będę Ziggym.

–A co z przyjaciółką dziewczyny? – spytał Jones. – Będzie czy nie? Mogłaby być piersiasta. To by się spodobało publiczności. Inaczej zostaniemy z jedną zrzędą, która stanowczo nie może być piersiasta. Z taką nic by się nie udało.

–Czy myślisz o kimś konkretnym, kto mógłby zagrać tę rolę? – zapytał Bunny z kartką papieru i długopisem w ręce.

–Wiesz, ta nowa cizia, z którą prowadzi interesy twój agent – rzekł Dark. – Ta nowa mała... Patty Cośtam. Patty Weaver. Ta ma dopiero biust! Lekarze musieli jej wszczepić co najmniej pięćdziesiąt funtów silikonu.

–Jeszcze dzisiaj zaangażuję Patty – powiedział Bunny, kiwając głową. – Znam ją, jest niezła, dokładnie by nam pasowała. No i potrzebujemy jeszcze jakiejś wojowniczej wiedźmy, która zagrałaby kłótniwą żonę. Może Chuck wybierze kogoś do tej roli. – Zaśmiał się głucho.

Kiedy późno w nocy znużony Chuck wracał do swojego podłego mieszkania w Marin County, na korytarzu zatrzymał go ganimedejski galaretniak. Tego już było za wiele.

–W twoim apartamencie jest dwóch ludzi – poinformował go Lord Running Clam. – Wydawało mi się, że powinieneś o tym wiedzieć.

–Dzięki – odparł Chuck, zastanawiając się, czemu tym razem będzie musiał stawić czoło.

–Jeden z nich to twój przełożony z CIA, Jack Elwood – mówił galaretniak. – Drugim jest przełożony pana Elwooda, pan Roger London. Przyszli, aby porozmawiać z tobą o twoim drugim źródle zarobku.

–Nigdy tego przed nimi nie ukrywałem – rzekł Chuck. – W końcu Mageboom kierowany przez Pete’a Petriego był tutaj, kiedy Hentman mnie angażował. – Z niechęcią zastanawiał się, po co wtrącali się do tej sprawy.

–To prawda – zgodził się galaretniak. – Ale oni mają podsłuch na linii, którą dziś rozmawiałeś. Najpierw z Joan Trieste, a potem z panem Hentmanem na Florydzie. Więc nie tylko wiedzą, że pracujesz dla Hentmana, ale znają pomysł scenariusza, który...

To wyjaśniało wszystko. Minął galaretniaka i podszedł do drzwi mieszkania. Nie były zamknięte na klucz. Chuck otworzył je i stanął twarzą w twarz z dwoma przedstawicielami CIA.

–Tak późno w nocy? – zapytał. – Czy to rzeczywiście takie ważne? – Podszedł do starej, ręcznie wykonanej szafy i powiesił płaszcz. Pokój był przyjemnie ciepły, funkcjonariusze CIA uruchomili ogrzewanie radialne.

–Czy to ten człowiek? – spytał London. Był to wysoki, siwiejący, przygarbiony mężczyzna po pięćdziesiątce. Chuck spotkał go wcześniej i uważał, że jest trudnym człowiekiem. – Czy to jest Rittersdorf?

–Tak – odparł Elwood. – Chuck, słuchaj uważnie. Jest coś, czego nie wiesz o Bunnym Hentmanie. Sprawdzone fakty. Więc wiemy, dlaczego przyjąłeś tę pracę; wiemy że nie chciałeś, ale byłeś zmuszony.

–Ach, tak – powiedział Chuck ostrożnie. Prawdopodobnie nie mogli wiedzieć, jaką presję wywarł na niego galaretniak z drugiego końca korytarza.

–W pełni rozumiemy trudną sytuację związaną z twoją byłą żoną, Mary – rzekł Elwood. – Wysokie alimenty i wyrok sądu, który udało jej się uzyskać. Wiemy, że potrzebujesz pieniędzy, by spłacić to wszystko. Jednakże... – Spojrzał na Londona. Ten skinął głową i Elwood otworzył teczkę. – Tutaj mamy dossier Hentmana. Naprawdę nazywa się Sam Little. W czasie wojny był oskarżony o pogwałcenie reguł kupieckich rządzących handlem z neutralnymi stanami. Inaczej mówiąc, Hentman pośredniczył w dostarczaniu towarów wrogom. Spędził tylko rok w więzieniu, dzięki temu, że jego adwokaci byli bardzo wygadani. Chcesz słuchać dalej?

–Tak – odparł Chuck – bo trudno mi rzucić pracę tylko dlatego, że piętnaście lat temu...

–W porządku – rzekł Elwood, wymieniwszy krótkie spojrzenia z Londonem. – Po wojnie Sam Little, czyli Bunny Hentman, jak się teraz nazywa, mieszkał w układzie Alfa. Co tam robił, nikt nie wie. Nasze źródła informacji na Alfie były bezużyteczne. W każdym razie około sześciu lat temu wrócił na Terrę z mnóstwem interplanetarnych skinów. Zaczął grywać w nocnych klubach, a potem uzyskał sponsora – Pubtrans Incorporated...

–Wiem – przerwał Chuck – że właścicielem Pubtrans jest Alfańczyk. Spotkałem go. RBX 303.

–SPOTKAŁEŚ GO??? – Elwood i London wytrzeszczyli na niego oczy.

–Wiesz coś o RBX 303? – zapytał Elwood. – Jego rodzina podczas wojny zarządzała największym kartelem sprzętu wojskowego w systemie Alfa. Jego brat jest teraz w rządzie alfańskim, podlega bezpośrednio Wielkiemu Doży Alfy. Inaczej mówiąc, jeśli prowadzisz transakcje z RBX 303, prowadzisz je z rządem Alfy. – Rzucił dossier Chuckowi. – Przeczytaj resztę.

Chuck starannie przejrzał zadrukowane kartki. Z łatwością podsumował wiadomości; agenci CIA, którzy je opracowali, uważali, że RBX 303 działa jako nieoficjalny przedstawiciel swojego rządu, czyli obcych sił, i że Hentman zdaje sobie z tego sprawę. Stąd działalność ich obu była bacznie obserwowana przez CIA.

–Powodem, dla którego zaoferował ci tę pracę – powiedział Elwood – nie jest to, o czym myślisz. Hentmanowi nie potrzeba nowych pisarzy, ma ich już pięciu. Powiem ci, co o tym wszystkim sądzimy. Myślimy, że ma to coś wspólnego z twoją żoną.

Chuck nie odpowiedział, bezmyślnie wertując kartki życiorysu.

–Alfańczycy – kontynuował Elwood – chcieliby ponownie zdobyć Alfę III M2. A jedyny sposób, by uczynić to legalnie, to skłonić mieszkających tam Terran do jej opuszczenia. W innym wypadku, zgodnie z interplanetarnymi Protokołami Roku 2040, księżyc staje się własnością jego kolonizatorów i jeśli ci kolonizatorzy są

Terranami, jest on pośrednio własnością Terry. Alfańczycy nie mogą zmusić osadników do jego opuszczenia, lecz mogą mieć ich na oku. Są całkowicie świadomi, iż jest to społeczeństwo złożone z umysłowo chorych, byłych pacjentów Szpitala Neuropsychiatrycznego Harry'ego Stacka Sullivana, który założyliśmy tam przed wojną. Jedyne terrańska agencja może zabrać kolonizatorów z Alfy III M2, może to być TERPLAN, czy Amerykański Interplanetarny Urząd Zdrowia i Opieki Społecznej. Możemy ewakuować księżyc i zostawić go do rozgrabienia.

–Ale nikt – odezwał się Chuck – nie będzie proponował kolonizatorom ewakuacji. – Nie podlegało to dyskusji. Mogło się zdarzyć jedno z dwojga: albo Terra zostawi osadników w spokoju, albo zbuduje się nowy szpital i zostaną oni zmuszeni do poddania się kuracji.

–Być może masz rację – rzekł Elwood. – Ale czy Alfańczycy o tym wiedzą?

–I pamiętaj – powiedział niskim, chrapliwym głosem London – że Alfańczycy to świetni gracze. Postawili wszystko na jedną kartę i przegrali. Nie potrafią działać inaczej.

To była prawda, Chuck skinął głową. Ale to ciągle nie miało sensu. Jaki wpływ miał na postanowienia Mary? Hentman wiedział, że on i Mary żyli w separacji. Mary była na Alfie III M2, a on był tutaj. Ale nawet gdyby oboje znajdowali się na alfańskim księżycu, nic by to nie zmieniło – Mary sama podejmowałaby decyzje.

Gdyby jednak Alfańczycy wiedzieli, że to on kieruje Danem Mageboomem...

Nie, to było niemożliwe.

–Mamy pewną teorię – powiedział Elwood, odbierając dossier i chowając je do teczki. – Sądzymy, że Alfańczycy wiedzą...

–Nie mów mi – przerwał Chuck – że wiedzą o Mageboomie, to by znaczyło, że przeniknęli do CIA.

–Ja... niezupełnie to chciałem powiedzieć – rzekł Elwood niepewnie. – Chciałem powiedzieć, że im się wydaje, iż twoja separacja z Mary jest tylko formalna, że ciągle jesteś w to zaangażowany uczuciowo. Oni chyba uważają, że w niedługim czasie kontakt między tobą i Mary zostanie ponownie nawiązany, czy tego chcecie czy nie.

–I co im to da? – zapytał Chuck.

–Tutaj ich wizja sytuacji wygląda zdecydowanie ponuro – odparł Elwood. – Z bocznych źródeł, strzępków informacji zbieranych tu i tam, dowiedzieliśmy się... Oczywiście możemy się mylić, ale wydaje nam się, że Alfańczycy będą się starali skłonić cię do podjęcia próby zabicia swojej żony.

Chuck nie odpowiedział, jego twarz pozostawała niewzruszona. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Elwood i London przyglądali mu się z zaciekawieniem, wyraźnie zastanawiając się, czemu wciąż milczy.

–Szczerze mówiąc – mruknął w końcu London – mamy informatora w najbliższym otoczeniu Hentmana. Nieważne, kto to jest. Dowiedzieliśmy się od niego, że projekt scenariusza przedstawiony ci po przyjeździe na Florydę przez Hentmana i jego pisarzy dotyczy symulakrona CIA zabijającego kobietę. Żonę agenta CIA. Czy to prawda?

Chuck powoli kiwnął głową, jego oczy utkwione były w punkt na ścianie na prawo od Elwooda i Londona.

–Ten spisek – kontynuował London – ma poddać ci pomysł zabicia pani Rittersdorf za pomocą symulakrona CIA. Jedno, czego Hentman i jego alfańscy przyjaciele nie wiedzą, to to, że symulakron jest już na Alfie III M2 i że nim kierujesz. Gdyby to wiedzieli... – przerwał, a potem dokończył na wpół do siebie: – Zobaczyliby, że nie ma sensu opracowywanie szczegółowego scenariusza, by natchnąć cię tą ideą. – Przyjrzał się Chuckowi. – Bardzo prawdopodobne, że sam na to wpadłeś.

Po krótkiej chwili odezwał się Elwood:

–To ciekawy domysł. Nie pomyślałem o tym, ale pewnie bym to zrobił. – A do Chucka powiedział: – Czy chciałbyś zrezygnować z operowania symulakronem Mageboomem, by udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że nic takiego nie przyszło ci do głowy?

Chuck odpowiedział, starannie dobierając słowa:

–Oczywiście, że nie zamierzam zrezygnować. – Było jasne, że jeśli by to zrobił, przyznałby im rację, dowodząc, że odkryli coś dotyczącego jego i jego zamierzeń. A przy tym nie chciał porzucić pracy z Mageboomem z tej prostej przyczyny, że zamierzał kontynuować swój plan zabicia Mary.

–Jeżeli cokolwiek stanie się pani Rittersdorf – rzekł London – główne podejrzenie padnie na ciebie.

–Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział Chuck sztywno.

–Więc kiedy będziesz kierował tym Mageboomem – dodał London – lepiej uważaj na bezpieczeństwo pani Rittersdorf.

–Chcecie usłyszeć moją opinię? – zapytał Chuck.

–Jasne – odparł London, a Elwood skinął głową.

–Cały ten pomysł to absurd, wymysł oparty na wyrwanych z kontekstu szczątkach informacji pochodzących od agenta z bujną wyobraźnią, który zbyt długo obcował z osobistościami z telewizji. W jaki sposób zabicie Mary może zmienić jej decyzje dotyczące Alfego III M2 i jej chorych psychicznie mieszkańców? Gdyby zginęła, zostałaby po prostu zastąpiona przez kogoś innego.

–Myślę – odezwał się Elwood do swojego przełożonego – że może tu chodzić nie o morderstwo, ale o próbę morderstwa. Groźbę zabójstwa, wiszącą nad doktor Rittersdorf i zmuszającą ją do uległości. To oczywiście rozumiałe, że kampania Hentmana przynosi owoce – dodał, zwracając się do Chucka. – Tak że jesteś pod wpływem sugestii scenariusza.

–Tak ci się tylko wydaje.

–Sądzę – odparł Elwood – że to interesujący zbieg okoliczności. Kierujesz symulakronem CIA przebywającym obok Mary, dokładnie tak, jak jest w scenariuszu Hentmana. Jakie jest prawdopodobieństwo, że...

–Bardziej wiarygodnym wyjaśnieniem jest to, że Hentman w jakiś sposób dowiedział się, że operują Mageboomem i na tej podstawie rozwinął swój pomysł. A wiesz, co to oznacza... – Rozumowanie było proste. Mimo ich zaprzeczeń, nastąpiła infiltracja w CIA. Albo...

Była jeszcze jedna możliwość: Lord Running Clam wyłowił informacje z umysłu Chucka i przekazał je Hentmanowi. Najpierw wymusił na Chucku przyjęcie pracy u Hentmana, a teraz wszyscy razem działają, by zmusić go do zrealizowania ich planu dotyczącego Alfego III M2. Scenariusz telewizyjny nie miał w takim wypadku obudzić w jego głowie pomysłu zabicia Mary; dzięki galaretniakowi organizacja Hentmana wiedziała, że Chuck już na coś takiego wpadł. Scenariusz miał mu powiedzieć, może nie wprost, ale wystarczająco wyraźnie, że wiedzą, i jeżeli nie zrobi tego, co każą, ujawnią jego zamysły całemu Układowi Słonecznemu. A wtedy siedem miliardów ludzi pozna jego plan zabicia żony.

Musiał przyznać, że w ten sposób organizacja Hentmana miała go w ręku i musiał robić to, co mu kazali. Sądząc po tym, co już osiągnęli, wzbudzili podejrzenia najwyższych urzędników CIA na Zachodnim Wybrzeżu. I, jak powiedział London, jeżeli cokolwiek stanie się Mary...

A mimo to zamierzał brnąć dalej, a w każdym razie próbować. I to nie tylko grożąc, tak jak tego chciała organizacja Hentmana, by zmusić Mary do odpowiedniej polityki dotyczącej chorych umysłowo kolonistów. Dalej miał zamiar realizować swój plan. Dlaczego, nie wiedział. W końcu mógł już nigdy nie zobaczyć Mary...

Dlaczego więc jej śmierć wydawała mu się tak istotna?

Dziwne, ale była ona jedyną osobą, która mogłaby przejrzeć jego plany, gdyby tylko miała taką możliwość. To była jej praca.

Ten paradoks go rozbawił. Mimo obecności dwóch bystrych funkcjonariuszy CIA, nie wspominając już o żółtym galaretniaku, podsłuchującym z odległego korytarza, wcale nie czuł się źle. Stał twarzą w twarz z dwoma doświadczonymi ugrupowaniami. CIA i organizacja Hentmana składały się z profesjonalistów z długoletnim stażem, lecz jednocześnie intuicja podpowiadała mu, że osiągnie to, czego on chce, a nie to, czego chcą oni.

Galaretniak oczywiście podsłucha tę myśl. Chuck miał nadzieję, że dotrze ona do Hentmana. Chciał, aby się o niej dowiedział.

Po wyjściu dwóch funkcjonariuszy pod zamkniętymi drzwiami pokoju Chucka przepłynął galaretniak i zmaterializował się na środku staromodnego, przykrywającego całą podłogę dywanu.

–Panie Rittersdorf – odezwał się oskarżycielskim tonem, z nutą oburzenia w głosie. – Mogę pana zapewnić, iż nie mam żadnych kontaktów z panem Hentmanem. Nie spotkałem go nigdy, oprócz tego jednego razu, gdy tutaj przyszedł, by uzyskać pański podpis pod kontraktem.

–Wy łajdaki – powiedział Chuck, przygotowując sobie w kuchni kawę. Było już po czwartej, ale dzięki nielegalnym stymulantom, dostarczonym przez Lorda Runninga Clama, nie czuł zmęczenia. – Zawsze podsłuchujecie. Czy nie macie własnego życia?

–Zgadzam się z panem w jednym punkcie – odparł galaretniak. – Pan Hentman, przygotowując scenariusz, musiał wiedzieć o pana zamiarach w stosunku do żony. Inaczej byłby to zbyt duży zbieg okoliczności. Być może ktoś oprócz mnie jest telepatą.

Chuck popatrzył na niego.

–Może to być znajomy pracownik CIA – ciągnął galaretniak – lub gdy kieruje pan symulakronem Mageboomem na Alfie III M2, pańskie myśli może czytać jeden z tamtejszych chorych osadników. Uważam za swój obowiązek towarzyszyć panu, gdy to możliwe, by dowieść moich dobrych intencji. Gorąco pragnę odzyskać pańskie zaufanie. Zrobię wszystko, by odnaleźć tego telepatę, który informuje Hentmana, chociaż...

–Czy to może być Joan Trieste? – przerwał nagle Chuck.

–Nie. Znam jej myśli, nie ma takich zdolności. Jak pan wie, jest psi, ale jej umiejętność, czy też dar, dotyczy czasu. – Galaretniak zamyślił się. – Chyba że... Wie pan, Rittersdorf, jest jeszcze jeden sposób, by poznać pańskie zamiary. Może to

być psioniczna zdolność przewidywania. Powiedzmy, że pewnego dnia pański plan wyjdzie na jaw. Prekognista, patrząc w przyszłość, może to zobaczyć. Nie możemy przeoczyć tej ewentualności. Dowodzi to w każdym razie, że Hentman może znać pański plan w stosunku do żony nie tylko dzięki telepatii.

Musiał przyznać, że rozumowanie galaretniaka brzmiało rozsądnie.

–W rzeczywistości – kontynuował tamten, wyraźnie pulsując z podniecenia – może to być bezwiedne funkcjonowanie zdolności prekognicyjnej u kogoś, kto nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że ją posiada. Na przykład w organizacji Hentmana. Może to nawet sam pan Hentman.

–Hmm... – Chuck zamyślił się, nalewając sobie gorącej kawy.

–W przyszłości czeka pana efektowne morderstwo dokonane na kobiecie, której się pan boi i której nienawidzi. To istotne wydarzenie mogłoby uaktywnić u pana Hentmana ukryte zdolności jasnowidzenia. I nie wiedząc o tym, stąd mógł on czerpać „inspirację” do swego scenariusza... Często talent psi funkcjonuje w ten sposób. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że tak właśnie się stało. Uważam, że teoria CIA jest niesłuszna: Hentman i jego alfański przyjaciel nie zamierzają stawiać pana wobec tak zwanego „ujawniania” pańskich zamiarów. Oni po prostu robią to, co mówią: starają się przygotować rentowny scenariusz telewizyjny.

–A co z argumentem CIA, że Alfańczycy są zainteresowani zdobyciem Alfę III M2? – zapytał Chuck.

Być może częściowo tak jest – przyznał galaretniak. – Byłoby to typowe dla Alfańczyków. Nie poddawać się, lecz mieć nadzieję. W końcu księżyc jest w ich układzie planetarnym. Ale, jeżeli mogę tak powiedzieć, teoria tych z CIA wydaje mi się nędznym zlepkiem przypadkowych podejrzeń. Kilka odrębnych, połączonych razem *ad hoc* powikłaną strukturą teoretyzowania, gdzie każdemu przypisuje się udział w spisku. Dużo prostsze rozwiązanie może być bardziej prawdopodobne. A jako pracownik CIA musisz wiedzieć, że podobnie jak wszystkie agencje wywiadowcze, także ta całkowicie pozbawiona jest zdolności rozsądnego myślenia. Chuck zachichotał.

–Właściwie – rzekł galaretniak – można powiedzieć, że pańskie barwne pragnienie zemsty na żonie częściowo wywodzi się z lat przebywania z personelem aparatu wywiadowczego.

–Lecz jedno musisz przyznać – odezwał się Chuck. – Mam wyjątkowego pecha, że Hentman i jego pisarze wpadli akurat na tak szczególny pomysł do swojego scenariusza.

–No tak, ale to właściwie bardzo śmieszne, że za chwilę sam usiądziesz, by pisać dialogi do niego. – Galarettniak zaśmiał się cicho. – Mogą być przez to prawdziwsze. Hentman będzie zachwycony twoją wnikliwą analizą pobudek kierujących Ziggyem Trotsem.

–Skąd wiesz, że ta postać ma się nazywać Ziggy Trots? – Chuck znowu nabrał podejrzeń.

–Usłyszałem to w twoich myślach.

–Więc musiałeś też usłyszeć, że chciałbym, abys wyszedł i zostawił mnie samego. – Nie był jednak śpiący. Miał ochotę usiąść i zacząć pracować nad scenariuszem.

–Proszę bardzo. – Galarettniak odpłynął i Chuck został sam. Z ulicy z rzadka dobiegały odgłosy przejeżdżających pojazdów. Stał przez chwilę przy oknie, pijąc kawę, a potem usiadł przy maszynie do pisania i wkręcił papier.

„Ziggy Trots – pomyślał z odrazą. – Jezu, co za imię. Jaki typ osoby wskazuje? Idiotę. Kogoś wystarczająco stukniętego, by wpaść na pomysł zamordowania swojej żony. – Zaczął z profesjonalnym rozmachem wyczarowywać początkową scenę. – Będzie to oczywiście Ziggy, który, spokojny jak dziecko, robi coś absolutnie nieszkodliwego. Może czyta w domu wieczorną homeogazetę, podczas gdy jego żona zatruwa mu życie jak jakaś harpia. Tak – pomyślał Chuck – ta scena będzie wyglądała wyjątkowo realistycznie. Będę opierał się na wieloletnim doświadczeniu”. – Zaczął stukać w klawisze maszyny...

Pisał przez kilka godzin, dziękując w duchu nielegalnym stymulantom heksoamfetaminowym. Nie czuł zmęczenia, praca szła mu nawet szybciej niż zazwyczaj. O siódmej trzydzieści, gdy długie, złote promienie porannego słońca zalały ulicę, poszedł do kuchni i zaczął przygotowywać śniadanie. „Teraz czas na CIA – powiedział do siebie. – Na ósmą trzydzieści do jej siedziby w San Francisco. I do Daniela Magebooma”.

Z kawałkiem grzanki w ręku stanął przy maszynie do pisania, przeglądając zapisane kartki. Wyglądały nieźle, nic dziwnego – przecież przez lata pisanie dialogów było źródłem jego utrzymania. Teraz trzeba je przesłać lotniczą pocztą ekspresową do Hentmana, do Nowego Jorku. Dotrą w ciągu godziny.

Dwadzieścia po ósmej, gdy golił się w łazience, usłyszał dzwonek wideofonu. Pierwszy raz, od kiedy mu go założono.

–Halo? – odezwał się.

Na małym ekranie pojawiła się twarz uderzająco pięknej dziewczyny o irlandzkich rysach. Chuck zamrugał.

–Pan Rittersdorf? Jestem Patricia Weaver. Dowiedziałam się właśnie, że w pańskim scenariuszu jest dla mnie rola. Czy nie mogłabym ewentualnie dostać kopii? Umieram z niecierpliwości, aby ją zobaczyć. Od lat dosłownie modliłam się o szansę występu w programie Bunny’ego. Cholernie go podziwiam.

Oczywiście miał kopiarkę termofaksową. Mógł zrobić każdą ilość odbitek scenariusza.

–Wyślę pani tyle, ile mam. Ale to jeszcze nie skończone i powinien to najpierw zobaczyć Bunny. Nie wiem, ile z tego zechce zostawić. Może nic?

–Po tym, jak mówił o panu – powiedziała Patricia Weaver – jestem pewna, że wykorzysta całość. Czy mógłby pan to dla mnie zrobić? Zostawię mój adres. Właściwie mieszkam całkiem niedaleko od pana. Pan jest w północnej Kalifornii, a ja w Los Angeles, w Santa Monica. Moglibyśmy się spotkać, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu. I mógłby pan posłuchać, jak czytam swoją rolę.

„Jej rolę? Dobry Boże!” – Uzmysłował sobie, że nie napisał żadnego dialogu uwzględniającego agenta wywiadu, piersiastą kobietę ze sztucznie powiększonymi sutkami. Były jedynie sceny z Ziggym i jego jędzowatą żoną. Miał tylko jedno wyjście – wziąć pół dnia wolnego w CIA i napisać więcej.

–Wie pani co? – rzekł. – Przyniosę pani kopię. Proszę mi dać czas do wieczora. – Znalazł długopis i kartkę. – Jaki jest pani adres? – spytał, myśląc jednocześnie: „Do diabła z symulakronem Mageboomem!”

Nigdy przedtem nie widział tak atrakcyjnej dziewczyny. Od razu wszystko inne stało się nieważne, zeszło na drugi plan.

Zapisał jej adres. Drżącymi rękami wyłączył wideofon i natychmiast spakował kartki scenariusza. W drodze do San Francisco wsadził kopertę do ekspresowej rakiety pocztowej i miał to z głowy. Postanowił, że siedząc przy biurku w CIA, wymyśli jakiś dialog dla panny Weaver. O ósmej maszynopis będzie już gotowy. „W końcu nie idzie mi tak źle – pomyślał. – To znacznie lepsze niż koszmar życia z Mary”.

Dotarł do budynku CIA na ulicy Sansome w San Francisco i wszedł do środka przez dobrze mu znaną szeroką bramę.

–Rittersdorf – rozległ się głos. – Proszę się zgłosić do mojego biura. – To był Roger London, wielki, groźny i posępny. Przyglądał się Chuckowi z niesmakiem.

„Jeszcze jedna rozmowa” – pomyślał Chuck, idąc za Londonem.

–Panie Rittersdorf – powiedział zwierzchnik, zamknąwszy drzwi. – Wczoraj w nocy założyliśmy podsłuch w pańskim mieszkadle. Wiemy, co robił pan po naszym

wyjściu.

–Co robiłem? – Zupełnie nie przypominał sobie, by zrobił coś, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie CIA. Chyba że w czasie rozmowy z galaretniakiem powiedział za dużo.

Myśli Ganimedejczyka były oczywiście nieuchwytnie dla mikrofonów. Jedyne, co pamiętał, to że mówił o kolosalnym pechu, iż scenariusz telewizyjny Hentmana dotyczył mężczyzny mordującego swoją żonę przy pomocy symulakrona CIA. I oczywiście to...

–Wiemy, że całą ostatnią noc spędziłeś, pracując. Byłoby to niemożliwe, gdybyś nie miał dostępu do zakazanych narkotyków. Masz więc kontakty z nie-Terranami, którzy ci je dostarczają, i w takim razie... – Przyjrzał się Chuckowi. – Jesteś chwilowo zawieszony w czynnościach. Takie są wymogi bezpieczeństwa.

–Ale żeby podołać pracy na dwie zmiany... – odezwał się Chuck zszokowany.

–Żaden pracownik CIA, na tyle głupi, że używa nielegalnych narkotyków nie-terrańskich, nie jest zdolny do wypełniania swoich zadań tutaj – odparł London. – Od dzisiaj Mageboom będzie kierowany przez zespół składający się z Pete’a Petriego i faceta, którego nie znasz, Toma Schneidera. – Grube rysy Londona rozciągnęły się w sztucznym uśmiechu. – Ciągłe masz przecież drugą pracę... A może już nie?

–Co to znaczy „a może już nie”? – Oczywiście, że pracował dla Hentmana; podpisali w końcu kontrakt.

–Jeżeli teoria CIA jest słuszna, nie będziesz już potrzebny Hentmanowi, gdy dowie się, że zabroniono ci dostępu do Magebooma – powiedział London. – Sądzę więc, że w ciągu mniej więcej dwunastu godzin... – Spojrzał na zegarek. – Powiedzmy przed dziewiątą wieczorem odkryjesz niemiły fakt, że w ogóle już nie pracujesz. I myślę, że wtedy będziesz trochę bardziej chętny do współpracy z nami. Z radością powitasz powrót do pierwotnego stanu rzeczy. Kropka. A propos – ciągnął – czy mógłby pan powiedzieć, z jakiego źródła otrzymał pan te swoje narkotyki?

–Zaprzeczam, abym brał jakiegokolwiek narkotyki – odparł Chuck, ale nawet w jego własnych uszach nie zabrzmiało to przekonująco. London miał go w garści i obaj o tym wiedzieli.

–Dlaczego po prostu nie podejmiesz współpracy z nami? – spytał London. – Rzuć pracę u Hentmana, powiedz, kto dał ci narkotyki, a dostaniesz Magebooma w ciągu piętnastu minut. Mogę ci to osobiście zapewnić. Jaki masz powód, by...

–Pieniądze – odrzekł Chuck. – Potrzebuję pieniędzy z obydwu źródeł. – „I jestem szantażowany – dodał w duchu – przez Lorda Runninga Clama”. Ale nie mógł

powiedzieć tego głośno. Nie Londonowi.

–W porządku. Możesz iść. Skontaktuj się z nami, gdy rzucisz pracę u Hentmana. Może będziesz musiał spełnić tylko ten jeden warunek, aby zostać z powrotem przyjęty do pracy. – Otworzył Chuckowi drzwi.

Oszołomiony Rittersdorf znalazł się na szerokich frontowych schodach budynku CIA. Wydawało się to nieprawdopodobne, a jednak się zdarzyło. Stracił swą wieloletnią pracę przez coś, co wydawało się tylko pretekstem. Teraz nie miał już jak dosięgnąć Mary. Do diabła ze straconą pensją – to, co dostawał od Hentmana, było więcej niż wystarczające. Ale bez Magebooma nie miał szans na zrealizowanie swojego planu; planu, który odkładał i tak już zbyt długo. Teraz, gdy nie miał już konkretnego celu w życiu, czuł w środku wielką pustkę. Cały sens jego bytu został nagle zburzony.

Odrętwiały z powrotem ruszył schodami w górę, w kierunku głównego wejścia do budynku CIA. Umundurowany strażnik pojawił się znikąd i zablokował mu drogę.

–Panie Rittersdorf, przykro mi, naprawdę żałuję, ale otrzymałem rozkaz, rozumie pan, by pana nie wpuszczać.

–Chciałbym się zobaczyć z panem Londonem, na minutę – powiedział Chuck.

Za pomocą przenośnego telefonu strażnik porozumiał się ze zwierzchnikiem.

–W porządku, panie Rittersdorf, może pan wejść. – Odsunął się i obrotowe drzwi automatycznie się odblokowały przez Chuckiem.

Chwilę później stał znów przed Londonem w jego wielkim, wyłożonym boazerią gabinecie.

–Podjął pan decyzję? – zapytał go przełożony.

–Mam pytanie. Jeżeli Hentman mnie nie zwolni, czy *de facto* nie będzie to dowód, że pańskie podejrzenia wobec mnie były błędne?

Czekał, a London przyglądał mu się spode łba. Patrzył, ale nie odpowiadał.

–Jeżeli Hentman mnie nie zwolni – kontynuował Chuck – zamierzam wnieść apelację o zmianę pańskiej decyzji zawieszenia mnie w czynnościach. Stanę przed Komisją Administracji Państwowej i udowodnię, że...

–Jesteś zawieszony w czynnościach – powiedział London słodko – z powodu używania nielegalnych narkotyków. Otwarcie mówiąc, przeszukaliśmy już twoje mieszkanie i znaleźliśmy je. To GB-40, prawda? Niewątpliwie, biorąc GB-40, można

pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gratulacje. W każdym razie teraz, kiedy straciłeś pracę w CIA, nie wydaje się to już potrzebne. – Odwrócił się, usiadł za biurkiem i zaczął przeglądać jakieś dokumenty. Spotkanie było zakończone.

–Zobaczy pan, że się myliliście – rzekł Chuck – jeżeli Hentman mnie nie wyleje. Poproszę was wtedy, żebyście ponownie przemyśleli całą sprawę. Żegnam.

Wyszedł z biura, głośno zamykając za sobą drzwi. „Bóg jeden wie, na jak długo” – dodał w duchu. Na zewnątrz jeszcze raz zatrzymał się niezdecydowany, szturchany przez ludzi przepychających się dookoła. „Co teraz?” – zadał sobie pytanie. Jego życie drugi raz w tym miesiącu się zawaliło. Najpierw szok spowodowany separacją z Mary, a teraz to. „Za dużo” – powiedział do siebie, zastanawiając się, czy coś jeszcze mu pozostało.

Została mu jeszcze praca u Hentmana. I tylko ona.

Autonomiczną taksówką wrócił do mieszkania i szybko, z desperacją, usiadł przy maszynie do pisania. „Teraz – powiedział sobie – trzeba się zająć dialogiem dla panny Weaver”. Zapomniał o wszystkim innym, ograniczając swój świat do wymiarów maszyny do pisania i kartki papieru. „Dostaniesz cholernie dobrą rolę – rozmyślał – i może dasz mi coś w zamian”.

Skończył pracować o trzeciej w południe. Wstał od maszyny, przeciągając się i wtedy dopiero poczuł zmęczenie. Ale umysł był jasny. „Więc obserwuję moje mieszkanie za pomocą urządzeń audiowizualnych” – pomyślał. Na użytek podsłuchu powiedział głośno:

–Te dranie w biurze szpiegują mnie. Zboczenie. Szczerze mówiąc, to wielka ulga uwolnić się od tej atmosfery podejrzeń i... – przerwał. Co by to dało? Poszedł do kuchni i zaczął przygotowywać lunch.

O czwartej, ogolony, upudrowany, roztaczający wokół siebie najbardziej atrakcyjny męski zapach, jaki tylko współczesna chemia potrafiła wyprodukować, i ubrany w swój najlepszy, niebiesko-czarny garnitur z Tytana, z maszynopisem pod pachą wyszedł, szukając taksówki. Jechał do Santa Monica, do Patty Weaver, do... Bóg jeden wie czego. Ale oczekiwał wiele.

„A jeśli to zakończy się fiaskiem, co wtedy? Dobre pytanie”. Miał nadzieję, że nie będzie musiał na nie odpowiadać. Po odejściu żony i zwolnieniu z pracy – wydarzeniach następujących tak szybko po sobie – czuł oszołomienie. Jego podświadomość przyzwyczajona była widzieć Mary w nocy, a biuro CIA w dzień. Teraz nie było ani jednego, ani drugiego. Coś musiało zapełnić tę pustkę. Jego zmysły domagały się tego.

Zatrzymał taksówkę odrzutową i podał adres. Patty Weaver w Santa Monica. Gdy

już był w drodze, wyciągnął maszynopis i zaczął go przeglądać, dokonując ostatnich poprawek.

Godzinę później, parę minut po czwartej, taksówka wylądowała na dachu imponującej, dużej, stylowej, nowej mieszkalni.

„Nadeszła wielka chwila – powiedział do siebie Chuck. – Randka z pierwszą gwiazdą telewizyjną...” Czegóż więcej mógłby pragnąć?

Patty Weaver była w domu; dobry znak. Otworzyła drzwi swojego mieszkania i powiedziała:

–O Boże, więc to pan jest autorem scenariusza! Bardzo wcześnie pan przyszedł, powiedział pan...

–Skończyłem wcześniej, niż przewidywałem. – Chuck wszedł do pokoju, obrzucając wzrokiem przesadnie nowoczesne meble w stylu neoprekolumbijskim. Wszystkie były wykonane oczywiście ręcznie. Na ścianach wisiały animowane ilustracje ulegające ciągłym zmianom. Składały się z dwuwymiarowych maszyn szumiących jak fale odległego oceanu.

–Ma pan to ze sobą? – rzekła panna Weaver zachwycona. Ubrana była dziwnie jak na tak wczesny wieczór – w najmodniejszą paryską suknię. Widywał takie tylko w witrynach sklepów. Jak wielka przepaść dzieliła ten świat od życia, które prowadził dotychczas. Suknia była bogata i skomplikowana jak płatki kwiatów spoza Terry. „Musiała kosztować z tysiąc skinów” – pomyślał Chuck. W takiej sukni można było śmiało ubiegać się o każdą pracę. Prawa pierś Patty, stercząca i jędrna, była zupełnie obnażona. Była to naprawdę bardzo modna suknia. Czy dziewczyna spodziewała się wizyty kogoś innego, na przykład Bunny’ego Hentmana?

–Wychodziłam właśnie na koktajl – wyjaśniła Patty. – Ale zadzwonię i odwołam to. – Podeszła do wideofonu. Jej ostre obcasy postukiwały na inkaskiej podłodze z syntetycznej gliny.

–Mam nadzieję, że spodoba się pani scenariusz – odezwał się Chuck, przechadzając się po pokoju. Czuł się nieco zagubiony. Sytuacja go przerastała: wyszukana droga suknia, ręcznie wykonane meble... Stał naprzeciwko obrazów, przyglądając się, jak ich powierzchnie pulsują, formując nowe, całkowicie niepowtarzalne kombinacje.

Patty skończyła rozmawiać.

–Udało mi się go złapać przed wyjściem ze Studia MGB. – Nie uściśliła kogo, a Chuck postanowił nie pytać. Prawdopodobnie jeszcze bardziej by go to zdeprymowało.

–Drinka? – Podeszła do kredensu, otworzyła szafkę z drewna i zaczęła mu proponować różne napoje.

–Co by pan powiedział na kieliszek Jońskiego Kłębiaka? Radzę koniecznie spróbować. Założę się, że w północnej Kalifornii się tego nie dostanie. – Zaczęła mieszać składniki drinka.

–Mogę pomóc. – Podeszedł do niej, czując się ważny i opiekuńczy, albo przynajmniej chcąc takim być.

–Nie trzeba. – Patty wręczyła mu szklankę. – Czy mogę pana o coś zapytać, zanim jeszcze zobaczę scenariusz? Czy moja rola jest obszerna?

–Hmm – odparł. Zrobił co mógł, ale fakt był faktem: była to tylko drugorzędna rólka. Dostały się jej okruchy ze stołu Bunny’ego.

–To znaczy, że jest mała – rzekła Patty, siadając na kanapie przypominającej ławkę. – Czy mogę ją zobaczyć? – Miała teraz do tego całkowicie zawodowy stosunek; była zupełnie spokojna.

Siadając naprzeciw, Chuck wręczył jej scenariusz. Zawierał on to, co wysłał wcześniej Bunny’emu i nową część, przede wszystkim jej rolę, której Bunny jeszcze nie widział. Być może postępował niewłaściwie, pokazując tekst Patty, zanim jeszcze przeczytał go Hentman, postanowił jednak to zrobić, bez względu na konsekwencje.

–Ta druga kobieta – rzekła krótko Patty, przekartkowanie scenariusza nie zajęło jej dużo czasu – żona, ta jędza, którą Ziggy chce zabić. Jej rola jest znacznie większa. Gra przez cały czas, podczas gdy ja jestem tylko w jednej scenie. W jego biurze, kiedy ona wychodzi... W dowództwie CIA. – Wskazała maszynopis.

To była prawda. Tylko tyle mógł działać, a Patty była zbyt doświadczona, by ją oszukać.

–Zrobiłem twoją rolę tak dużą, jak mogłem – powiedział szczerze.

–Jest prawie jak jedna z tych, w których dziewczyna ma tylko wyglądać seksy i nie wymaga się od niej żadnych umiejętności aktorskich. Nie chcę grać wydekolowanej panienki w obcisłej sukni, nie chcę być tylko ozdobą. Jestem aktorką i powinnam dostać jakąś poważniejszą rolę. – Oddała mu scenariusz. – Proszę, panie Rittersdorf, na miłość boską, niech pan coś z tym zrobi. Hentman jeszcze tego nie widział, prawda? To zostanie między nami, może razem coś wymyślimy. Co pan powie na tę scenę w restauracji? Ziggy spotyka się z tą dziewczyną, Sharon, w luksusowej małej knajpce na peryferiach i nagle pojawia się tam jego żona... Ziggy załatwi ją tam, a nie w ich mieszkadle i wtedy Sharon też mogłaby brać udział w głównym wątku.

–Hmm... – powiedział, sącząc napój. Była to dziwna słodka mikstura, trochę jak miód. Zaczął się zastanawiać, co zawiera. Siedząc naprzeciw niego, Patty dopiła już swojego drinka i wstała, by nalać sobie następnego.

Chuck także się podniósł i stanął obok niej. Jej małe ramię musnęło go przelotnie i poczuł dziwny zapach napoju, który przygotowała. Zauważył, że jeden ze składników nalała z wyraźnie nie-terrańskiej butelki. Język na etykiecie wyglądał na alfański.

–To z Alfy I – powiedziała Patty. – Dał mi to Bunny. On z kolei dostał go od jakichś znajomych stamtąd. Zna wszystkie stworzenia mieszkające we wszechświecie. Pan wie, że on mieszkał przez jakiś czas w Układzie Alfy? – Podniosła szklankę, odwróciła się do niego i stała, pociągając drinka w zamyśleniu. – Chciałabym odwiedzić kiedyś inny system planetarny. Czujesz się wtedy jak, no wiesz, nadczłowiek.

Chuck odstawił szklankę i położył ręce na jej drobnych, lecz silnych ramionach. Suknia zmarszczyła się.

–Mogę rozszerzyć twoją rolę – powiedział.

–W porządku – odrzekła Patty. Oparła się o niego i westchnęła, kładąc głowę na jego ramieniu. – To dla mnie bardzo ważne. – Jej włosy, długie i kasztanowe, musnęły jego twarz, łaskocząc w nos. Wyjął z jej rąk szklankę, napił się i odstawił na kredens.

Następne, z czego zdał sobie sprawę to to, że znaleźli się w jej sypialni. „To pewnie drinki w połączeniu z GB-40, który dał mi Lord Jak-Go-Tam-Zwą” – pomyślał. Sypialnia była prawie zupełnie ciemna, ale nad swoim prawym ramieniem widział zarys sylwetki Patty siedzącej na krawędzi łóżka i rozpinającej jakąś skomplikowaną część sukni. W końcu strój zsunął się z jej ramion i Patty powiesiła go ostrożnie w szafie. Wróciła, robiąc coś dziwnego ze swoim biustem. Chuck przyglądał się jej przez chwilę, a potem pojął, że masuje sobie piersi. Wcześniej krępowiła ją ciasna sukienka i teraz wreszcie mogła się rozluźnić. Jej piersi, jak zauważył, miały idealne wymiary, chociaż częściowo były syntetyczne. Gdy szła, sterczały sztywno. Lewa, podobnie jak poprzednio obnażona prawa, była imponująco jędrna.

Gdy Patty opadła na łóżko obok Chucka, zadzwonił wideofon.

–O, k... – powiedziała, zaskakując go. Wysunęła się z łóżka i stanęła, po omacku szukając szlafroka. Znalazła go i bosy wyszła z pokoju, zawiązując po drodze szarfę.

–Zaraz wrócę, kochanie – powiedziała trzeźwo. – Poczekaj tam.

Leżał, gapiąc się w sufit i wdychając zapach sypialni. Wydawało mu się, że upłynęło bardzo dużo czasu. Czuł się spokojny i szczęśliwy, jakby czekał na jakąś wielką, wspaniałą przyjemność.

A potem w drzwiach stanęła Patty Weaver, w szlafroku, z włosami opadającymi na ramiona. Czekał, ale nie podeszła do łóżka. Pojął od razu, że nie zamierza tego zrobić; nie wchodziła nawet głębiej do środka. Usiadł gwałtownie; uczucie leniwego rozluźnienia znikło zupełnie.

–Kto to był? – zapytał.

–Bunny.

–I co?

–Umowa jest nieważna.

Weszła do pokoju i wyjęła z szafy prostą spódnicę i bluzkę. Podniosła z podłogi bieliznę i wyszła, najwyraźniej chcąc się przebrać gdzie indziej.

–Dlaczego nieważna? – Wyskoczył z łóżka i zaczął się gorączkowo ubierać.

Patty zniknęła. Gdzieś w mieszkaniu rozległ się trzask zamykanych drzwi. Nie odpowiedziała na jego pytanie – najwyraźniej go nie usłyszała.

Gdy, już ubrany, usiadł na łóżku, wiążąc buty, wróciła. Stała w drzwiach, czesząc włosy, z twarzą pozbawioną wyrazu. Przyglądała się bez słowa, jak Chuck mocuje się ze sznurowadłem. Czuł, jakby była odległa o całe lata świetlne. Jej twarz była chłodna.

–Powiedz mi, dlaczego umowa jest nieważna – powtórzył. – Co dokładnie powiedział Bunny?

–Och, powiedział, że nie wykorzysta twojego scenariusza i gdybym do ciebie dzwoniła albo gdybyś ty zadzwonił... – Pierwszy raz jej oczy naprawdę spoczęły na nim, jakby go dopiero teraz zobaczyła. – Nie zdradziłam mu, że tu jesteś. Ale powiedział mi, że gdybym się z tobą widziała, mam ci powtórzyć, że rozważał twój pomysł i że on wcale nie jest dobry.

–Mój pomysł?

–Cały scenariusz. Przeczytał to, co mu przysłałeś, i uważa, że jest fatalny.

Chuck poczuł, że uszy mu płoną i zamarzają jednocześnie. Lodowaty ból ogarnął jego twarz, paraliżując usta i nos.

–Dark i Jones – powiedziała Patty – jego stali pisarze, przygotowują coś zupełnie innego.

Po długiej chwili Chuck odezwał się ochryłym głosem:

–Czy mam się z nim skontaktować?

–Nic nie mówił.

Patty skończyła się czesać i wyszła z sypialni. Chuck podniósł się i poszedł za nią do dużego pokoju. Stała przy wideofonie, wybierając numer.

–Do kogo dzwonisz? – zapytał.

–Do znajomego – odparła wymijająco. – Żeby zabrał mnie na obiad.

Głosem drżącym ze zdenerwowania Chuck zaproponował:

–Pozwól mi zaprosić cię na obiad. Będzie mi bardzo miło.

Dziewczyna nie zadała sobie nawet trudu, aby odpowiedzieć, dalej wykręcając numer.

Chuck podszedł do prekolumbijskiej kanapy, zebrał kartki scenariusza i włożył je z powrotem do koperty. W tym czasie Patty umawiała się na przyjęcie; słyszał jej niski, stłumiony głos.

–Do zobaczenia – powiedział. Włożył płaszcz i ruszył do drzwi.

Nawet nie spojrzała znad ekranu wideofonu, tak była zaabsorbowana rozmową.

Z desperacją zatrzasnął za sobą drzwi. Przebiegł wyłożonym dywanami hallem w kierunku windy. Dwukrotnie potknął się, myśląc: „Boże, ten napój ciągle na mnie działa. Może to wszystko jest halucynacją wywołaną zmieszanym GB-40 i tego, jak ona to nazywała... Ganimedejskiego Futrzaka, czy czegoś takiego”. Jego mózg był pusty, zimny i otępiały i jedyne, o czym mógł myśleć, to jak wydostać się z budynku, wydostać się z Santa Monica i wrócić do północnej Kalifornii, do swojego mieszkania.

Czy London miał rację? Chuck nie wiedział. Łudził się, że może Hentman go nie zwolnił. Może scenariusz, który wysłał Bunny’emu, był do niczego i to wszystko. Ale z drugiej strony... „Muszę się z nim skontaktować – pomyślał. – Natychmiast. Właściwie powinienem był zadzwonić do niego od Patty”.

Na parterze znalazł budkę wideofoniczną i zaczął wystukiwać numer organizacji Hentmana. Nagle z powrotem odłożył słuchawkę. „Czy chcę wiedzieć? – zapytał się w duchu. – Czy jestem na to przygotowany?”

Wyszedł z budki, zatrzymał się na chwilę, a potem minął główne drzwi budynku i znalazł się na ulicy. „Powinienem przynajmniej zaczekać, aż będę miał jaśniejszy umysł – pomyślał. – Dopóki nie przestanie działać ten napój, trunek spoza Terry, którym mnie poczęstowała Patty”.

Z rękami w kieszeniach zaczął iść bez celu, z każdą chwilą czując większe przerażenie i rozpacz. Wszystko wokół niego waliło się w gruzy, a on wydawał się bezradny wobec tego upadku. Był jedynie biernym świadkiem, całkowicie bezsilnym. Ten proces był zbyt potężny, by go pojąć.

W jego uchu nagrany na taśmę głos kobiety powtarzał:

–To wyniesie ćwierć skina. Proszę płacić gotówką. Żadnych czeków.

Mrugając, rozejrzał się dokoła i spostrzegł, że ponownie jest w budce wideofonicznej. Ale do kogo dzwonił? Do Bunny'ego Hentmana? Przetrzęsnał kieszenie, znalazł ćwierć skina i wsadził je w szczelinę w wideofonie. Obraz od razu się poprawił.

To nie był Bunny Hentman. Na miniaturowym ekranie widniała twarz Joan Trieste.

–Co się stało? – spytała zaniepokojona. – Chuck, wyglądasz strasznie. Czy jesteś chory? Co się stało?

–Jestem w Santa Monica – odparł. Przynajmniej wydawało mu się, że ciągle tam jest. Nie przypominał sobie, by wracał nad Zatokę. Nie sądził też, że upłynęło wiele czasu... a może? Spojrzał na zegarek. Minęły dwie godziny, była ósma.

–Sam nie mogę w to uwierzyć – rzekł – ale dzisiaj rano zostałem zawieszony w czynnościach przez CIA i teraz...

–Niezły numer – powiedziała Joan, słuchając uważnie.

–Najwyraźniej zostałem też wylany przez Bunny'ego Hentmana, ale nie jestem pewien. Szczerze mówiąc, boję się do niego zadzwonić.

Zapadła cisza, a potem Joan powiedziała spokojnie:

–Musisz do niego zadzwonić, Chuck. Albo ja to mogę zrobić. Powiem mu, że jestem twoją sekretarką czy coś takiego. Dam sobie radę, nie martw się. Podaj mi numer budki, w której jesteś. Ale jeżeli zrobisz to w Santa Monica, będę bezradna. Nie zdążę dotrzeć na czas.

–Dzięki – odparł. – Miło słyszeć, że kogoś to obchodzi.

**–Za dużo miałaś ostatnio problemów – powiedziała Joan z wrodzoną delikatnością.
– Rozpad małżeństwa, teraz...**

–Zadzwoń do niego – przerwał Chuck. – Tu jest numer. – Przytrzymał kartkę papieru przed ekranem, by Joan mogła zanotować.

Po odłożeniu słuchawki został w budce, zapalił papierosa i zaczął rozmyślać. Jego umysł zaczynał pracować jaśniej. Zastanawiał się, co robił między szóstą a ósmą. Nogi miał zeszywniałe i obolałe ze zmęczenia. Być może przez cały czas chodził bez celu ulicami Santa Monica.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kapsułki GB-40. Mimo braku wody udało mu się połknąć jedną. Pomyślał, że zmęczenie powinno ustąpić, ale było to działanie na krótką metę.

Nic nie mogło oddalić świadomości koszmaru, jakim stała się jego sytuacja. „Galaretniak – pomyślał – ten mógłby mi pomóc”.

W informacji Marin County otrzymał numer Lorda Runninga Clama. Od razu zamówił rozmowę, wrzucił monetę i czekał. Rozległ się dzwonek, ale ekran pozostał ciemny. Pojawił się na nim tekst:

Halo?

Dla galaretniaka, który nie potrafił mówić, łączność dźwiękowa była całkiem bezużyteczna.

–Mówi Chuck Rittersdorf.

Następne słowa:

Masz kłopoty; oczywiście nie mogę czytać w twoich myślach na taką odległość, ale wyczuwam to w twoim głosie.

–Czy współpracujesz z Hentmanem? – spytał Chuck.

Jak już cię informowałem wcześniej... Słowa, wąska linijka, kolejno pojawiały się na ekranie. Nie znam nawet tego człowieka.

–Wylał mnie – rzekł Chuck. – Chciałbym, abyś próbował go namówić, by przyjął mnie z powrotem.

Twoja praca w CIA...

–Zawiesili mnie. Z powodu moich powiązań z Hentmanem. Zna zbyt wielu nie-Terran – powiedział brutalnie Chuck.

Ach, tak. Twoja nerwowo chora agencja. Można się było tego spodziewać, ale nie wziąłem tego pod uwagę. Jednak ty powinieneś być. Pracujesz już dla nich wiele lat.

–Słuchaj – rzekł Chuck. – Nie zadzwoniłem, aby wdawać się w dyskusje, kto tu jest winien. Chcę pracy, jakiegokolwiek pracy. – „Muszę ją mieć dzisiaj – powiedział do siebie. – Nie mogę czekać”.

Muszę to przemyśleć. Nowe słowa na ekranie. Daj mi...

Chuck wściekły odłożył słuchawkę.

Ciągle stał w budce, paląc papierosa i zastanawiając się, co powie Joan, gdy zadzwoni. „A może nie zadzwoni w ogóle – pomyślał. – Szczególnie, jeżeli wieści będą złe. Co za chaos, co za...”

Zadzwonił wideofon. Podniósł słuchawkę i spytał:

–Joan?

Na ekranie pojawiła się jej twarz.

–Dzwoniłam pod numer, który mi dałeś, Chuck. Rozmawiałam z kimś z jego personelu, z panem Feldem. Panuje tam kompletny rozgardiasz. Powiedział mi tylko, żebym przejrzała wieczorną homeogazetę.

–W porządku – powiedział Chuck i zrobiło mu się jeszcze zimniej niż przedtem. – Dzięki. Zdobędę tu gdzieś gazetę z Los Angeles i może zobaczymy się później. – Przerwał połączenie, pospiesznie wyszedł z budki i zaczął szukać automatu z gazetami.

Zdobycie wieczornej homeogazety zajęło mu trochę czasu. Stanął przy oświetlonym oknie sklepowym, starając się odczytać tekst. Wiadomość była na pierwszej stronie. Nic dziwnego – Hentman był przecież czołowym komikiem telewizyjnym.

BUNNY HENTMAN, OSKARŻONY

PRZEZ CIA

O SZPIEGOSTWO NA RZECZ

NIE-TERRAN,

PO POTYCZCE LASEROWEJ UCIEKA

Chuck musiał dwukrotnie przeczytać artykuł. Nie wierzył własnym oczom. To się właśnie stało. CIA, korzystając z sieci komputerów zbierających dane, dowiedziała się, że organizacja Bunny'ego Hentmana zwolniła Chucka. Według nich dowodziło to ich tezy: Hentman interesował się Chuckiem tylko ze względu na „Operację Pięćdziesiąt Minut” na Alfie III M2. Wywnioskowali stąd, że Hentman był agentem Alfy, co zresztą od dawna podejrzewali. CIA natychmiast podjęła działania, bo gdyby zwlekali, informator Hentmana w ich biurze mógłby ostrzec go i dać mu czas na ucieczkę. Wszystko to było bardzo proste i jednocześnie straszne. Ręce Chucka trzęsły się, gdy podnosił gazetę do światła.

A jednak Hentman uciekł. Mimo błyskawicznej akcji CIA. Być może jego siatka była na tyle prężna, aby go ostrzec na czas. Spodziewał się najazdu brygady powietrznej CIA, która miała go schwytać, jak mówił artykuł, w studiach telewizyjnych w Nowym Jorku.

Więc gdzie był teraz Bunny Hentman? Prawdopodobnie w drodze do Układu Alfy. A gdzie był Chuck Rittersdorf? W drodze donikąd. Samotny, pozbawiony zadań, bez celu w życiu. Hentman mógł powiadomić gwiazdkę TV, Patty Weaver, że scenariusz jest do niczego, ale nie zadał sobie trudu, by...

Hentman zadzwonił wieczorem, już po nieudanej próbie aresztowania, więc Patty Weaver wiedziała, gdzie jest. A przynajmniej mogła wiedzieć. Pomyślał, że to było coś, na czym można by się oprzeć.

Szybko wezwał taksówkę i pojechał do wspaniałej mieszkalni Patty Weaver. Pobiegł do wejścia i nacisnął guzik jej mieszkadła na domofonie.

–Kto tam? – Jej głos był ciągle chłodny i bezosobowy.

–Tu Rittersdorf – odparł Chuck. – Zostawiłem część scenariusza w twoim mieszkadle.

–Nie widzę tu żadnych kartek. – Nie wydawała się przekonana.

–Jeśli mnie wpuścisz, znajdę je. To zajmie tylko kilka minut.

–W porządku. – Wysokie metalowe drzwi zgrzytnęły i otworzyły się.

Wjechał windą. Drzwi mieszkała Patty były otwarte i Chuck wszedł do środka. W dużym pokoju Patty powitała go z zimną obojętnością; stała z założonymi rękami i z kamienną twarzą wyglądała przez okno na nocną panoramę Los Angeles.

–Nie ma tu tego twojego cholernego scenariusza – oświadczyła. – Nie wiem, co...

–Ten telefon od Hentmana – powiedział Chuck. – Skąd on dzwonił?

Spojrzała na niego z uniesionymi brwiami.

–Nie pamiętam.

–Widziałaś dzisiejszą homeogazetę? Po długiej chwili wzruszyła ramionami.

–Może.

–Bunny dzwonił do ciebie po tym, jak CIA próbowało go aresztować. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

–Więc? – Nawet na niego nie spojrzała. Nigdy dotąd nikt go jeszcze tak wyraźnie nie ignorował. Ale wydawało mu się, że pod tą jej pewnością siebie krył się strach. W końcu była jeszcze bardzo młoda, miała zaledwie dwadzieścia lat. Zdecydował się z tego skorzystać.

–Panno Weaver, jestem agentem CIA. – Ciągle jeszcze miał identyfikator. Sięgnął do kieszeni i wydobyl go. – Jest pani aresztowana.

Jej oczy rozszerzyły się ze strachu. Zatoczyła się, tłumiąc okrzyk przerażenia. Oddychała tak gwałtownie, że gruby czerwony pulower podnosił się i opadał.

–Naprawdę jesteś agentem CIA? – zapytała zdławionym szeptem. – Myślałam, że jesteś scenarzystą telewizyjnym. Tak mówił Bunny.

–Przeniknęliśmy do organizacji Hentmana. Udawałem scenarzystę. Chodź. – Chwycił ją za ramię.

–Dokąd? – Szarpnęła się przerażona.

–Do biura CIA, gdzie zostaniesz spisana.

–Za co?!

–Wiesz, gdzie jest Bunny Hentman – rzekł.

Cisza.

–Nie wiem – powiedziała i przestała stawiać opór. – Naprawdę nie wiem. Gdy zadzwonił, nie wiedziałam, że był aresztowany, czy coś takiego. Nic o tym nie mówił. Dopiero kiedy poszłam na obiad po twoim wyjściu, zobaczyłam nagłówki gazet. – Z markotną miną ruszyła do sypialni. – Wezmę tylko płaszcz i torebkę. I chciałabym się trochę umalować. Ale mówię prawdę, uwierz mi.

Poszedł za nią. W sypialni zdjęła płaszcz z wieszaka i otworzyła szufladę, szukając torebki.

–Jak sądzisz, ile mnie będą trzymać? – zapytała, szperając w torebce.

–Och – odparł. – Nie więcej niż... – przerwał, bo Patty wymierzyła w niego pistolet laserowy.

–Nie wierzę, że jesteś agentem CIA – powiedziała.

–Ale to prawda – odrzekł.

–Wynoś się stąd. Nie wiem, co chcesz zrobić, ale Bunny dał mi to i powiedział, żebym użyła w razie potrzeby. – Jej ręka drżała, ale pistolet ciągle wymierzony był w niego. – Proszę, idź; wyjdź z mojego mieszkania. Jeżeli nie, zabiję cię. Mówię poważnie, zrobię to. – Wyglądała na straszliwie przerażoną.

Odwrócił się, wyszedł i wszedł do windy.

Chwilę później był już na dole i stał na chodniku. „Cóż, to by było na tyle” – pomyślał. Wprawdzie nie udało się, ale z drugiej strony, nic nie stracił... Nic oprócz godności. Z czasem ją odzyska. Teraz mógł już tylko wrócić do północnej Kalifornii.

Piętnaście minut później był w drodze do swojego ponurego mieszkania w Marin County. W sumie jego przeżycia w Los Angeles trudno było nazwać przyjemnymi.

Kiedy wrócił, w mieszkadle paliły się światła, a ogrzewanie było wyłączone. Na krześle, słuchając jednej z wczesnych symfonii Haydna, siedziała Joan Trieste. Na jego widok skoczyła na równe nogi.

–Dzięki Bogu – powiedziała. – Tak się o ciebie martwiłam. – Schyliła się i podniosła z podłogi wydanie „San Francisco Chronicle”. – Widziałeś już gazetę. Co w takim razie z tobą, Chuck? Czy to znaczy, że CIA szuka także ciebie? Jako pracownika Hentmana?

–Nie wiem – odparł, zamykając drzwi do mieszkania. Na tyle, na ile się zorientował, CIA jeszcze go nie szukało, ale warto się było nad tym zastanowić. Joan miała rację.

Chuck poszedł do kuchni i nastawił wodę na kawę. Żałował teraz, że nie ma autonomicznego ekspresu, który Mary zabrała razem z większością ich wspólnych rzeczy.

W drzwiach kuchni pojawiła się Joan.

–Chuck, myślę, że powinieneś zadzwonić do CIA i porozmawiać tam z kimś znajomym. Może z byłym szefem. Dobrze?

–Jesteś taka prawomyślna – rzekł gorzko. – Zawsze stosujesz się do poleceń władz, prawda? – Nie powiedział jej, że w chwili kryzysu, gdy wszystko na prawo i lewo waliło się w gruzy, jego pierwszym impulsem było szukanie pomocy u Hentmana, nie w CIA.

–Proszę cię – powiedziała Joan. – Rozmawiałam z Lordem Runningiem Clamem i on też tak uważa. Słuchałam wiadomości w radiu i mówili coś, że inni pracownicy Hentmana też zostali aresztowani...

–Zostaw mnie samego. – Wyciągnął słoik z kawą i trzęsącymi się rękami wsypał łyżeczkę do kubka.

–Jeżeli się z nimi nie skontaktujesz, nie będę mogła nic dla ciebie zrobić. Najlepiej więc będzie, jeżeli wyjdę.

–A co ty możesz dla mnie zrobić? – zapytał Chuck. – Co zrobiłaś dla mnie do tej pory? Założę się, że po raz pierwszy spotkałaś kogoś, kogo dwukrotnie w ciągu jednego dnia wylano z pracy.

–Więc co zamierzasz teraz zrobić?

–Myślę – odparł – że wyemigruję na Alfę. – „A ściślej – pomyślał – na Alfę III M2. Gdyby udało mi się odnaleźć Hentmana...”

–Więc CIA ma rację – rzekła Joan z błyskiem w oczach. – Organizacja Hentmana jest opłacana przez siły spoza Terry.

–Boże – powiedział Chuck z odrazą. – Ta wojna skończyła się wiele lat temu. Mam dość tych opowieści z gatunku płaszczka i szpady. Jeżeli chcesz wyemigrować, pozwól mi to zrobić.

–Powinnam cię aresztować – odparła Joan bez entuzjazmu.

–Jestem uzbrojona. – Pokazała mu nieprawdopodobnie maleńki, ale niewątpliwie prawdziwy rewolwer, który nosiła ze sobą. – Ale nie mogę tego zrobić. Żal mi ciebie. Jak mogłeś zrobić sobie z życia takie piekło? A Lord Running Clam tak bardzo starał się, byś...

–To jego możesz winić – powiedział Chuck.

–Chciał ci tylko pomóc. Wiedział, że nie przyjmujesz na siebie odpowiedzialności. – Jej oczy miały błyskawice. – Nic dziwnego, że Mary się z tobą rozwiodła.

Chuck jęknął.

–Nawet nie próbujesz? – mówiła Joan. – Poddałeś się, ty...

–Przerwała, gapiąc się na niego. Ona także odebrała myśli ganimedejskiego galaretniaka z naprzeciwka.

–Panie Rittersdorf, jakiś dżentelmen idzie korytarzem w kierunku pańskiego mieszkania. Jest uzbrojony i zamierza pana zmusić, by pan mu towarzyszył. Nie mogę powiedzieć, kto to jest i czego chce, ponieważ w jego puszcze mózgowej zainstalowano pewnego rodzaju siatkę, mającą chronić go przed telepatami. W takim razie jest albo wojskowym, albo członkiem agencji wywiadowczej lub służby bezpieczeństwa. Ewentualnie pracuje dla organizacji przestępczej. W każdym razie proszę się przygotować.

–Daj mi pistolet – powiedział Chuck do Joan.

–Nie. – Wyjęła go z kabury i wycelowwała w drzwi mieszkała. Jej twarz była jasna i świeża. Najwyraźniej całkowicie nad sobą panowała.

–Mój Boże – rzekł Chuck. – Zabije cię. – Wiedział to. Widział to tak jasno, jakby był prekognitą.

Błyskawicznie chwycił rurkę lasera i wyrwał jej z ręki. Pistolet upadł na podłogę i oboje z Joan rzucili się ku niemu, szukając po omacku. Wpadli na siebie i Joan, łapiąc oddech, zatoczyła się na ścianę w kuchni. Palce Chucka znalazły pistolet; wyprostował się, trzymając go przed sobą...

Nagle coś poraziło jego rękę i poczuł gorąco. Upuścił laser, który brzęknął cicho. W tej samej chwili w jego uszach zabrzmiał nie znany mu głos mężczyzny:

–Rittersdorf, zabiję dziewczynę, jeżeli będziesz próbował go podnieść. – Stojąc w pokoju, zamknął drzwi do mieszkała i przeszedł kilka kroków w kierunku kuchni. Jego laser był wymierzony w Joan.

Był to mężczyzna w średnim wieku, ubrany w tani szary płaszcz z krajowego materiału i dziwne, staromodne buty. Chuck miał wrażenie, że pochodzi z całkowicie obcego środowiska, może nawet z innej planety.

–Myślę, że on jest od Hentmana – powiedziała Joan, podnosząc się powoli. – Więc prawdopodobnie to zrobi. Ale jeśli myślisz, że uda ci się dostać do lasera zanim...

–Nie – natychmiast odpowiedział Chuck. – Oboje będziemy martwi. – Stał naprzeciwko mężczyzny. – Próbowałem się wcześniej skontaktować z Hentmanem.

–W porządku – odparł tamten i wskazał ręką drzwi. – Pani może tu zostać. Chcę tylko ciebie, Rittersdorf. Chodź, nie marnujmy czasu. Mamy przed sobą długą podróż.

–Możesz się spytać Patty Weaver – powiedział Chuck, gdy wychodzili do hallu. Za jego plecami mężczyzna chrząknął.

–Koniec tego gadania, Rittersdorf. Za dużo już było kręcenia.

–Na przykład? – Chuck zatrzymał się, czując, jak po plecach przechodzą mu ciarki.

–Na przykład twoje wstąpienie do organizacji jako szpieg CIA. Teraz już wiemy, po co potrzebna ci była praca scenarzysty telewizyjnego. Chciałeś zdobyć dowody przeciwko Bunny'emu. I jakie masz dowody? Widziałeś Alfańczyka; czy to zbrodnia?

–Nie – odparł Chuck.

–Do śmierci nie dadzą mu za to spokoju – rzekł mężczyzna z pistoletem. – Do diabła, od lat wiedzą, że Bunny mieszkał w Układzie Alfę. Wojna się skończyła. Oczywiście, że ma powiązania ekonomiczne z Alfą; który biznesmen ich nie ma? Ale on jest w kraju wielką figurą. Ludzie go znają. Powiem ci, co dostała CIA, gdy zdecydowała się go zgarnąć. To był pomysł z tym scenariuszem, gdzie symulakron CIA dokonuje morderstwa. Gliny wywnioskowały, że chce użyć swojego programu, by...

Przed nimi w korytarzu pojawił się duży żółty kopczyk – ganimedejski galaretniak – blokujący im drogę. Wyplął ze swojego mieszkadła.

–Przepuść nas – powiedział mężczyzna z pistoletem.

–Bardzo mi przykro – dotarły do Chucka myśli Lorda Runninga Clama – ale jestem przyjacielem pana Rittersdorfa i nie pozwolę, by pan go wyprowadził.

Świsnął laserowy promień. Czerwony i cienki przeleciał obok Chucka i zniknął w ciele galaretniaka. Z rozdzierającym hałasem galaretniak spłonął, wysechł na czarną,

inkrustowaną kroplę, która trzeszczała, wypalając podłogę korytarza.

–Ruszaj – powiedział mężczyzna do Chucka.

–On nie żyje – wykrztusił Chuck. Nie mógł w to uwierzyć.

–Jest ich jeszcze paru – rzekł mężczyzna. – Na Ganimedzie. – Na jego mięsistej twarzy nie było śladu emocji, jedynie czujność. – Kiedy wejdziemy do windy, przyciśnij guzik na górę. Mój statek stoi na dachu. Co za nędzne lądowisko.

Chuck, poruszając się jak automat, wszedł do windy. Mężczyzna z pistoletem podążył za nim i chwilę później byli na dachu; weszli w chłodną mglistą noc.

–Powiedz mi, jak się nazywasz – odezwał się Chuck. – Tylko tyle.

–Po co?

–Żeby cię mógł odszukać. Za zabicie Lorda Runninga Clama. – Był pewien, że kiedyś, prędzej czy później, ich drogi skrzyżują się znowu.

–Z przyjemnością się przedstawię – odparł mężczyzna, gdy wepchnął Chucka do zaparkowanego na dachu skoczka. Światła zablęskły, a turbina zaszumiała cicho. – Alf Cherigan – rzekł, gdy usiadł przy pulpicie sterowniczym.

Chuck kiwnął głową.

–Podoba ci się? Myślisz, że to ładne nazwisko?

Chuck bez słowa gapił się przed siebie.

–Przestałeś gadać – zauważył Cherigan. – To niedobrze, bo ty i ja będziemy zamknięci razem, dopóki nie dotrzemy do Luny, do Brahe City. – Sięgnął do włącznika automatycznego pilota.

Pod nimi skoczek drgał i podskakiwał, ale nie wznosił się.

–Zaczekaj tutaj – powiedział Cherigan i machnął laserem w kierunku Chucka. – Nie dotykaj żadnych przyrządów. – Otworzył właz skoczka i zirytowany wystawił głowę na zewnątrz, próbując w ciemności dostrzec, co zablokowało wznoszenie. – Do diabła! Zewnętrzny kanał tylnych... – Jego głos urwał się gwałtownie. Wskoczył z powrotem do wnętrza skoczka, a potem wypalił z lasera.

Z ciemności nad dachem odpowiedziała mu wystrzelona skądś wiązka laserowa, wpadająca przez otwarty właz. Cherigan upuścił broń i runął w konwulsjach na podłogę kabiny. Wygiął się jak zranione zwierzę, z obwisłymi wargami i nieprzytomnymi oczami.

Chuck schylił się, podniósł porzucony laser i wyrztał w ciemność. To była Joan. Poszła za nimi i wjechała na dach ręcznie obsługiwaną zapasową windą. Chuck wyszedł chwiejnie ze skoczka i pomachał do niej ręką. Cherigan popełnił błąd. Nie powiedziano mu, że Joan jest uzbrojoną policjantką, nie tracącą głowy w trudnych sytuacjach. Nawet Chuckowi trudno było pojąć to, co stało się tak szybko. Najpierw strzeliła w system naprowadzający skoczka, a potem zabiła Alfa Cherigana.

–Wysiadasz? – spytała Joan. – Mam nadzieję, że nic ci nie zrobiłam.

–Nic mi nie jest – odparł Chuck.

–Słuchaj – podeszła do wjazdu skoczka, przyglądając się skurczonemu czerwonemu kształtowi, który kiedyś był Alfem Cheriganem. – Mogę go sprowadzić z powrotem. Pamiętasz? Chcesz, żebym to zrobiła, Chuck?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem przypomniał sobie Lorda Runninga Clama. Potrząsnął przecząco głową.

–Decyzja należy do ciebie – rzekła Joan. – Ja bym go zostawiła martwego. Nie lubię tego, ale rozumiem.

–Co z Lordem...?

–Chuck, dla niego nie mogę nic zrobić. Jest już za późno. Minęło więcej niż pięć minut. Mogłam zostać tam z nim albo przyjść z pomocą tobie.

–Myślę, że byłoby lepiej, gdybyś...

–Nie – przerwała stanowczo. – Postąpiłam właściwie, zaraz zobaczysz dlaczego. Czy masz szkło powiększające?

–Nie, oczywiście, że nie – odparł zaskoczony.

–Zobacz w skrzynce z narzędziami w skoczku, w szafce pod pulpitem sterowniczym. Są tam mikronarzędzia do naprawy zminiaturyzowanych części obwodów statku. Znajdziesz tam lupę.

Posłusznie otworzył szafkę i zaczął w niej szperać. Chwilę później jego palce wyczuły jubilerską lupę. Wziął ją i wyszedł ze skoczka.

–Wracamy na dół – powiedziała Joan. – Do Lorda Runninga Clama.

Na miejscu oboje pochylili się nad kupką popiołu, która wcześniej była ich przyjacielem, ganimedejskim galaretniakiem.

–Patrz przez lupę – poleciła Joan – i szukaj dokoła. Bardzo blisko, szczególnie pod

spodem, między włóknami dywanu.

–Po co?

–Jego zarodki – wyjaśniła.

–Czy miał szansę, by...? – spytał zaskoczony.

–Ich sporyfikacja jest automatyczna; następuje w momencie, gdy zostaną zaatakowane. Mam nadzieję, że zadziałała natychmiastowo. Będą mikroskopijne, brązowe i okrągłe. Z lupą powinieneś łatwo je znaleźć, gołym okiem to oczywiście niemożliwe. Kiedy będziesz ich szukał, ja przygotuję kulturę. – Zniknęła w mieszkadle Chucka.

Zawahał się, a potem ukląkł i na kolanach zaczął przeszukiwać dywan. Kiedy wróciła Joan, w zagłębieniu dłoni miał siedem drobnych kulek. Widziane pod lupą były gładkie, brązowe i połyskujące. Z całą pewnością zarodki. Znalazł je tuż obok miejsca, w którym leżały szczątki galaretniaka.

–Potrzebuję ziemi – powiedziała Joan, przyglądając się, jak wsypuje zarodki do menzurki, którą znalazła w kuchni. – I wilgoci. I czasu. Musisz znaleźć co najmniej dwadzieścia, bo nie wszystkie przeżyją.

W końcu na brudnym, mocno zużytym dywanie udało mu się znaleźć dwadzieścia pięć zarodków. Wsadził je do menzurki, a potem razem z Joan zjechali na najniższy poziom budynku i wyszli do ogrodu. W ciemności wygrzebali kilka garści ziemi i umieścili spulchnioną czarną glebę w naczyniu. Joan zrosiła ją kropelkami wody i uszczelniła pojemnik folią.

–Na Ganimedzie – wyjaśniła – atmosfera jest ciepła i gęsta. To najlepsze, co mogę zrobić, by stworzyć właściwe warunki dla zarodków. Myślę, że się uda. Lord Running Clam mówił mi kiedyś, że w krytycznej sytuacji Ganimedejczycy potrafią skutecznie sporyfikować nawet na wolnym powietrzu Terry. Więc miejmy nadzieję...

Wrócili razem z Chuckiem do budynku, niosąc ostrożnie naczynia.

–Jak długo to potrwa? – zapytał. – Kiedy będziemy wiedzieli?

–Nie jestem pewna. Od dwóch dni do miesiąca. Różnie bywa w zależności od fazy księżyca. Może to zabrzmieć jak przesąd, ale księżyc wpływa na aktywność zarodków – wyjaśniła. – Więc musimy to brać pod uwagę. Im pełniejszy księżyc, tym lepiej. Możemy to sprawdzić w dzisiejszej homeogazecie.

Wjechali na poziom, na którym znajdowało się jego mieszkadło.

–Jak obszerną pamięć będzie posiadał nowy... – zawahał się – nowe pokolenie galaretniaków? Czy będzie pamiętać nas i to co się tu działo?

–To zależy, jak szybko udało mu się zareagować – odparła Joan, przeglądając homeogazetę. – Jeżeli wydzielił zarodki ze swego... – Zamknęła gazetę. – Zarodki powinny rozwinąć się w ciągu najbliższych dni.

–A co by się stało – zapytał Chuck – gdybym wywiózł je z Terry? Z dala od wpływu księżycy?

–Nadal by rosły, ale mogłoby to trwać dłużej. Co ci przyszło do głowy?

–Jeśli organizacja Hentmana wysłała kogoś po mnie – rzekł Chuck – i coś mu się stało...

–Ach, tak, oczywiście – zgodziła się Joan. – Wyślą następnego. Być może w ciągu kilku godzin, jak tylko zorientują się, że załatwiliśmy pierwszego. On mógł mieć zainstalowany kardiobrzęczyk, więc otrzymali informację natychmiast po ustaniu akcji serca. Myślę, że masz rację, Chuck. Powinieneś opuścić Terrę najszybciej, jak to możliwe. Ale jak? Aby całkowicie zniknąć, musiałbyś mieć środki, pieniądze, a nie masz tego. Nie masz obecnie żadnego źródła dochodów. Czy masz jakieś oszczędności?

–Mary przejęła nasze wspólne konto – odparł zamyślony. Usiadł i zapalił papierosa. – Mam pomysł – odezwał się w końcu. – Ale wolałbym, żebyś go nie słyszała. Rozumiesz? Czy mówię jak ktoś chory psychicznie i wystraszony?

–Mówisz po prostu jak ktoś niespokojny. I masz ku temu powody. – Podniosła się. – Wychodzę na korytarz. Wiem, że chcesz zadzwonić. W tym czasie skontaktuję się z Departamentem Policji w Ross, żeby przyjechali tu i zabrali tego mężczyznę ze skoczka. – Przy drzwiach zawahała się. – Chuck, jestem szczęśliwa, że udało mi się powstrzymać ich od zabrania ciebie. Ledwo mi się to udało. Dokąd miał lecieć skoczek?

–Wolałbym ci nie mówić. Dla twojego bezpieczeństwa.

Kiwnęła głową i drzwi się za nią zamknęły. Został sam.

Natychmiast zamówił rozmowę z biurem CIA w San Francisco. Zajęło to trochę czasu, ale w końcu udało mu się odszukać swego byłego szefa, Jacka Elwooda. Był w domu, z rodziną, i wideofon go zirytował. Nie był też zadowolony, gdy zobaczył, z kim rozmawia.

–Zróbmy interes – powiedział Chuck.

–Interes? Sądzimy, że bezpośrednio czy pośrednio ostrzegłeś Hentmana tak, że udało mu się uciec. Czy nie tak było? Wiemy nawet, kto był twoim łącznikiem: ta gwiazdka z Santa Monica, obecna kochanka Hentmana. – Elwood patrzył na niego wilkiem.

To było coś nowego. Chuckowi nie przyszło to wcześniej do głowy. Teraz jednak nie miało to żadnego znaczenia.

–Interes – powiedział – który chcę z tobą zrobić, oficjalnie z CIA, jest taki: wiem, gdzie jest Hentman.

–Nie dziwi mnie to. Dziwi mnie tylko, że chcesz nam to powiedzieć. Dlaczego, Chuck? Czyżby jednak sprzeczka w szczęśliwej trzódce Hentmana?

–Organizacja Hentmana wysłała już jednego oprycha – odparł. – Udało nam się go zatrzymać, ale po nim przyjdzie następny i jeszcze następny. Dopóki Hentman mnie nie dostanie. – Nie chciało mu się wyjaśniać Elwoodowi zawłości sytuacji. Jego były szef nie uwierzyłby mu. – Powiem ci, gdzie ukrywa się Hentman w zamian za statek C-plus z CIA. Międzyukładowy statek, jeden z tych małych militarnych pojazdów pościgowych. Wiem, że masz ich kilka. Możesz poświęcić jeden, a dostaniesz za to coś o wielkiej wartości. I może zwrócę statek – dodał. – Na razie jednak go potrzebuję.

–Mówisz tak, jakbyś próbował zwać – powiedział ostro Elwood.

–Bo tak jest.

–W porządku. – Elwood wzruszył ramionami. – Wierzę ci, dlaczego nie? I co z tego? Powiedz mi, gdzie jest Hentman, a w ciągu pięciu godzin będziesz miał statek.

„Innymi słowy – pomyślał Chuck – odłożą dostawę, dopóki nie sprawdzą mojej informacji. Jeżeli nie znajdą Hentmana, nie będzie statku. Będę czekał na próżno”. Ale trudno było spodziewać się czegoś innego od pracownika CIA. Taki mieli zawód, życie było dla nich wielką partią pokera.

–Hentman jest na Lunie, w Brahe City – powiedział z rezygnacją.

–Czekaj w swoim mieszkadle – odparł natychmiast Elwood. – Statek będzie tam przed drugą nad ranem. Jeżeli... – przyjrzał się Chuckowi.

Chuck przerwał połączenie i podniósł wypalonego papierosa z krawędzi stolika. „Cóż, jeżeli statek się nie pokaże, to będzie koniec” – pomyślał. Nie miał żadnego innego planu, żadnego alternatywnego rozwiązania. Joan Trieste mogłaby go jeszcze uratować, mogłaby nawet przywrócić mu życie, gdyby wysłannik Hentmana zabił go... Ale jeżeli zostanie na tej planecie, w końcu go znajdą i zniszczą. Usługi

detektywistyczne były na wysokim poziomie. Po pewnym czasie zawsze odnajdywały cel, jeżeli tylko nie opuścił on Terry. Ale Luna, w przeciwieństwie do Terry, dysponowała niezbędnymi przestrzeniami. Tam wyśledzenie kogoś stanowiło duży problem. A istniały też odosobnione księżycy i planety, gdzie było to wręcz niemożliwe.

Jednym z takich miejsc był Układ Alfa. Na przykład Alfa III i jej kilka księżyców, między innymi M2. Szczególnie M2. A dzięki szybszemu od światła statkowi CIA mógłby się tam dostać w ciągu kilku dni, tak jak to zrobiła Mary i jej grupa.

Otwierając drzwi na korytarz, powiedział do Joan:

–W porządku, zadzwoniłem już. To tyle.

–Opuszczasz Terrę. – Jej oczy były wielkie i ciemne.

–Zobaczymy. – Usiadł, przygotowując się na długie oczekiwanie.

Joan ostrożnie postawiła menzurkę z zarodkami Lorda Runninga Clama na oparciu kanapy obok Chucka.

–Daję ci je – powiedziała. – Wiem, że chcesz. To z twojego powodu oddał życie i powinieneś być za niego odpowiedzialny. Lepiej powiem ci, co zrobić, gdy zarodki staną się aktywne.

Wyciągnął kartkę i długopis, by zanotować jej wskazówki.

Kilka godzin później, gdy przedstawiciele Departamentu Policji w Ross pojawili się i wynieśli zwłoki mężczyzny z dachu, a Joan Trieste wyszła, w pełni zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Teraz Bunny Hentman miał rację: zdradził go dla CIA. Ale zrobił to, by ratować swoje życie. Wcale go to jednak nie usprawiedliwiało w oczach Hentmana. On także próbował ratować swoje życie.

W każdym razie stało się. Teraz samotnie ciągle czekał na statek C-plus z CIA. Statek, który najprawdopodobniej nigdy nie miał nadlecieć. „I co dalej? Dalej – zdecydował – będę tu siedział i czekał na coś innego, na następnego wysłannika z organizacji Hentmana. A moje życie będzie funta kłaków warte”.

Czekanie było straszliwym piekłem.

Lekko schylając głowę, Gabriel Baines powiedział:

–Ustanawiamy, że to zgromadzenie *sine qua non* posiada na tym świecie absolutną władzę, która nie może zostać przez nikogo unieważniona.

Ze sztywną, chłodną uprzejmością podsunął krzesło terrańskiemu psychologowi, doktor Mary Rittersdorf. Uśmiechnęła się. Wydawało mu się, że wygląda na zmęczoną. Jej uśmiech wyrażał prawdziwą wdzięczność.

Inni członkowie zgromadzenia przedstawili się w charakterystyczny dla każdego z nich sposób.

–Howard Straw. Mans.

–J-Jacob Simion. – Simion nie mógł powstrzymać cisnącego się na usta kretańskiego uśmiechu. – Przedstawiciel Hebów, wśród których wylądowaliście.

–Annette Golding. Poly. – Jej oczy były czujne, siedziała sztywno wyprostowana, nie spuszczać oczu z kobiety psychologa, która wpychała się w ich życie.

–Ingrid Hibbler. Raz, dwa, trzy. Ob-Com.

–A to by był... – zastanowiła się doktor Rittersdorf. – Ach, tak, oczywiście. Typ obsesyjno-kompulsywny.

–Omar Diamond. Pozwolę pani zgadnąć, z jakiego jestem klanu.

Diamond rozejrzał się po sali niewidzącym wzrokiem; wydawał się pogrążony w swoim własnym świecie, co zirykowało Gabriela Bainesa. To nie był czas na indywidualną, nawet mistyczną działalność. Był to moment, w którym musieli funkcjonować jako całość albo w ogóle.

Dep przemówił głuchym i rozpaczliwym głosem:

–Dino Watters. – Walczył ze sobą, chcąc powiedzieć coś więcej, jednak poddał się. Ciężar pesymizmu, absolutnej beznadziejności, był dla niego zbyt wielki. Usiadł, gapiąc się w podłogę i pocierając czoło żalonym ruchem podobnym do tiku.

–Wie pani już, kim ja jestem, pani Rittersdorf – powiedział Baines i zaszeleścił leżącym przed nim dokumentem, będącym efektem zbiorowego wysiłku członków zgromadzenia; ich manifestem. – Dziękujemy pani za przybycie tutaj. – Odchrząknął. Jego głos ochrypl z emocji.

–Dziękuję za zaproszenie mnie – powiedziała doktor Rittersdorf formalnym tonem, ale dla Bainesa zabrzmiał on złowroźnie. Jej oczy były ciemne.

–Poprosiła pani o pozwolenie odwiedzenia innych kolonii. Szczególnie domagała się pani zezwolenia na zbadanie Da Vinci Heights. Przedyskutowaliśmy to i zdecydowaliśmy się odmówić.

–Rozumiem – rzekła doktor Rittersdorf, kiwając głową.

–Powiedz jej dlaczego – odezwał się Howard Straw. Jego twarz wyglądała obrzydliwie, nie spuszczał oczu z kobiety z Terry. Jego nienawiść do niej wypełniała pokój i zatruchiwała atmosferę. Gabriel Baines czuł, jak dławi go to uczucie.

Podnosząc głowę, doktor Rittersdorf powiedziała:

–Zaczekajcie jeszcze chwilę, zanim przeczytacie mi wasze oświadczenie. – Przyglądała się kolejno każdemu z nich spokojnym, ostrym i całkowicie zawodowym wzrokiem. Howard Straw odwzajemnił jej się zjadliwym spojrzeniem. Jacob Simion spuścił głowę, uśmiechnął się głupio i po prostu poczekał, aż przestanie się nim interesować. Annette Golding nerwowo skubała skórkę na kciuku; jej twarz była blada. Dep nawet nie zauważył, że jest obserwowany – głowę miał cały czas spuszczoną. Skitz, Omar Diamond, odwzajemnił spojrzenie doktor Rittersdorf z uprzejmą wyższością, pod którą, pomyślał Baines, krył się niepokój. Diamond wyglądał tak, jakby miał za chwilę czmychnąć.

Baines uważał doktor Mary Rittersdorf za osobę fizycznie pociągającą i zastanawiał się, czy fakt, że przybyła bez swojego męża, coś znaczył. Rzeczywiście, była seksy. Do tego ubrana z niewytłumaczalną niestosownością, biorąc pod uwagę cel ich spotkania – miała na sobie czarny sweter i spódnicę, była bez rajstop, a chodziła w pozłacanych pantoflach z noskami wywiniętymi jak nakazywała moda elfów. Sweter, zauważył, był troszeczkę za ciasny. „Czy pani Rittersdorf celowo to zrobiła?” Nie mógł odpowiedzieć sobie na to pytanie, lecz jego uwagę bardziej zaprzętały wyraźnie rysujące się pod bluzką piersi niż to, co mówiła. Podobał mu się ich kształt, chociaż były małe.

„Ciekawe – pomyślał – czy ta kobieta, około trzydziestki, dojrzała, w pełni sił fizycznych, szuka tutaj czegoś więcej niż tylko zawodowego sukcesu”. Miał wyraźne przeczucie, że doktor Rittersdorf kieruje się zarówno względami osobistymi, jak i profesjonalnymi, mimo że nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. „Ciało – myślał – zdąża do swoich własnych celów, czasami zupełnie odmiennych od tych, ku którym kieruje się umysł. Dzisiejszego ranka doktor Rittersdorf pewnie po prostu pomyślała, że chciałaby założyć ciasny czarny sweter, więcej już nie zaprzętając sobie tym głowy. Ale ciało, z jego dobrze wykształconym wewnętrznym aparatem ginekologicznym, wiedziało lepiej”.

A na to zareagował analogiczny element jego, Bainesa, organizmu. W tym jednak przypadku była to świadoma reakcja. „I – pomyślał – być może przyniesie to korzyści naszej grupie. Wzajemna sympatia nam nie zaszkodzi, a naszym przeciwnikom z pewnością tak”. Gdy zdał sobie z tego sprawę, poczuł, jak obiera pozycję świadomej defensywy. W jego głowie automatycznie pojawiły się liczne plany uratowania nie tylko siebie, ale i swoich przyjaciół.

–Doktor Rittersdorf – powiedział łagodnie. – Zanim pozwolimy pani wejść do naszych osad, delegacja reprezentująca klany dokona inspekcji waszego statku, by sprawdzić, jaką broń, jeżeli w ogóle ją macie, przywieźliście ze sobą. Cała reszta nie zasługuje nawet na nasze pobieżne zainteresowanie.

–Nie jesteśmy uzbrojeni – odparła doktor Rittersdorf.

–Niemniej jednak proponowałbym, aby zezwoliła pani mnie i może jeszcze jednej osobie towarzyszyć sobie. Mamy tutaj proklamacje – zaszeleścił manifestem – która wzywa was do opuszczenia Gandhitown w ciągu czterdziestu ośmiu terrańskich godzin. Jeżeli się do tego nie zastosujecie... – Spojrzał na Strawa, który kiwnął głową. – Podejmiemy działania zbrojne przeciwko wam, uznając was za najeźdźców.

Doktor Rittersdorf odezwała się niskim, modulowanym głosem:

–Pojmuję wasze rozumowanie. Długi czas żyliście tu w izolacji. Ale... – mówiła bezpośrednio do Gabriela. – Przykro mi, ale muszę zwrócić waszą uwagę na fakt, który może nie wyda wam się przyjemny. Wszyscy, indywidualnie i zbiorowo, jesteście chorzy psychicznie.

Zapadła przedłużająca się, pełna napięcia cisza.

–Do diabła – rzucił w przestrzeń Straw. – Dawno temu wysadziliśmy to miejsce w powietrze. Ten tak zwany „szpital”, który był właściwie obozem koncentracyjnym. – Jego usta wykrzywiły się. – Mieliście stamtąd bezpłatnych niewolników.

–Przykro mi to mówić – rzekła doktor Rittersdorf – ale nie macie racji. To był szpital i musicie o tym pamiętać we wszystkich waszych planach. Nie zamierzam was oszukiwać. Mówię szczerą, prostą prawdę.

–*Quid est veritas?* – zamruczał Baines.

–Słucham? – zapytała.

–Czym jest prawda? – odparł Gabriel. – Czy nie dotarło do pani, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat mogliśmy wyrosnąć z naszych poprzednich problemów grupowej adaptacji i stać się... – machnął ręką. – Przystosowani? Może pani używać dowolnego określenia... W każdym razie, zdolni do właściwych relacji

interpersonalnych, takich, jakich jest pani świadkiem w tym pomieszczeniu. Jeżeli potrafimy pracować razem, z pewnością nie jesteśmy chorzy. Nie ma żadnego innego testu z wyjątkiem grupowej współpracy. – Usiadł, zadowolony z siebie.

–Trzeba przyznać, że jesteście zjednoczeni przeciwko wspólnemu wrogowi... przeciwko nam – powiedziała ostrożnie doktor Rittersdorf. – Ale... założę się, że przed naszym przybyciem i później, jak stąd wyjedziemy, rozpadniecie się na odrębne jednostki, nieufne i obawiające się siebie nawzajem. Niezdolne do współpracy. – Uśmiechnęła się rozbijając, ale uśmiech był zbyt przebiegły, by mogli się nabrać. Za bardzo podkreślał jej sprytną wypowiedź.

Ponieważ oczywiście miała rację. Dotarła do sedna sprawy – zwykle nie funkcjonowali jako grupa. Chociaż nie. Przynajmniej częściowo się myliła. Błędnie przypuszczała, prawdopodobnie chcąc jakoś usprawiedliwić swoje poczynania, że źródło strachu i wrogości leżało wewnątrz zgromadzenia. W rzeczywistości była nim Terra. Lądowanie ich statku było *de facto* aktem wrogości... gdyby tak nie było, poprosiliby o pozwolenie lądowania. Terranie więc pierwsi okazali brak zaufania i byli odpowiedzialni za obecną wzajemną podejrzliwość. Gdyby chcieli, mogli tego uniknąć.

–Doktor Rittersdorf – powiedział bez ogródek. – Handlarze z Alfy kontaktują się z nami i zawsze proszą o pozwolenie na lądowanie. Wy tego nie zrobiliście. W interesach z nimi też nie mamy żadnych problemów. Handel odbywa się na uregulowanych, stałych prawach.

Oczywiście rękawica została rzucona z dobrym efektem. Kobieta zawahała się; nie znalazła odpowiedzi. Kiedy się zamyśliła, w pokoju rozległ się szmer rozbawienia, wzgardy i, jak w przypadku Strawa, bezlitosnej złości.

–Uznaliśmy – odparła w końcu – że gdybyśmy formalnie poprosili o pozwolenie na lądowanie, odmówilibyście.

–Ale nie próbowaliście nawet tego zrobić – rzekł Baines, uśmiechając się z całkowitym spokojem. – „Uznaliście”. A teraz nigdy się o tym nie przekonacie, ponieważ...

–Dalibyście nam pozwolenie? – Jej głos był twardy i władczy. Baines zamrugął, bezwiednie milknąc. – Nie, nie zrobilibyście tego – ciągnęła. – I wszyscy o tym wiecie. Proszę, bądźcie realistami.

–Jeżeli pokażecie się w Da Vinci Heights – odezwał się Howard Straw – zabijemy was. Zabijemy was, jeżeli nie wyjedziecie stąd. A następny statek, który spróbuje tu wylądować, nigdy nie dotknie ziemi. To jest nasz świat i zamierzamy go utrzymać, dopóki żyjemy. Pan Baines może wyliczyć szczegóły naszego zniewolenia. To

wszystko jest zawarte w manifeście, który on i ja, z pomocą innych w tym pokoju, przygotowaliśmy. Proszę przeczytać manifest, panie Baines.

–Dwadzieścia pięć lat temu – zaczął Gabriel Baines – na tej planecie została założona kolonia...

Doktor Rittersdorf westchnęła.

–Nasza wiedza na temat poznanych odmian waszych chorób umysłowych...

–„Posranych”? – przerwał jej brutalnie Howard Straw. – Powiedziała pani „posranych”? – Prawie zerwał się z krzesła; jego twarz wykrzywiona była wściekłością.

–Powiedziałam „poznanych” – odparła cierpliwie doktor Rittersdorf. – Wiemy, że centrum waszej działalności militarnej mieści się w siedzibie Mansów. Innymi słowy, w osadzie grupy maniakalnej. Za cztery godziny zwiniemy obóz i opuścimy siedzibę hebefreników, Gandhitown. Wylądujemy w Da Vinci Heights i jeżeli dojdzie do walki, sprowadzimy jednostki liniowe sił militarnych Terry, które stacjonują mniej więcej pół godziny drogi stąd.

W pokoju znowu zapadła długa, pełna napięcia cisza.

W końcu ledwie dosłyszalnym głosem odezwała się Annette Golding:

–Jednak przeczytaj nasz manifest, Gabrielu.

Kiwnął głową i zaczął czytać, ale głos mu drżał. Annette Golding wybuchnęła żalnym płaczem, przerywając mu.

–Widzisz, co nas czeka? Znowu chcą z nas zrobić pacjentów szpitala. To już koniec.

–Zapewnimy wam kurację – powiedziała niechętnie doktor Rittersdorf. – Sprawi ona, że będziecie się czuli bardziej, cóż... bardziej swobodni wobec siebie. Bardziej sobą. Życie stanie się przyjemniejsze, bardziej naturalne, bo teraz jesteście wszyscy gnębieni lękami i napięciem.

–Tak – zamruczał Jacob Simion – lękami, że Terra wkroczy tutaj i zwiąże nas znowu jak zwierzęta.

„Cztery godziny – pomyślał Gabriel Baines. – Niewiele czasu”. Drżącym głosem podjął czytanie zbiorowego manifestu. Wydawało mu się to pustym gestem. „Bo przecież nie ma już nic – pomyślał – co mogłoby nas uratować”.

Po zakończeniu spotkania i wyjściu doktor Rittersdorf, Gabriel Baines wyłożył swój

plan przyjaciółom.

–Co zrobisz? – zapytał Howard Straw z pogardliwym szyderstwem w głosie. – Mówisz, że ją uwiedziesz? Mój Boże, może ona ma rację. Może rzeczywiście powinniśmy być w szpitalu neuropsychiatrycznym. – Usiadł z powrotem i sapał ponuro. Jego odraza była zbyt wielka; nie mógł nawet obrzucać Gabriela obelgami. Zostawił to reszcie obecnych w pokoju.

–Powinieneś więcej myśleć o sobie – powiedziała Annette Golding.

–Potrzebuję – rzekł Gabriel Baines – kogoś ze zdolnościami telepatycznymi, by powiedział mi, czy mam rację. – Odwrócił się do Jacoba Simiona. – Czy ten święty Hebów, ten Ignatz Ledebur, ma taki dar? Jest takim psi, majstrem od wszystkiego.

–Chyba nic z tych rzeczy – odparł Simion. – Ale mógłbyś, tylko mógłbyś, spróbować z Sarah Apostoles. – Mrugnął do Gabriela, kiwając głową z uciechy.

–Zadzwońię do Gandhitown – powiedział Baines, podnosząc słuchawkę.

–Linia telefoniczna w Gandhitown jest znowu uszkodzona. Od sześciu dni – rzekł Simion. – Musiałbyś tam pójść.

–Tak czy inaczej będziesz musiał tam pójść – odezwał się Dino Watters, otrząsając się ze swej nie kończącej się depresji. On jeden wydawał się przekonany, co do słuszności planu Bainesa. – W końcu ona tam jest, w Gandhitown, dokąd trafia wszystko i gdzie każdy ma dzieci z każdym. Ją też mogło już to ogarnąć.

Z aprobującym chrząknięciem odezwał się Howard Straw:

–Masz szczęście, Gabe, że jest między Hebami. Dzięki temu może będzie bardziej podatna.

–Jeżeli to jedyny sposób, który nam odpowiada – rzekła sztywno panna Hibbler – to myślę, że zasługujemy na potępienie. Naprawdę tak uważam.

–Wszechświat – przemówił Omar Diamond – posiada rozliczne sposoby, dzięki którym się urzeczywistnia. Nawet taka pozornie głupia możliwość nie może być zlekceważona. – Kiwnął głową uroczyście.

Bez słowa, nie żegnając się nawet z Annette, Gabriel Baines wielkimi krokami wyszedł z gabinetu zgromadzenia i zszedł szerokimi kamiennymi schodami na parking przed budynkiem. Wsiadł na pokład swego auta turbinowego i z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę pomknął do Gandhitown. „Dotrę tam przed upływem tych czterech godzin – obliczał – jeżeli oczywiście nic nie spadnie mi na drogę i nie zablokuje jej. Doktor Rittersdorf wróciła do Gandhitown szalupą

rakietową, więc pewnie już jest na miejscu”. Przeklinał archaiczny środek transportu, na którym, chcąc nie chcąc, musiał polegać, bo tak już u nich było. Taki był ich świat i rzeczywistość, o którą walczyli. Jako satelita Terry z pewnością otrzymaliby nowoczesne urządzenia transportowe, ale nie zrekompensowałyby to poniesionych wówczas strat. Lepiej już podróżować z prędkością siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę i być wolnym. „E... tam – pomyślał – slogan”. Było to trochę denerwujące, biorąc pod uwagę ważność jego misji... Mniejsza o to, czy zatwierdzonej przez zgromadzenie, czy nie.

Cztery godziny i dwadzieścia minut później, fizycznie zmęczony podróżą, ale psychicznie czujny i pełen otuchy, dotarł do zaśmieconych peryferiów Gandhitown. Poczł smród osady – słodkawy zapach zgnilizny zmieszany z gryzącym swądem nielicznych małych ognisk.

W drodze wpadł na nowy pomysł i w ostatnim momencie skręcił nie do chaty Sarah Apostoles, ale do świętego Hebów, Ignatza Ledebura.

Znalazł go na podwórzu dłubiącego przy przedpotopowym, zardzewiałym generatorze benzynowym. Otoczony był swymi dziećmi i kotami.

–Widziałem twój plan – odezwał się, ruchem ręki ucinając wyjaśnienia Bainesa. – Przed chwilą nakreślony był krwią na horyzoncie.

–Więc wiesz, czego chcę od ciebie.

–Tak. – Ledebur kiwnął głową. – W przeszłości stosowałem to z powodzeniem z wieloma kobietami. – Odłożył na bok młotek, który trzymał w ręku, i ruszył w kierunku chaty. Podążyły za nim koty, a na końcu Gabriel Baines.

–Twój plan jest jeszcze w stadium zarodkowym – powiedział Ledebur z dezaprobatą i zachichotał.

–Czy możesz czytać przyszłość? Możesz powiedzieć, czy mi się uda?

–Nie jestem jasnowidzem. Inni mogą przepowiadać, ale ja będę milczał. Zaczekaj chwilę. – Zatrzymał się w pokoju, podczas gdy koty, miaucząc, ganiały się i skakały dokoła. Sięgnął na półkę nad zlewem i zdjął stamtąd ćwierćlitrowy słoik, wypełniony ciemną substancją. Odkręcił wieczko, powąchał i potrząsnął głową. Zakręcił słoik i odstawił go na miejsce. – Nie ten. – Kręcił się po pokoju, aż w końcu otworzył lodówkę i zaczął szperać wewnątrz. Wyciągnął plastikowe pudełko i zaczął je badać ze zmarszczonymi brwiami.

Jego obecna żona – Gabriel Baines nie znał jej imienia – wyszła z sypialni i popatrzyła na nich tępo. Ubrana była w workowatą sukienkę i tenisówki bez skarpetek. Jej włosy były masą czegoś skłębionego i brudnego okrywającego czubek

i boki głowy. Baines odwrócił wzrok z ponurą odrazą.

–Słuchaj – powiedział Ledebur do kobiety – gdzie jest ten słoik z... wiesz czym? Tą miksturą, której używamy, zanim... – Machnął ręką.

–W łazience – rzekła kobieta i powlokła się na dwór. Ignatz zniknął w łazience, słyhać było, jak przestawia jakieś przedmioty, szklanki i butelki. W końcu wrócił, niosąc kubek z ciecżą, która wylewała się z niego, kołysząc się w takt jego kroków.

–To jest to – powiedział Ledebur, szczerząc się w uśmiechu i ukazując szczerbę w dwóch zębach. – Ale musisz ją nakłonić, żeby to wypila. Jak zamierzasz to zrobić?

Na razie Gabriel nie wiedział.

–Zobaczymy – odparł i wziął afrodyzjak.

Po wyjściu od Ledebura pojechał do jednego centrum handlowego w Gandhitown. Zaparkował przed kopulastą drewnianą budowlą pokrytą łuszczącą się farbą. Sterty powyciąganych puszek i stosy zużytych kartonowych pudełek walały się na parkingu i przy wejściu. Tutaj alfańscy handlarze pozbywali się masy towarów drugiej jakości.

Kupił butelkę alfańskiej brandy, w aucie otworzył ją, odlał trochę i uzupełnił mętym, zawiesistym afrodyzjakiem, który dostał od świętego Heba. Udało mu się jakoś wymieszać obydwie ciecze.

Zadowolony, zatkał butelkę, uruchomił silnik i odjechał.

Pomyślał, że nie ma teraz czasu, aby polegać tylko na swym wrodzonym talencie. Zgromadzenie twierdziło, że nie jest szczególnie uzdolniony w tym kierunku. A jeżeli mieli przeżyć, doskonałość była niezbędna.

Bez większego kłopotu udało mu się znaleźć terrański statek. Wysoki, błyszczący i metalicznie czysty górował nad śmieciami Gandhitown. Gabriel skręcił w jego kierunku.

Uzbrojony terrański strażnik, w mundurze znanym Bainesowi z ostatniej wojny, zatrzymał go kilkaset metrów od statku. We włazie pojazdu dostrzegł wymierzone w niego lufy ciężkiej broni.

–Pańskie papiery identyfikacyjne – powiedział, przeszukując Gabriela ostrożnie.

–Proszę powiedzieć doktor Rittersdorf, że pełnomocnik najwyższego zgromadzenia przyszedł, by złożyć końcową ofertę, dzięki której unikniemy obustronnego rozlewu krwi – rzekł Baines. Siedział za sterem swego pojazdu, wyprężony i sztywny jakby połknął kij, i gapił się w niebo.

Sprawa została załatwiona za pomocą interkomu.

–Może pan iść.

Inny Terranin, również umundurowany, z rewolwerem i odznaczeniami, towarzyszył mu do rampy prowadzącej do otwartego wjazdu statku. Weszli do środka, a następnie Baines ruszył korytarzem w dół, szukając pokoju 32H. Otaczające go ściany budziły w nim niepokój; pragnął wyjść na zewnątrz, gdzie mógł swobodnie oddychać, ale było już za późno. Odnalazł właściwe drzwi, zawahał się, lecz zapukał. Butelka pod jego pachą cicho zbulgotała.

Drzwi odsunęły się i stanęła w nich doktor Rittersdorf, ciągle ubrana w nieco za ciasny czarny sweter, czarną spódnicę i pozłacane pantofle elfów. Przyjrzała mu się niepewnie.

–Zobaczmy, pan jest...

–Baines.

–Ach, tak. Pare... – Na wpeł do siebie dodała: – Schizofrenia paranoidalna. Och, przepraszam bardzo. – Zarumieniła się. – Nie chciałam pana urazić.

–Przyszedłem tu – rzekł Baines – by wypić toast. Zechce mi pani towarzyszyć? – Przeszedł obok niej do wnętrza małej kajuty.

–Toast z jakiej okazji?

–Powinno to być oczywiste – wzruszył ramionami. Pozwolił, by w jego głosie zadźwięczała właściwa nutka irytacji.

–Poddajecie się? – Jej ton był ostry i przenikliwy. Zamknęła drzwi i podeszła w jego kierunku.

–Dwa kieliszki – powiedział umyślnie zrezygnowanym, głuchym głosem. – Dobrze, pani doktor? – Z papierowej torby wyciągnął butelkę alfańskiej brandy z jej dziwnym dodatkiem i zaczął ją odkorkowywać.

–Myślę, że to naprawdę najmądrzejsza rzecz, jaką mogliście zrobić – rzekła doktor Rittersdorf. Wyglądała wyjątkowo ładnie, kiedy kręciła się po pokoju w poszukiwaniu kieliszków. Jej oczy błyszczały. – To dobry znak, panie Baines. Naprawdę.

Ponury, ciągle udający pokonanego, Gabriel Baines napełnił oba kieliszki.

–Więc możemy wylądować w Da Vinci Heights? – zapytała doktor Rittersdorf, podnosząc trunek i pociągając łyka.

–Ależ oczywiście – zgodził się obojętnie. On także spróbował napoju. Smakował okropnie.

–Zawiadomię człowieka odpowiedzialnego za bezpieczeństwo naszej misji – powiedziała. – Pana Magebooma. Więc żadnych ubocznych... – umilkła nagle.

–Co się stało?

–Mam dziwne... – Doktor Rittersdorf zmarszczyła brwi. – Coś w rodzaju podniecenia, głęboko wewnątrz. Gdybym nie wiedziała lepiej... – Wyglądała na zakłopotaną. – Nieważne. Panie... Baines? – Gwałtownie napiła się ze szklanki. – Nagle poczułam takie napięcie. Myślę, że się martwiłam, nie chciałam zobaczyć... – Jej głos rozmazał się. Podeszła do kąta kabiny i usiadła na krześle. – Dodałeś coś do tego napoju. – Poderwała się, pozwalając kieliszкови spaść na podłogę. Ruszyła, jak mogła najszybciej, do czerwonego guzika na przeciwległej ścianie.

Gdy przechodziła obok niego, chwycił ją w talii. Reprezentant międzyklanowego zgromadzenia Alfya III M2 uczynił swój ruch. Na dobre czy złe, plan ich walki o przetrwanie wszedł w życie.

Doktor Rittersdorf ugryzła go w ucho, prawie odrywając jego płatek.

–Hej – zaprotestował słabo. – Co ty robisz? – Później stwierdził: – Mikstura Ledebura naprawdę działa. Ale przecież wszystko ma swoje granice.

Czas mijał. Baines powiedział, nie mogąc złapać tchu:

–Przynajmniej tak mi się wydaje. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Unosząc się nieznacznie, doktor Rittersdorf krzyknęła:

–Idźcie sobie!

–Tu Mageboom. – Z korytarza odezwał się stłumiony męski głos.

Skacząc na równe nogi i uwalniając się z objęć Gabriela, doktor Rittersdorf podbiegła do drzwi i zamknęła je na klucz. Odwróciła się natychmiast i zanurkowała – przynajmniej tak to wyglądało – prosto na niego. Zamknął oczy.

Czy to rzeczywiście miało ich zaprowadzić tam, dokąd chcieli? Powstrzymując ją, przyciskając do podłogi tuż obok kupki jej porzucanych ubrań, Baines chrząknął i powiedział:

–Proszę posłuchać, doktor Rittersdorf.

–Mary. – Tym razem ugryzła go w wargę. Jej zęby chwyciły go z niesamowitą siłą,

aż skrzywił się z bólu, znów mimowolnie zamykając oczy. Okazało się to jednak kardynalnym błędem. Bo w tym momencie był nad nią nachylony, a już w następnym znalazł się pod spodem, przygwożdżony w miejscu. Jej ostre kolana wbijały się w jego biodro. Chwycała go nad uszami, wczepiając palce we włosy i szarpnęła go do góry, jakby chcąc oderwać głowę od reszty tułowia. A jednocześnie...

Udało mu się krzyknąć słabo:

–Na pomoc!

Jednak osoba po drugiej stronie drzwi już odeszła. Nie było odpowiedzi.

Baines zobaczył na ścianie czerwony guziczek, który Mary Rittersdorf próbowała wcześniej przycisnąć... Próbowała, ale teraz nie było wątpliwości, że za żadne skarby by tego nie zrobiła. Zaczął pełzać w kierunku przycisku, jednak jego wysiłek poszedł na marne.

„Najgorsze jednak jest to – pomyślał – że to i tak nic nie rozwiązuje”.

–Doktor Rittersdorf – zazgrzytał, próbując złapać oddech. – Bądźmy rozsądni. Na litość boską, porozmawiajmy, dobrze? Proszę.

Teraz ugryzła go w czubek nosa. Poczuł wyraźnie jej ostre zęby. Roześmiała się. To był długi, odbijający się echem śmiech, który zmroził mu krew w żyłach.

„Myślę, że to mnie zabije – doszedł do wniosku po chwili, która wydała mu się wiekiem. – To gryzienie! Zagryzie mnie na śmierć, a ja nic nie mogę zrobić”. Miał wrażenie, jakby obudził się i stanął do pojedynku z libido wszechświata. To był czysty żywioł o niezwykłej sile, który przygwoździł go do dywanu, nie pozostawiając możliwości ucieczki. Gdyby komuś się udało włamać, na przykład uzbrojonemu strażnikowi...

–Wiesz – wyszeptała Mary tuż przy jego twarzy. – Wiesz, że jesteś najpiękniejszym mężczyzną na świecie? – Odchyliła się, siadając i próbując doprowadzić się do porządku.

Wykorzystał szansę i przetoczył się w bok, po czym niezdarnie rzucił się do guzika, oszalały, po omacku usiłując go przycisnąć, by wezwać kogoś, kogokolwiek. Obojętnie czy Terranina czy nie.

Dysząc, chwyciła go za kostkę, tak że upadł na podłogę. Uderzył głową o krawędź metalowej szafki i jęknął, gdy ogarnęła go ciemność pełna porażki i unicestwienia.

Mary Rittersdorf, śmiejąc się, przeturlała go i jeszcze raz skoczyła na niego. Jej gołe kolana znów wbiły mu się w ciało. Nagie piersi zadyndały przed jego twarzą, gdy

chwyciła go za nadgarstki, wgniatając w podłogę. Widocznie nie miało to dla niej znaczenia, czy jest przytomny. Zdał sobie z tego sprawę, gdy ciemność stała się absolutna. Ostatnią myślą, która przyszła mu do głowy w chwili krańcowej determinacji, było to, że dopadnie kiedyś świętego Hebów, Ignatza Ledebura. Nawet, gdyby miał to być ostatni czyn w jego życiu.

–Och, jesteś taki uroczy. – Głos Mary Rittersdorf zadźwięczał centymetr od jego lewego ucha, ogłuszając go kompletnie. – Mogłabym cię zjeść całego. – Drżała na całym ciele.

Zanim zemdlał, miał okropne uczucie, że doktor Rittersdorf dopiero zaczęła. A napar Ledebura nie miał tu nic do rzeczy, bo przecież nie wpłynął w ten sam sposób na niego. Gabriel Baines i mikstura świętego Heba pomogli tylko ujawnić się czemuś, co zawsze tkwiło w doktor Mary Rittersdorf. Pomyślał, że będzie miał dużo szczęścia, jeśli nie okaże się, że to nie żaden tak zwany napój miłości, ale czysty napój śmierci.

W żadnym momencie nie stracił do końca przytomności. Był więc świadom – ale to nastąpiło znacznie później – że aktywność, pod której panowaniem się znalazł, zaczyna się stopniowo zmniejszać. Sztucznie wywołana burza namiętności słabła, aż w końcu zapanował kapryśny spokój. A później jakaś siła, której działania zupełnie nie rozumiał, przeniosła go z podłogi w kajucie doktor Rittersdorf w zupełnie inne miejsce.

„Chciałbym być martwy” – powiedział do siebie. Najwyraźniej minął czas łaski. Czas zastrzeżony w ultimatum Terran upłynął, a Bainesowi nie udało się powstrzymać biegu wypadków. Gdzie był teraz? Ostrożnie otworzył oczy. Było ciemno. Leżał na dworze pod gwiazdami, a dookoła niego wyrastały kopczyki śmieci, składające się na osadę Hebów, Gandhitown.

Rozejrzał się przerażony – nigdzie nie było widać zarysu terrańskiego statku. Najwyraźniej odlecieli, by wylądować w Da Vinci Heights.

Drżąc, usiadł niepewnie. Gdzie, w imię tego co święte dla wszystkich gatunków, jest jego ubranie? Nie zatroszczyła się o to, żeby mu je oddać? Czuł się dobrowolnie nabity w butelkę. Położył się, zamknął oczy i zaczął kłąć, cicho i monotonna... On, delegat Pare do najwyższego zgromadzenia. „Za dużo naraz” – pomyślał gorzko.

Jego uwagę zwrócił hałas z prawej strony. Ponownie otworzył oczy. Tym razem popatrzył uważniej. W jego kierunku telepał się przestarzały staroświecki wehikuł. Wokół rozpoznał zarysy krzaków malin. Zdał sobie nagle sprawę, że wpuszczono go w maliny; dzięki Mary Rittersdorf doświadczył na własnej skórze prawdziwości tego przysłowia. Nienawidził jej za to, ale czuł przed nią także strach. To, co podjeżdżało do niego, było typowym samochodem z silnikiem spalinowym, powszechnym wśród Hebów. Widział już żółte światła wozu.

Podniósł się na równe nogi i pomachał ręką do kierowcy. Pojazd zatrzymał się.

–Co się stało? – zapytał kierowca znudzonym głosem, przeciągając słowa. Był już tak zdegenerowany, że nic go nie potrafiło zainteresować.

Baines podszedł do drzwi samochodu i powiedział:

–Zostałem... napadnięty.

–Oj, niedobrze. Zabrali ci ubranie? Wsiadaj. – Walił w drzwi, dopóki nie otworzyły się ze zgrzytem. – Zawiozę cię do mnie. Dostaniesz coś do ubrania.

–Wolałbym, abys mnie zawiózł do chaty Ignatza Ledebura – rzekł ponuro Baines. – Chcę z nim porozmawiać.

Ale jeżeli to tkwiło ukryte w tej kobiecie od zawsze, jak mógł winić świętego Heba? Nikt nie mógł tego przewidzieć. Zresztą gdyby mikstura w ten sposób działała na kobiety, Ledebur na pewno zaniechałby jej stosowania.

–Kto to jest? – zapytał kierowca, zapuszczając silnik.

Gabriel zdał sobie sprawę, że pytanie jest dowodem potwierdzającym teorię Mary Rittersdorf, dotyczącą ich wszystkich. Jednak zebrał się w sobie i, najlepiej jak potrafił, opisał lokalizację chaty świętego Heba.

–A tak – rzekł kierowca. – To ten facet od kotów. Przejechałem jednego wczoraj. – Zachichotał.

Baines zamknął oczy i jęknął.

Wkrótce zatrzymali się przed słabo oświetloną chałupą Ledebura. Kierowca walnął w drzwi i zdrętwiały Baines wygramolił się na zewnątrz. Był cały obolały i wciąż cierpiał dotkliwie od miliona i jeden ukąszeń zadanych mu przez Mary Rittersdorf w chwili namiętności. W żółtym świetle reflektorów samochodu, krok po kroku przeszedł przez zaśmiecone podwórko. Znalazł drzwi do chaty, odepchnął z drogi stado kotów i zastukał.

Na jego widok Ignatz ryknął śmiechem.

–Jakież to musiały być chwile... Cały krwawisz. Dam ci coś do ubrania, a Elsie ma pewnie coś na te ukąszenia, czy co to tam jest. Wyglądasz, jakby cię pocięła nożyczkami. – Chichocząc i powłócząc nogami, zniknął gdzieś w głębi chaty. Gromada brudnych dzieci przyglądała się Bainesowi, grzejącemu się przy olejowym piecyku. Zignorował je zupełnie.

Później, gdy żona Ledebura przyłożyła mu maść wokół nosa, ust i uszu, a Ledebur położył przed nim obdarte, ale czyste ubranie, Gabriel powiedział:

–Wiem już o niej trochę. Najwyraźniej jest osobnikiem oralno-sadystycznym. Dlatego tak to się skończyło. – Pomyślał rzeczowo, że Mary Rittersdorf jest tak samo chora, a może nawet bardziej, niż wszyscy na Alfie III M2. Ale jej choroba była ukryta.

–Terrański statek odleciał – rzekł Ledebur.

–Wiem. – Baines zaczął się ubierać.

–W ciągu ostatniej godziny doświadczyłem wizji – mówił dalej Heb – o przybyciu następnego statku z Terry.

–Wojennego? – domyślił się Baines. – By zdobyć Da Vinci Heights. – Zastanawiał się, czy uciekną się do zrzucenia bomby wodorowej na siedzibę Mansów. W imię psychoterapii.

–To mały, szybki statek pościgowy, jeśli wierzyć moim psychicznym przedstawieniom wywoływanym przez pierwotne siły. Wygląda jak pszczoła. Wylądował koło siedziby Poly, Hamlet-Hamlet.

Baines natychmiast pomyślał o Annette Golding. Miał nadzieję, że nic się jej nie stało.

–Czy masz jakiś pojazd? Cokolwiek, czym mógłbym wrócić do Adolfville? – Nagle przypomniał sobie, że zaparkował swój samochód obok miejsca, gdzie przedtem stał terrański statek. Mógłby pójść tam. I nie pojechałby do własnej kolonii, lecz do Hamlet-Hamlet, by upewnić się, czy Annette nie została ranna... – Zawiodłem ich – powiedział do Ledebura. – Twierdziłem, że mam plan. Zaufali mi oczywiście, bo jestem Pare. – Lecz Baines nie poddał się jeszcze. W jego głowie kłębiły się pomysły. I tak już miało być do śmierci: ciągle planowanie, jak obronić się przed wrogiem.

–Zanim gdziekolwiek pojedziesz, powinieneś coś zjeść – zaproponowała kobieta Ledebura – zostało jeszcze trochę gulaszu z nerek. Miałam go dać kotom, ale miło mi będzie cię poczęstować.

–Dziękuję – odparł, próbując powstrzymać mdłości. Ale miała rację. Musiał nabrać trochę energii, inaczej padłby na miejscu. Dziwne, że tak się jeszcze nie stało, biorąc pod uwagę to, co mu się przydarzyło.

Po zjedzeniu pożyczył od Ledebura reflektor, podziękował mu za ubranie, maść i posiłek, a potem piechotą ruszył przez wąskie, kręte i pełne śmieci ulice Gandhitown. Na szczęście jego samochód był jeszcze tam, gdzie go zostawił. Ani Hebowie, ani Terranie nie mieli ochoty go zwinąć, porznać na kawałki lub zamienić w proch.

Wsiadł i odjechał drogą na wschód do Hamlet-Hamlet. Znowu z żalosną prędkością siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, przez otwartą przestrzeń między osadami.

Jechał z przeczuciem, że musi się spieszyć. Terranie najechali Da Vinci Heights, być może osada już upadła. Co pozostało? Jak mogą przetrwać bez fantastycznej energii klanu Mansów? A jeżeli na przykład samotny terrański statek zamierzał coś... Lecz może była jeszcze jakaś nadzieja. W każdym razie nikt się go nie spodziewał, więc może mimo niepowodzenia planu, jeszcze nie wszystko było stracone.

Nie był Skitzem ani Hebem, ale na swój mglisty sposób także doświadczył wizji. Była to wizja jeszcze jednej szansy. Jego plan zawiódł, ale pozostało jeszcze to. I on w to wierzył, chociaż nie potrafiłby powiedzieć dlaczego.

Wracając do domu ze spotkania z Adolfville, na którym ujrzało światło dzienne ultimatum postawione Terranom i ich plan ruszenia do ataku na Da Vinci Heights, Annette Golding rozważała możliwość samobójstwa. To, co im się przytrafiło, nawet dla Mansów było przytłaczające; czyż można stawić opór planecie, która zwyciężyła w boju całe alfańskie imperium?

Oczywiście sytuacja jest beznadziejna. Uznała to... i zamierzała ulec. „Jestem jak Dino Watters” – powtarzała, pilnie przyglądając się ciemnej drodze przed sobą. Światła reflektorów omiały plastikową wstęgę szosy, łączącej Adolfville z Hamlet-Hamlet. „Kiedy nadchodzi kryzys, zamiast walczyć, wołam się poddać. I nikt mnie do tego nie zmusza, sama podejmuję taką decyzję. – Łzy napłynęły jej do oczu, gdy zdała sobie z tego sprawę. – Chyba muszę z gruntu podziwiać Mansów. Czczę to, czym nie jestem. A nie jestem szorstka, pełna rezerwy, nieustępliwa, choć teoretycznie, jako Poly, mogłabym się taka stać. Właściwie mogę stać się wszystkim, czym bym chciała, a zamiast tego jestem...”

Nagle z prawej strony zobaczyła smugę spalin retrorakiety, rozciągających się na nocnym niebie. Statek wylądował bardzo blisko Hamlet-Hamlet. Gdyby dalej podążała tą samą drogą, trafiłaby prosto na niego. Od razu poczuła – typowo dla Poly – dwie sprzeczne emocje. Strach kazał jej skulić się i przypaść do ziemi, z kolei ciekawość, siostra ochoty, oczekiwania i podniecenia, sprawiła, że nacisnęła gaz.

Zanim jednak dotarła do statku, strach zniknął. Zwolniła, zjechała na miękkie pobocze i wyłączyła silnik. Samochód ślizgał się cicho przez chwilę, aż się zatrzymał.

Wyłączyła światła; siedziała, nasłuchując dźwięków nocy i zastanawiając się, co zrobić. Z miejsca, w którym się znajdowała, ledwie widziała statek, wokół którego czasami błyskały światła. Ktoś tam coś robił. Może terrańscy żołnierze przygotowywali się do oblężenia Hamlet-Hamlet? Nie słyszała jednak żadnych głosów, a statek nie wyglądał na duży.

Oczywiście była uzbrojona. Każdy z delegatów zgromadzenia musiał mieć broń, chociaż reprezentant Hebów przeważnie jej zapominał. Sięgnęła na półeczkę i wyłowiła staromodny pistolet. Nigdy przedtem go nie używała i wydawało się jej nieprawdopodobne, że może to zrobić. Ale wyglądało na to, że nie będzie miała wyboru.

Cicho podkradła się do kępy karłowatych krzaków i niespodziewanie znalazła się tuż przy statku. Przestraszona cofnęła się, gdy nagle rozbłysło światło. Obok podstawy statku coś się działo.

Mężczyzna, całkowicie pochłonięty swą pracą, kopał szufelką dół. Twarz miał

spoconą i napiętą z wysiłku. Wtem przerwał i pobiegł do statku.

Gdy pojawił się ponownie, w rękach trzymał pudełko, które postawił obok dziury w ziemi. Błysnął latarką do wnętrza kartonu i Annette Golding zobaczyła pięć kulek wielkości grejpfruta, wilgotnych i pulsujących. Były żywe i zidentyfikowała je natychmiast. Początkowe stadium ganimedejskich galaretniaków – widziała takie na edukasetach. Mężczyzna oczywiście je zakopywał; w ziemi wyrosną bardzo szybko. Ta część ich cyklu życiowego zachodziła prawie natychmiast i dlatego mężczyzna się tak spieszył; kulki mogły umrzeć.

–Nie uda ci się umieścić ich wszystkich w ziemi na czas – odezwała się, sama się sobie dziwiąc. Jedna kulka rzeczywiście pociemniała i skurczyła się; umierała na ich oczach. Podeszła do mężczyzny nie przestającego kopać.

–Słuchaj, podleję je. Masz trochę wody? – Przykucnęła obok niego, czekając. – Inaczej one naprawdę zginą.

On oczywiście także o tym wiedział.

–Na statku – odparł szorstko. – Weź duże naczynie. Zobaczysz kran; jest oznakowany. – Chwycił obumierającą kulkę i delikatnie umieścił ją w dołku.

Annette weszła do wnętrza statku; znalazła kran, a potem miskę.

Na zewnątrz szybko zrosiła gasnące kulki, rozmyślając filozoficznie, że tak to jest z grzybami. Wszystko dzieje się u nich tak szybko – narodziny, wzrost, nawet śmierć. Być może właśnie na tym polegało ich szczęście.

–Dziękuję – powiedział mężczyzna, podnosząc drugą, teraz już wilgotną kulkę i zakopując ją w ziemi. – Nie mam nadziei, że uda mi się uratować je wszystkie. Zarodki zakiełkowały podczas mojej podróży. Nie miałem gdzie ich umieścić. Miałem tylko naczynie na mikroskopijne zarodki. – Przyjrzał się jej uważnie, gdy kopała, powiększając dołek. – Panna Golding – rzekł.

Annette, siedząca w kucki koło pudełka z kulkami, zapytała:

–Jak to się stało, że mnie znasz, a ja nigdy przedtem cię nie widziałam?

–To moja druga podróż tutaj – odparł zagadkowo.

Pierwsza zakopana kulka zaczynała już rosnąć. W świetle latarki Annette zobaczyła, jak ziemia drga i wybrzusza się, jakby średnica kulki gwałtownie się powiększała. Widok był dziwny i zabawny, i Annette roześmiała się.

–Przepraszam – powiedziała – ale wpadłeś tu, wepchnąłeś je w ziemię i teraz stoisz i

się gapisz. Za chwilę będą naszej wielkości, a potem zaczną się poruszać. – Wiedziała, że galaretniaki były jedynymi poruszającymi się grzybami. Dlatego ją fascynowały.

–Skąd tyle o nich wiesz? – zapytał mężczyzna.

–Przez lata nie miałam do roboty nic innego, jak tylko uczyć się. Z... chyba nazwalibyście to szpital... W każdym razie stamtąd, zanim go zburzyli, wynieśli kasety z biologii i zoologii. Czy to prawda, że dojrzały ganimedejski galaretniak jest tak inteligentny, że można z nim rozmawiać?

–Więcej niż inteligentny. – Mężczyzna szybko zasadził następną kulkę. Drżała w jego rękach, galaretowata i miękka.

–To wspaniałe – rzekła. – Myślę, że to strasznie fascynujące. Warto było tu zostać, by to zobaczyć. Czy to nie urocze? – dodała, klękając z drugiej strony pudełka i obserwując jego pracę. – Zapach nocy, powietrza, dźwięki nocnych istot, tych małych żabek i dzwonkoświerszczy. To wszystko wokół ciebie, a ty sadzisz grzyby, zamiast po prostu pozwolić im umrzeć. Jesteś bardzo litościwy, widzę to. Powiedz mi, jak się nazywasz?

Spojrzał na nią z ukosa:

–Po co ci to?

–Po to, abym cię zapamiętała.

–Jakiś czas temu też pytałem pewnego człowieka o nazwisko, aby go zapamiętać.

Do zasadzenia pozostała jeszcze tylko jedna kulka, tymczasem pierwsza zaczęła pączkować, wychodząc na powierzchnię. Stała się teraz, jak zauważyła Annette, mnóstwem kulek zlepionych w jedną masę.

–Ale – ciągnął dalej mężczyzna – potrzebowałem jego nazwiska, by móc go odnaleźć i... – Nie skończył, ale zrozumiała. – Nazywam się Chuck Rittersdorf – dodał.

–Czy jesteś spokrewniony z doktor Rittersdorf, psychologiem z terrańskiego statku? Tak, musisz być jej mężem. – Była tego zupełnie pewna. Przypomniawszy sobie plan Gabriela Bainesa, zakryła usta ręką, chichocząc ze złośliwego podniecenia.

–Och – powiedziała – gdybyś tylko wiedział. Ale nie mogę ci tego powiedzieć.

„Jest jeszcze jedno nazwisko, które powinieneś zapamiętać – pomyślała. – Gabriel

Baines". Zastanawiała się, jak poszedł jego plan, by poskromić doktor Rittersdorf, uwodząc ją. Miała przeczucie, że się nie udał. Ale dla Gabriela mogła to być – może nawet jeszcze była – świetna zabawa. Teraz już jednak było po wszystkim, bo przyjechał pan Rittersdorf.

–Jak się nazywałeś, kiedy byłeś tu przedtem? – zapytała.

Chuck spojrzał na nią.

–Myślisz, że zmieniłem...

–Byłeś kimś innym. – Musiało tak być, inaczej by go pamiętała. I rozpoznałaby go teraz.

Po krótkiej chwili odpowiedział:

–Powiedzmy po prostu, że byłem tu, spotkałem cię, potem wróciłem na Terrę i teraz jestem z powrotem. – Spiorunował ją spojrzeniem, jakby to była jej wina. Zasadził ostatnią kulkę, podniósł puste pudełko i małą szufelkę i ruszył w kierunku statku.

–Czy galaretniaki przejmą teraz nasz księżyc? – zapytała Annette, idąc za nim. Wydawało się jej, że to może być część terrańskiego planu podboju. Ale ten pomysł nie brzmiał dobrze; mężczyzna miał wszelkie cechy człowieka pracującego ukradkiem i w samotności. To raczej było podobne do działań Pare.

–Mogło być gorzej – odparł lakonicznie Rittersdorf. Zniknął we wnętrzu statku. Po krótkim wahaniu Annette podążyła za nim, mrużąc oczy przed jaskrawym światłem.

W środku, na jednej z półek leżał jej pistolet (położyła go tam, gdy nalewała wodę do zbiornika). Chuck podniósł broń, sprawdził ją, a potem odwrócił się do kobiety z dziwnym wyrazem twarzy, niemal grymasem.

–Twój?

–No... – odparła zawstydzona. Wyciągnęła rękę w nadziei, że go jej odda. Ale nie zrobił tego. – Proszę cię – powiedziała. – Jest mój, zostawiłam go tutaj, kiedy ci pomagałam. Wiesz o tym.

Przez bardzo długą chwilę przyglądał się jej, a potem podał jej pistolet.

–Dziękuję. – Poczowała wdzięczność. – Będę o tym pamiętać.

–Zamierzasz tym uratować księżyc? – Teraz Rittersdorf też się uśmiechnął.

Pomyślała, że nie wyglądał źle, gdyby nie gorączkowy, przygnębiony wyraz twarzy i liczne zmarszczki. Ale jego oczy miały kolor czystego błękitu. Mógł mieć trochę

ponad trzydziestkę. Nie był taki stary, ale jednak na pewno starszy od niej. Uśmiech miał nieco bolesny, jakby sobie nie dawał rady... Zamyśliła się. Sprawiał wrażenie, jakby szczęście, nawet chwilowe, było dla niego czymś trudnym, czymś niemal obcym. Był, może jak Dino Watters, nierozzerwalnie związany ze smutkiem. Zrobiło jej się go żal.

„Trudno żyć z taką dolegliwością – pomyślała. – O wiele bardziej, niż ze wszystkimi innymi”.

–Nie sądzę, że możemy uratować ten księżyc – odparła. – Chciałam tylko obronić siebie. Znasz naszą sytuację, prawda? My...

Nagle w jej głowie zaskrzeczał wyraźny głos:

–Panie Rittersdorf... – ścichł, a potem powrócił jak bełkot radia kwarcowego -... mądra rzecz. Widzę, że Joan... – Umilkł.

–Na Boga, co to? – zapytała przerażona Annette.

–Galaretniak. Jeden z nich. Nie wiem, który. – W głosie Chucka brzmiała ogromna ulga. – Zachowuje ciągłość! – wrzasnął do niej, jakby była co najmniej kilometr od niego. – Wrócił! I co pani na to, panno Golding? Proszę coś powiedzieć! – Chwycił ją nagle za rękę i obrócił w tanecznym kółku z dziecinną radością. – Proszę coś powiedzieć, panno Golding!

–Cieszę się – rzekła Annette, pełna szacunku – widząc cię takiego szczęśliwego. Powinieneś być wesoły najczęściej, jak to możliwe. Oczywiście nie wiem, co się stało. W każdym razie... – Uwolniła swoją rękę. – Wiem, że na to zasługujesz, cokolwiek by to było.

Coś za nią się poruszyło. Obróciła się i przy drzwiach statku zobaczyła żółtą falującą bryłkę, przesuającą się powoli naprzód. „Więc to tak wygląda – pomyślała – w końcowym stadium”. Zaparło jej dech w piersiach. Cofnęła się; nie ze strachu, lecz z odrazy. To musiał być jakiś cud, że tak szybko się rozwinęły. A teraz, jak sobie przypomniła, będą już takie przez całe życie, dopóki ich nie zabije zbyt zimny lub zbyt gorący klimat czy susza. A w końcu wydała zarodki i cykl się powtórzy.

Za pierwszym galaretnikiem do wnętrza statku wszedł drugi, a potem następny.

–Który jest tobą, Lordzie Running Clam? – zapytał przestraszony Chuck.

Przez głowę Annette przeleciała seria myśli:

–Jest taki zwyczaj, iż pierworodny przyjmuje formalnie imię rodzica. Ale właściwie nie ma specjalnej różnicy. W pewnym sensie wszyscy jesteśmy Lordami Running

Clam, w pewnym sensie żaden z nas nim nie jest. Ja, jako pierwszy, przejmę jego imię, reszta wymyśli sobie nowe imiona, które ich zadowolą. Mam przeczucie, że będziemy dobrze funkcjonować i rozwijać się na tym księżycu. Atmosfera, wilgotność i siła ciężenia powinny nam odpowiadać. Pomogłeś urozmaicić naszą lokalizację; wywozłeś nas ponad... pozwól, niech obliczę... trzy lata świetlne od naszego źródła. Dziękujemy ci. – I dodał (a raczej dodali): – Przykro mi, ale ty i twój statek zaraz zostaniecie zaatakowani. Może powinieneś jak najszybciej wystartować. Dlatego weszliśmy do środka; ci z nas, którym udało się rozwinąć na czas.

–Kto nas zaatakuje? – zapytał Chuck Rittersdorf, przyciskając na pulpicie sterowniczym guzik zamykający właz statku. Usiadł i przygotował statek do wznoszenia.

–Wykryliśmy, że jest w to zamieszana grupa tubylców. Ci, którzy nazywają siebie Mansami. – Do Annette dotarły myśli trzech galaretniaków. – Najwyraźniej udało im się wysadzić w powietrze jakiś inny statek...

–Dobry Boże! – jęknął Chuck. – To Mary!

–Tak – przyznał galaretniak. – Zbliżający się Mansowie całkiem świadomie i w typowy dla nich zrozumiały sposób gratulują sobie, iż pokonali doktor Rittersdorf. Ale ona żyje. Tym z pierwszego statku udało się uciec. Obecnie przebywają w nieznanym miejscu na księżycu, a Mansowie polują na nich.

–A co z terrańskimi statkami wojennymi? – zapytał Rittersdorf.

–Jakimi statkami wojennymi? Mansowie umieścili jakiś nowy rodzaj ekranów ochronnych dokoła swojej osady. Więc na razie są bezpieczni. – Galaretniak zaczął rozwodzić się nad jakimś własnym domysłem. – Ale to nie potrwa długo i oni o tym wiedzą. W ofensywie są tylko przejściowo. Ale i tak im się to podoba. Są maksymalnie szczęśliwi, podczas gdy wszystkie zbite z tropu krążowniki terrańskie bzyczą bezradnie.

„Biedni Mansowie – pomyślała Annette – nie potrafią spojrzeć w przyszłość, myśląc o teraźniejszości. Wyruszają do walki, jakby rzeczywiście mieli jakieś szansę”. A czy jej własne widoki wyglądały lepiej? Czy jej chęć zaakceptowania upadku nie była tego dowodem?

Nie było niczym dziwnym, że wszystkie klany na księżycu zależne były od Mansów, którzy jako jedyni zachowali odwagę i witalność ją powstrzymującą. „Reszta z nas – pomyślała Annette – przegrała już dawno temu. Zanim jeszcze pokazał się pierwszy Terranin, doktor Mary Rittersdorf.

Gabriel Baines, jadąc z marną prędkością siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę w kierunku Hamlet-Hamlet, zobaczył mały szybki statek, wystrzelający w

nocne niebo, i zrozumiał, że jest za późno. Wiedział to bez jakiegoś szczególnego zrozumienia sytuacji. Annette, mówił mu jego prawie psioniczny dar, była na statku żywa lub martwa, jeśli ci ze statku zabili ją. W każdym razie odeszła, zwolnił więc, czując gorycz i rozpacz.

Nie mógł zupełnie nic zrobić. Równie dobrze mógłby wrócić do Adolville, do własnej osady i ludzi. Być z nimi w ostatnich, tragicznych chwilach ich życia.

Gdy zaczął zawracać, z tyłu coś zadudniło i zabrzęczało, kierując się na Hamlet-Hamlet. Był to pełnący potwór, jeżeli nie superpotwór. Odlany z najlepszej stali, jaką tylko Mansowie mogli wyprodukować, omiatający przestrzeń przed sobą potężnymi światłami. Posuwał się do przodu, powiewając czerwono-czarną flagą, wojennym symbolem Mansów.

Najwyraźniej był świadkiem pierwszej fazy kontrataku lądowego. Ale właściwie przeciwko czemu? Mansowie oczywiście byli w akcji, ale z pewnością nie przeciwko Hamlet-Hamlet. Być może chcieli pochwycić ten mały statek, ale także przybyli za późno.

Nacisnął klakson. Odskoczyła klapa w wieżyczce czołgu, pojazd odwrócił się w jego stronę, nie znany Mans wyskoczył ze środka i pomachał mu na powitanie. Twarz Mansa płonęła entuzjazmem, najwyraźniej zachwycony był nowymi doświadczeniami, pełnieniem swych wojskowych obowiązków w obronie księżycy, do czego tak długo się przygotowywali. Sytuacja dla Bainesa rozpaczliwa, na Mansa wpływała zupełnie inaczej. Pozwalała mu na wojownicze nadymanie się i pozowanie. Gabriel Baines nie był zdziwiony.

–Cześć! – wrzasnął Mans z czołgu, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Baines odkrzyknął, starając się, by nie zabrzmiało to cierpko:

–Widzę, że statek się wam wymknął!

–Jeszcze go dostaniemy. – Mans, nie tracąc pogody ducha, wskazał na niebo. – Patrz, koleś, na pocisk.

Chwilę później nad ich głowami coś błysnęło. Świecące kawałki posypały się na dół i Gabriel Baines zrozumiał, że terrański statek został trafiony. Mans miał rację. Jak zwykle... To było dla nich typowe.

Przerażony, bo intuicja mówiła mu, że Annette Golding była na statku, powiedział:

–Wy barbarzyńcy, potworni Mansowie...

Największe szczątki spadały z prawej strony. Zatrzasnął drzwi samochodu,

zapaścił silnik, zjechał z drogi i pognął przez pole. W tym czasie czołg Mansów zamknął wieżyczkę i ruszył za nim, wypełniając noc skrzeczącym brzękiem.

Baines pierwszy dotarł do szczątków statku. Coś w rodzaju urządzenia ratunkowego oderwało się przedtem z jego tyłu i opadło na dół dość łagodnie. Teraz leżało, na pół zakopane w górze, ze sterczącym ogonem i płonęło, zupełnie jakby, co jeszcze bardziej poraziło Bainesa, zaraz miało wybuchnąć. Stos atomowy wewnątrz niego osiągnął już prawie punkt krytyczny, a kiedy go przekroczy, będzie po wszystkim.

Baines wyskoczył z samochodu i pognął w kierunku statku.

Właz pojazdu otworzył się i ze środka wynurzył się chwiejnie Terranin. Za nim wyszła Annette Golding, a potem, z ogromnymi trudnościami natury technicznej, jednorodna żółta kropla, która z chlupotem popłynęła do krawędzi włazu.

–Gabe, nie pozwól Mansom zabić tego mężczyzny! On jest dobrym człowiekiem! Jest dobry nawet dla galaretniaków! – krzyknęła Annette.

Z tyłu zaklekotał czołg Mansów; jeszcze raz kłapa w wieżyczce otworzyła się i z wnętrza wyłonił się żołnierz; tym razem jednak w rękach trzymał pistolet laserowy wymierzony w Terranina i Annette. Szczercząc zęby, Mans powiedział:

–Mamy was. – Było jasne, że gdy w pełni rozsmakuje się w tej przyjemności, zabije ich. Okrucieństwo Mansów było niezgłębione.

–Słuchaj! – Baines pomachał ręką do Mansa. – Zostaw w spokoju tych ludzi! Ta kobieta jest z Hamlet-Hamlet, jest jedną z nas.

–Jedną z nas? – powtórzył Mans. – Jeżeli jest z Hamlet-Hamlet, nie jest jedną z nas.

–Daj spokój – powiedział Baines. – Czy wy, Mansowie, jesteście tacy stuknięci, że nie pamiętacie o braterstwie klanów w chwili kryzysu? Opuść laser! – Powoli podszedł do samochodu, nie spuszczać oczu z żołnierza. W samochodzie pod siedzeniem miał własną broń. Gdyby dostał ją w swoje ręce, zrobiłby z niej użytek, by uratować życie Annette.

–Złożę na ciebie raport u Howarda Strawa – powiedział, po omacku grzebiąc wewnątrz pojazdu. – Jestem jego przyjacielem, reprezentantem Pare w zgromadzeniu. – Palce zacisnęły się na kolbie pistoletu. Wyciągnął go, jednocześnie odbezpieczając.

Trzask, doskonale słyszalny w nocnej ciszy, sprawił, że Mans natychmiast się odwrócił. Lufa lasera wymierzona była teraz w Gabriela Bainesa. Ani jeden, ani drugi nie powiedział nawet słowa. Patrzyli na siebie w bezruchu. Było dosyć ciemno, więc

nie widzieli się dobrze.

Myśl, wypływająca Bóg wie skąd, dotarła do umysłu Gabriela Bainesa:

–Panie Rittersdorf, pańska żona jest w pobliżu. Odbieram aktywność jej mózgu. Dlatego radziłbym panu paść na ziemię.

Terranin i Annette Golding natychmiast to uczynili. Mans w czołgu, przestraszony, opuścił broń i niezdecydowany spoglądał w mrok.

Prawie doskonały strzał z broni laserowej przeleciał nad leżącym plackiem Terraninem, trafiając w pokrywą zniszczonego statku i niknąc w skwierczącym, stopionym metalu. Mans w czołgu podskoczył, próbując określić, skąd strzelano. Instynktownie ścisnął broń, ale nie wypalił. Ani on, ani Gabriel Baines nie wiedzieli, co się stało. Kto strzelał i do kogo.

–Wsiadaj do samochodu! – wrzasnął Gabriel do Annette, przytrzymując drzwi. Annette uniosła głowę, spojrzała na niego, a potem odwróciła się do leżącego obok Terranina. Wymienili spojrzenia i oboje, potykając się, pognali jak najszybciej.

Z wieżyczki czołgu Mans otworzył ogień, ale nie do Annette i Terranina. Strzelał w ciemność, tam, skąd nadszedł błysk lasera. Wskoczył z powrotem do wnętrza czołgu, kłapa zatrzasnęła się za nim i pojazd, wibrując i dudniąc, ruszył przed siebie. W tejże chwili z przedniej lufy czołgu wyskoczyła rakieta. Poleciała prosto, równolegle do ziemi i nagle wybuchła. Gabriel Baines, próbujący zawrócić samochód, Terranin i Annette upadli na podłogę. Ziemia zatrzęsała się. Gabriel zamknął oczy, ale to nie pomogło. Terranin leżący obok niego zaklął, Annette jęknęła.

„Ci pieprzeni Mansowie” – pomyślał z wściekłością Baines, gdy samochód uniósł się, rzucony falą uderzeniową rozrywającego się pocisku.

–Nie można używać takich bomb – dobiegł go ledwo słyszalny głos Terranina, przekrzykującego zgiełk – na tak bliską odległość!

Samochód przekoziółkował. Gabriel Baines odbił się od ochronnej poduszki na dachu, potem od tablicy rozdzielczej. Wszystkie urządzenia zabezpieczające, jakie inteligentny Pare zainstalował w swoim samochodzie, włączyły się automatycznie, ale i to niewiele pomagało. Pojazd ciągle toczył się i koziółkował. Baines powiedział do siebie: „Jak ja nienawidzę tych Mansów! Nigdy już nie będę zwolennikiem współpracy z nimi”.

Ktoś upadł na niego i krzyknął:

–O Boże! – To była Annette Golding.

Chwycił ją i kurczowo przycisnął do siebie. Wszystkie szyby w samochodzie popękały, dokoła sypał się deszcz kawałków plastiku. Poczul gryzący swąd spalenizny. Być może to płonęło jego własne ubranie. Wcale by się nie zdziwił. Z otworów sikały strumienie piany anty termicznej, jako reakcja na zbyt wysoką temperaturę. Momentalnie ugrzązł w szarym morzu, nie mogąc uchwycić się niczego... Znowu puścił Annette. „Cholera – pomyślał – cała ta technika, która kosztowała mnie tyle czasu i skinów, jest gorsza niż sam wybuch. Jaki z tego morał?” – zapytał siebie, przewracając się w śliskiej pianie. Czuł się, jakby go namydlono na jakąś ogromną orgię golibrodów. Kulił się, walcząc, by uwolnić się z lepkich substancji.

–Pomocy! – zawył.

Nikt ani nic mu nie odpowiedziało.

„Wysadzę ten czołg w powietrze – pomyślał, grzęznąc w pianie. – Przysięgam. Już ja im odplacę pięknym za nadobne, tym cholernym Mansom. Zawsze wiedziałem, że są przeciwko nam”.

–Myli się pan, panie Baines. – W jego głowie pojawiły się opanowane, rozsądne myśli. – Żołnierz, który wystrzelił ten pocisk, nie miał wobec pana złych zamiarów. Zanim wypalił, dokonał poważnego obliczenia, przynajmniej tak mu się wydawało. Musi się pan wystrzegać widzenia we wszystkim przejawów złej woli. W tej chwili ten człowiek próbuje się tu dostać i wyciągnąć pana z płonącego samochodu. I tych, którzy są z panem, również.

„Jeżeli mnie słyszysz – pomyślał Baines w odpowiedzi – pomóż mi”.

–Nic nie mogę zrobić. Jestem galaretniakiem, w żadnym wypadku nie mogę się zbliżyć do płomieni. Jestem zbyt mało odporny na gorąco, czego jasno dowodzą ostatnie wypadki. Dwóch moich braci zginęło już, próbując wam pomóc. A w tej chwili nie jestem jeszcze gotowy do sporyfikacji. W każdym razie, gdybym już próbował kogoś ratować, byłby to pan Rittersdorf – dodał niepotrzebnie. – Jest z panem w samochodzie. To mężczyzna z Terry.

Czyjaś ręka chwyciła Gabriela Bainesa za kołnierz. Ktoś podniósł go, wyciągnął z samochodu i odrzucił na bok. Mans, z typową dla nich anormalną siłą fizyczną, jeszcze raz sięgnął do płonącego pojazdu, wydobywając zeń Annette Golding. Kompletnie lekceważąc swoje bezpieczeństwo, co jest typowe dla nadaktywnego temperamentu, Mans zniknął w płomieniach. Gdy się ponownie pojawił, ciągnął ze sobą Terranina.

–Dziękuję panu – pomyślał galaretniak z ulgą i wdzięcznością. – W zamian za pański czyn pozwolę sobie udzielić panu pewnej informacji. Pański pocisk nie trafił doktor

Rittersdorf. Ona i symulakron CIA, pan Mageboom, są w pobliżu, ukryci w ciemnościach. Szukają sposobności, by jeszcze raz w pana strzelić. Więc lepiej niech pan jak najszybciej wraca do czołgu.

–Dlaczego ja? – zapytał rozgniewany Mans.

–Bo pański klan zniszczył ich statek – odparł galaretniak. – Między wami panuje jawna wrogość. Proszę się pospieszyć.

Żołnierz Mansów pognął do czołgu.

Ale nie dobiegł do niego. Kiedy pokonał już dwie trzecie drogi, ciemność rozświetlił błysk lasera, przez moment dotykając go i niknąc; Mans upadł na twarz.

„A teraz my dostaniemy – pomyślał żałośnie Gabriel Baines, wycierając się z piany. – Ciekawe, czy ona mnie rozpoznaje; czy pamięta mnie z naszego dzisiejszego spotkania... A jeżeli tak, to czy będzie chciała mnie oszczędzić, czy raczej zabije jako pierwszego?”

Obok niego Terranin, który jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności również nazywał się Rittersdorf, usiłował wstać.

–Miałaś broń – powiedział. – Co się z nią stało?

–Jest w samochodzie. Chyba.

–Dlaczego ona chce nas zabić? – spytała Annette Golding, z trudem chwytając powietrze.

–Bo wie, po co tu jestem – odparł Rittersdorf. – Przyleciałem na ten księżyc, aby ją zamordować. – Wydawał się zupełnie opanowany. – Do jutra rana jedno z nas będzie martwe. Albo ona, albo ja. – Najwyraźniej już podjął decyzję.

Nad ich głowami rozległ się ryk retrorakiety. Był to kolejny statek i Gabriel Baines poczuł nadzieję. Może mieli szansę uciec od doktor Rittersdorf, która najpewniej była obłąkana. Nawet jeżeli to był statek pełen Terran. Jasne było bowiem, że doktor Rittersdorf działała pod wpływem własnych dzikich impulsów, bez oficjalnego upoważnienia. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Nad nimi rozjarzył się płomień. Noc stała się biała i wszystko, nawet małe kamyczki na ziemi, uwidoczniło się z niesłychaną ostrością. Rozbity statek pana Rittersdorfa, martwy Mans i jego opuszczony czołg, spalony doszczętnie samochód Gabriela Bainesa i sto metrów dalej ogromny, kipiący lej, gdzie eksplodował pocisk. A między drzewami z prawej strony dostrzegł dwie ludzkie postacie – Mary Rittersdorf i kogoś jeszcze, o kim mówił galaretniak. Teraz zobaczył także samego Ganimedejczyka,

który znalazł schronienie obok wraku statku. W świetle płomienia był to makabryczny widok, więc Baines stłumił pragnienie wybuchnięcia głośnym śmiechem.

–Czy to terrański statek wojenny? – spytała Annette Golding.

–Nie – odparł Rittersdorf. – Spójrz na królika na jego burcie.

–Królik? – Jej oczy rozszerzyły się. – Czy to naprawdę żywe króliki? Czy jest coś takiego?

–Nie – myśli galaretniaka dotarły do Gabriela Bainesa. Z widocznym żalem Ganimedejczyk stwierdził: – Ta zjawa to Bunny Hentman, szukający pana, panie Rittersdorf. Jak pan pesymistycznie przewidział, łatwo było zgadnąć, że jest na Alfie III M2. Opuścił Brahe City niedługo po tym, gdy pan wyjechał z Terry. Odbieram te myśli z jego mózgu – wyjaśnił. – Oczywiście do tej pory o tym nie wiedziałem, będąc w stanie zarodka.

„Nic nie rozumiem – powiedział do siebie Gabriel Baines. – Kto to jest Bunny Hentman, na litość boską? Królicze bóstwo? I dlaczego szuka Rittersdorfa?” Właściwie nie był nawet pewien, kim był Rittersdorf. Mężem Mary Rittersdorf? Jej bratem? Cała sytuacja mieszała mu się w głowie i zapragnął wrócić do Adolville, na stanowiska obronne, przygotowywane latami przez jego klan na wypadek podobnych paskudnych sytuacji. „Na pewno jesteśmy zgubieni – stwierdził. – Oni wszyscy działają przeciwko nam. Mansowie, doktor Rittersdorf, potężny statek z króliczym totemem wymalowanym na boku i, gdzieś w pobliżu, wojska terrańskie, czekające, by wkroczyć do akcji... Jakie mamy szansę? – W jego sercu zapłonęła iskierka defetyzmu. – Czy zmieni się ona w płomień?” – pomyślał ponuro. Pochylił się nad Annette Golding, która siedziała, próbując strząsnąć antytermiczną pianę z ramion, i powiedział:

–Żegnaj.

–Dokąd idziesz, Gabe? – Spojrzała na niego dużymi, ciemnymi oczami.

–A jakie, do cholery, ma to znaczenie? – rzekł gorzko. Nie mieli tutaj żadnych szans; w świetle płomienia stanowili idealny cel dla doktor Rittersdorf i jej lasera, broni, z której zabiła już żołnierza Mansów.

Podniósł się chwiejnie, otrząsając się z piany jak mokry pies.

–Odchodzę – poinformował Annette, lecz od razu zrobiło mu się przykro. Z jej powodu, nie z powodu własnej śmierci. – Chciałbym móc coś dla ciebie zrobić – powiedział impulsywnie. – Ale ta kobieta jest szalona. I wiem o tym z pierwszej ręki.

–Och – odezwała się Annette i kiwnęła głową. – Więc nie poszło ci najlepiej? Ten twój plan, który jej dotyczył. – Ukradkiem spojrzała na Rittersdorfa.

–„Najlepiej”, powiedziałaś? – Roześmiał się. To było naprawdę zabawne. – Przypomnij mi, żebym ci to kiedyś opowiedział. – Pochylił się i pocałował ją. Twarz Annette, śliska i wilgotna od piany, musnęła jego policzek. Potem wyprostował się i odszedł. W świetle lśniącego jeszcze płomienia widział wszystko wyraźnie.

Szedł, czekając, aż dosięgnie go snop lasera. Blask był tak jasny, że bezwiednie przymknął oczy. Zezując na boki, szedł krok po kroku bez wyraźnego celu... „Dlaczego jeszcze nie strzeliła? Zaraz pewnie to zrobi. – Wiedział i pragnął, by stało się to jak najszybciej. – Śmierć z rąk tej kobiety to odpowiedni los dla Pare” – pomyślał z ironią.

Jakiś cień zagroził mu drogę. Otworzył oczy. Trzy postacie i wszystkie znajome. Stał twarzą w twarz z Sarah Apostoles, Omarem Diamondem i Ignatzem Ledeburem, trojgiem ostatnich wizjonerów na tym księżycu albo, gdyby to ująć w inny sposób, trojgiem największych dziwaków spośród wszystkich klanów. „Co oni tutaj robią? Za pomocą lewitacji, teleportacji, czy czegoś innego, w każdym razie dotarli tutaj dzięki neomagii”. – Na ich widok poczuł jedynie irytację. Sytuacja była wystarczająco zagmatwana i bez nich.

–Zło stawia czoło złu – zaintonował sentencjonalnie Ignatz Ledebur. – Ale nasi przyjaciele ocaleją. W nas pokładaj swoją wiarę, Gabe. Zobaczysz, że już niedługo zostaniesz przeniesiony w bezpieczne miejsce za pomocą psychopompy. – Wyciągnął rękę do Bainesa. Jego twarz zmieniła się.

–Nie mnie – odezwał się Baines. – Annette Golding, jej pomóżcie. – Wydało mu się nagle, jakby zdjęto z niego cały ciężar bycia Pare. Pierwszy raz w życiu zrobił coś, by uratować kogoś innego, a nie siebie.

–Ona także zostanie ocalona – zapewniła go Sarah Apostoles. – Dzięki tej samej sile.

Nad ich głowami ryczały silniki ogromnego statku z wymalowanym królikiem. Pojazd opuszczał się powoli. Schodził do lądowania.

Stojący obok Mary Dan Mageboom z CIA powiedział:

–Słyszałaś, co mówił galaretniak; na statku jest komik telewizyjny Bunny Hentman, którego nazwisko znajduje się na naszej głównej liście poszukiwanych. – Poruszony, szarpał się za gardło, najwyraźniej szukając przekaźnika interkomu, łączącego go z potężną stacją CIA na pokładzie jednego z pobliskich terrańskich statków.

–Słyszałam także i to, że nie jesteś człowiekiem, ale symulakronem – rzekła Mary.

–Człowiek, słowiek, co za różnica – mruknął Mageboom. Znalazł mikrofon i, zupełnie ją ignorując, zaczął mówić do niego, informując przełożonych, że w końcu odnalazł się Bunny Hentman. „I to wszystko – pomyślała Mary – na podstawie jednej wypowiedzi ganimedejskiego grzyba”. Łatwowierność CIA przechodziła jej wszelkie wyobrażenia. Ale jednak to mogła być prawda. Nie ulegało wątpliwości, że Hentman znajduje się na pokładzie statku, na którego burcie widniał charakterystyczny symbol królika, znany wszystkim widzom telewizyjnego show.

Przypomniała sobie ohydny epizod, gdy zwróciła się do organizacji Hentmana, starając się za wszelką cenę uzyskać dla Chucka pracę scenarzysty. Zgrabny, zręczny interesik – nigdy tego nie zapomni. Umowa, jak to eufemistycznie nazwali. „Sprośne skunksy” – pomyślała, obserwując lądujący statek, podobny do przerośniętej piłki futbolowej.

–Otrzymałem polecenie – odezwał się nagle Mageboom – bym zbliżył się do tego statku i spróbował aresztować Bunny’ego. – Podniósł się.

Zaskoczona, patrzyła, jak biegnie w kierunku pojazdu. „Czy powinnam mu na to pozwolić? – zapytała się w duchu. – Właściwie dlaczego nie?” – zdecydowała i opuściła laser. Nie miała nic przeciwko Mageboomowi, bez względu na to, czy był symulakronem czy człowiekiem. W każdym razie, jak na wszystkich pracowników CIA, których spotkała w ciągu wielu lat życia z Chuckiem, Dan był wyjątkowo nieudolny. „Chuck! – Od razu skupiła na nim swoją uwagę. – Przebyłeś długą drogę, kochanie – pomyślała – i to tylko po to, by wyrównać dług. Czy warto było? Ale znalazłeś też nową kobietę. Ciekawe, jak będzie ci się podobała schizofreniczka polimorficzna w roli kochanki”. Wycelowała laser i strzeliła.

Nieprzyjemne białe światło płomienia nagle zgasło i znowu zapadła ciemność. Przez chwilę Mary nie wiedziała, co się stało, a potem zrozumiała, że teraz, kiedy statek już wylądował, iluminacja była zbędna. Po to zestrzelili płomień. Woleli od tej chwili ciemność od światła, jak niektóre fotofobiczne uciekające za szafę.

Nie wiedziała, czy jej strzał dosięgnął Chucka. „Do diabła z tym” – pomyślała

skonstruowana i wściekła. A potem poczuła strach. W końcu to ona była w niebezpieczeństwie. Chuck stał się mordercą. Była świadoma tego, że przybył, aby ją zabić. Jego obecność na księżycu potwierdziła to, co z profesjonalną wnikliwością od dawna podejrzewała. Dotarło do niej, że przecież podczas podróży i pierwszych dni na Alfie III M2 to właśnie Chuck mógł być operatorem symulakrona Magebooma. Ale dlaczego czekał, dlaczego nie zrobił tego od razu? Najważniejsze, że teraz symulakron kierowano z Terry. Taka była procedura; Chuck wielokrotnie jej to tłumaczył.

„Powinnam się stąd wydostać – powiedziała do siebie – zanim mnie zabije. Dokąd mogę pójść? Wielkie statki wojenne nie mogą wkroczyć do akcji, bo uniemożliwia to tarcza założona przez tych lunatyków i maniaków. Chociaż ciągle jeszcze próbują się przez nią przebić”. Teraz, kiedy Mageboom odszedł, nie mogła za jego pośrednictwem połączyć się z krążownikami. „Chciałabym być z powrotem na Ziemi – powiedziała do siebie żałośnie. – Ten cały projekt wypadł fatalnie. To szaleństwo; Chuck i ja próbujący pozabijać się nawzajem. Jak mogło się zdarzyć coś tak ohydneho i psychopatycznego? Myślałam, że uda nam się żyć w separacji... Czy po rozwodzie nie mam prawa tego oczekiwać? Nigdy nie powinnam była skłaniać Boba Alfsona do robienia czasowych zdjęć Chucka i tej dziewczyny – pomyślała. – Pewnie ten fakt go tak rozwścieczył”. Teraz było już za późno. Nie tylko miała te zdjęcia, ale jeszcze wykorzystywała je w sądzie. Były dostępne w aktach publicznych, więc każdy człowiek o chorobliwej ciekawości mógł je ożywić i bawić się, oglądając, jak Chuck i ta cizia Trieste uprawiają miłość.

„*In hoc signo vinces*, kochanie. Chuck – pomyślała – chciałabym się poddać. Chciałabym z tego wyjść, przez wzgląd na siebie, jeżeli nie na ciebie. Czy nie możemy być... przyjaciółmi?”

Były to raczej płonne nadzieje.

Coś dziwnego wypełzło na widnokrąg. Patrzyła, dziwiąc się jego ogromowi. Rzecz była zbyt nadzwyczajna, by mogła stanowić dzieło człowieka. Gwiazdy jakby zmatowiały i częściowo przygasły w tym miejscu, a rzecz, czymkolwiek była, zaczęła przybierać prawie zrozumiały kształt.

Była to ogromna jaszczurka i Mary nagle pojęła, czego jest świadkiem. Była to schizofreniczna projekcja, część pierwotnego świata doświadczonego przez zaawansowanych psychopatów. Coś bardzo typowego dla Alf III M2. Tylko dlaczego ona to widziała?

„Czy schizofrenik lub kilku działających razem, mogłoby skoordynować swoje psychopatyczne postrzeganie z talentem psionicznym? Dziwaczny pomysł” – stwierdziła nerwowo, mając nadzieję, że tak nie jest. Bo jeżeli opanowali tę umiejętność podczas dwudziestopięcioletniej wolności, byłoby to zgubne.

Przypomniała sobie hebefrenika, którego spotkała w Gandhitown, tego, którego może słusznie nazywali świętym, Ignatza Ledebura. Prócz brudu zobaczyła w nim coś więcej – orzeźwiająca i trochę przerażającą aurę nadnaturalnych zdolności skierowanych Bóg jeden wie gdzie. W każdym razie w końcu ją zafascynował.

Jaszczurka – uderzająco realna – przeciągnęła się, wyciągając szyję i otworzyła pysk, z którego buchnęła zjawia podobna do ognistej kuli, rozświetlając tę część nieba. Kula uniosła się do góry, jakby pod wpływem atmosfery. Mary odetchnęła z ulgą – przynajmniej wznosiła się, a nie opadała. Była jednak pełna obaw; widok był niesamowity. Za bardzo jej to przypominało tajemnicze sekwencje prześladowających ją snów. Doświadczyła ich, ale nigdy nie starała się analizować nawet w głębi duszy. A tym bardziej dyskutować o nich z kimkolwiek, z żadnym psychiatrą. Boże uchronaj.

Ognista kula przestała się wznosić i podzieliła się na świetliste smugi. Zorze sunęły w dół i, ku jej przerażeniu, nagle zadrżały, jakby czyjąś ręką uformowane w ogromne słowa. Słowa zawierały przesłanie. W sensie dosłownym. A przesłanie to, z czego zdała sobie sprawę ze zgrozą i zakłopotaniem, skierowane było do niej. Brzmiało ono:

DOKTOR RITTERSDORF

PROSZĘ UNIKNAĆ ROZLEWU KRWI

A

POZWOLIMY PANI ODEJŚĆ

A potem mniejszymi błyszczącymi literami, jakby dopisanymi po namyśle:

ŚWIĘTY TRIUMWIRAT

„Postradali zmysły – powiedziała do siebie Mary Rittersdorf, czując, że histeryczny śmiech wzbiera jej w gardle. – To nie ja szukam rozlewu krwi, to Chuck! Dlaczego, na miłość boską, mnie się czepiają? Jeżeli jesteście tacy święci, powinniście dostrzec coś tak oczywistego”. Ale potem zdała sobie sprawę, że może to nie jest takie całkiem oczywiste. Strzeliła do Chucka, a przedtem zabiła żołnierza Mansów, uciekającego do swego czołgu. Więc może jej świadomość, jej intencje, nie były wcale takie czyste.

Pojawiły się kolejne słowa:

PROSZĘ ODPOWIEDZIEĆ

–Dobry Boże – zaprotestowała. – Jak?

Trudno było oczekiwać, że swoją odpowiedź wypisze ogniem na niebie. Nie była triumwiratem hebefreników, świętych psychopatów. „To po prostu straszne – powiedziała do siebie. – Groteska, którą muszę ścierpieć. I jeżeli mam ich słuchać, wierzyć im, to jestem w jakiś sposób winna, odpowiedzialna za wrogość istniejącą między mną a Chuckiem. A nie jestem”.

W okolicy statku Bunny’ego Hentmana błysnął czerwony snop lasera. To Dan Mageboom, symulakron CIA, agent terenowy, walczył z nim. Zastanawiała się, jak mu idzie. Pewnie średnio, znając CIA. W każdym razie życzyła mu szczęścia.

Ciekawa była, czy dla niego także Święty Triumwirat przygotował jakieś instrukcje. Mageboom mógł otrzymać pomoc, ale sam czynnie zaangażował się we frontalny atak na statek Hentmana, strzelając z uczuciem, które teraz wydawało się jej nieludzkim poświęceniem. „Może być symulakronem, bo właściwie nim jest – powiedziała do siebie – ale nie można o nim powiedzieć, że jest tchórzem. A wszyscy pozostali? Ja sama, Chuck i ta jego dziewczyna, galaretniak w swym czołgu, każdy z nas jest teraz przygwożdżony strachem, kierowany zwierzęcym instynktem

przetrwania”. Tylko Dan Mageboom, symulakron, przeszedł do ofensywy, a przecież – przynajmniej tak to wyglądało – jego atak na statek Hentmana, skazany był z góry na niepowodzenie.

Nowe, błyszczące, ogromne słowa pojawiły się na niebie. I, dzięki Bogu, tym razem nie były skierowane konkretnie do niej – oszczędzono jej kolejnego upokorzenia.

ZANIECHAJCIE WOJEN I

KOCHAJCIE SIĘ

NAWZAJEM

„W porządku – zgodziła się Mary Rittersdorf. – Może ja zacznę. Pokocham mojego eks-męża Chucka, który przybył tu, aby mnie zabić? Może być, jak na początek?”

Czerwone błyski lasera obok statku Hentmana przybrały na intensywności. Symulakron odmówił zastosowania się do Wielkiego Ostrzeżenia. Kontynuował swoją daremną, ale ze wszech miar rycerską walkę.

Pierwszy raz w życiu Mary Rittersdorf w pełni kogoś podziwiała.

Od momentu pojawienia się statku Bunny’ego Hentmana galaretniak stał się niespokojny. Jego myśli, docierające do Chucka Rittersdorfa, przesycone były strachem.

–Odbieram upiornie zniekształcone zrozumienie ostatnich wypadków. Emanuje ono ze statku Hentmana. On i jego personel, w szczególności kilku Alfańczyków, wyśnili sobie teorię, która stawia pana w samym środku fikcyjnej konspiracji przeciwko nim.
– Galaretniak zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Wysłali szalupę.

–Po co? – spytał Chuck, czując, jak serce zaczyna mu bić mocniej.

–Zdjęcie zrobione podczas działania płomienia wykazało pańską obecność tutaj. Szalupa wylądowuje i zostanie pan aresztowany, to nieuniknione.

Gramoląc się na równe nogi, Chuck rzekł do Annette Golding: – Spróbuję uciec, zostać tutaj.

Zaczął biec, nie wiedząc właściwie dokąd, po prostu kuśtykał po nierównej powierzchni, jak mógł najszybciej.

Tymczasem statek Hentmana wylądował. Chuck, biegnąc, zdał sobie sprawę z dziwnego zjawiska: obok pojazdu zapalały się, w formie nikłych błyskawic, czerwone smugi lasera. Ktoś podjął ostrą walkę ze statkiem, gdy tylko otwarto właz.

Zastanawiał się, kto. Na pewno nie Mary. Jeden z klanów na księżycu? Może Mansowie. Ale czy oni nie mieli za dużo roboty z utrzymaniem tarczy ochronnej nad Da Vinci Heights? Tym bardziej że nie używali staromodnych laserów. Wyglądało to raczej na CIA.

Najprawdopodobniej Mageboom. Symulakron otrzymał polecenie walki ze statkiem Hentmana. I jako maszyna zrobił to.

„Mansowie – pomyślał – walczą z Terra. Mageboom reprezentujący CIA, zajęty jest strzelaniną z Hentmanem. Moja była żona Mary walczy przeciwko mnie. A Hentman jest moim wrogiem. Logicznie, czego to dowodzi? Przecież musi być możliwe wyprowadzenie racjonalnego równania z tego barokowego ornamentu. Pewnie można je jakoś uprościć. Jeżeli Mansowie walczą z Terra i Hentman walczy z Terra, więc Mansowie i Hentman są sprzymierzeńcami. Hentman walczy przeciwko mnie, więc jestem jego wrogiem i sprzymierzeńcem Terry. Mary walczy ze mną, a ja walczę z Hentmanem, więc Mary jest sprzymierzeńcem Hentmana i wrogiem Terry. Jednak Mary prowadzi ekspedycję terrańskich psychologów czyniących dobro. Więc logicznie rzecz biorąc, Mary jest jednocześnie wrogiem i sprzymierzeńcem Terry.

To równanie było wewnętrznie sprzeczne. Było zbyt wielu uczestników walki, robiących zbyt wiele nielogicznych rzeczy lub, jak w przypadku Mary, działających na własną rękę.

Ale po chwili jego wysiłki, by wyprowadzić racjonalne równanie, przyniosły owoce. Gdy tak kuśtykał w ciemności, udało mu się wniknąć we własny dylemat. Walczył, by uratować się przed Hentmanem, współnikiem Alfańczyków i wrogiem Terry.

To by znaczyło, biorąc pod uwagę rygorystyczną i nieprzekupną logikę, że on sam był sprzymierzeńcem Terry, czy tego chciał, czy nie. Zapominając na chwilę o Mary – jej działanie nie wynikało z upoważnienia terrańskich służb – udało mu się wyraźnie zobaczyć całą sytuację. Całą jego nadzieją były terrańskie statki wojenne. Tam dopiero będzie bezpieczny i tam powinien szukać schronienia.

Ale przypomniał sobie nagle, że klany Alfy III M2 walczyły z Terra. Równanie było bardziej złożone, niż mu się to początkowo wydawało. Logicznie ujmując, gdyby był sprzymierzeńcem Terry, byłby wrogiem klanów, wrogiem Annette Golding i wszystkich na księżycu.

Przed nim zarysował się słabo jego cień. Jakieś światło, pochodzące z nieba, ulegało materializacji. Następny płomień? Odwrócił się i stanął jak wryty.

Na niebie zobaczył ogromne ogniste litery. Wiadomość skierowana była do jednej, wyróżnionej spośród wszystkich ludzi, osoby – do jego żony. „Proszę uniknąć rozlewu krwi – głosili słowa – a pozwolimy pani odejść”. Najwyraźniej była to manifestacja obłąkanej, głupiej taktyki żyjących tu psychopatów, być może zdegradowanych hebefreników z Gandhitown. Był pewien, że Mary oczywiście nie zwróci na to uwagi. Jednak jaśniejące na niebie wezwanie pomogło mu zrozumieć jeszcze jeden aspekt sprawy; klany tego księżycy widziały w Mary swojego wroga. Mary była także jego wrogiem; próbował zabić ją, a ona jego. Według logiki, czyniło

go to sprzymierzeńcem klanów, lecz jego spokrewnienie z Terrą ukazywało go jako wroga Alfya III M2. Nie było więc sposobu, by uniknąć konkluzji całej linii logicznego rozumowania. Wniosek był żalony. Chuck był jednocześnie sprzymierzeńcem i wrogiem klanów Alfya III M2. Był jednocześnie za i przeciwko nim.

W tym punkcie się poddał. Zaniechał używania logiki. Odwrócił się i znowu zaczął biec. Stare przysłowie, efekt medytacji uczonych królów-wojowników starożytnych Indii, brzmiące: „Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”, w tej sytuacji nie znalazło zastosowania. I to by było na tyle.

Nisko nad jego głową coś zabrzęczało i ryknął sztucznie wzmocniony głos:

–Rittersdorf, stój! Zatrzymaj się, albo zabijemy cię na miejscu! – Głos grzmiał i odbijał się echem od ziemi. Dochodził do niego z czegoś, o czym wiedział, że jest szalupą Hentmana. Jak przewidział galaretniak, znaleźli go.

Zatrzymał się bez tchu.

Szalupa wisiała w powietrzu na wysokości dziesięciu stóp. Metalowa drabinka opadła z hałasem na dół i jeszcze raz głos rozkazał:

–Włóż na drabinkę, Rittersdorf! Bez rozglądania się i bez ociągania!

W mrokach nocy, rozjaśnianych jedynie błyszczącymi znakami na sobie, magnezowa drabinka chwiała się lekko jak ogniwo łączące go z Wszechmogącym.

Chuck Rittersdorf chwycił ją i ze ściśniętym sercem zaczął się wspinać. Chwilę później znalazł się w kabinie. Dwóch Terran o dzikich oczach, z laserami w rękach, stanęło naprzeciw niego. „Płatne zbiry Bunny’ego Hentmana” – pomyślał. Jednym z nich był Gerald Feld.

Drabinka została wciągnięta i szalupa, najszybciej jak to było możliwe, pognęła w stronę statku macierzystego.

–Ocaliliśmy ci życie – powiedział Feld. – Ta kobieta, twoja była żona, rozerwałaby cię na strzępy, gdybyś tam został.

–I co z tego? – spytał Chuck.

–To, że płacimy dobrem za zło. A czego ci więcej trzeba? Nie licz, że udało ci się wytrącić Bunny’ego z równowagi. Jest zbyt wielkim człowiekiem, by nie umiał sobie poradzić z tym wszystkim. W końcu zawsze może wyemigrować do imperium alfańskiego. – Feld spróbował się uśmiechnąć, jakby ta myśl wydała mu się szczególnie zabawna. Z punktu widzenia Hentmana znaczyło to, że sprawy nie szły znowu tak źle; zawsze istniało jakieś wyjście.

W burcie statku macierzystego otworzył się luk i szalupa została wessana do kanału wiodącego do wewnętrznego lądowiska.

Kiedy otworzono włazy, Chuck Rittersdorf znalazł się twarzą w twarz z Bunnym Hentmanem, który otarł czoło i powiedział:

–Jakiś szaleniec nas atakuje. Sądząc ze sposobu walki, to któryś z tutejszych psychopatów. – Statek zadrżał. – Widzisz? – rzekł Hentman z wściekłością. – Atakuje nas z broni ręcznej. – Machnął ręką na Chucka i dodał: – Chodź ze mną, Rittersdorf, chciałbym z tobą porozmawiać. Od cholery było z nami nieporozumień, ale myślę, że ciągle możemy to jakoś rozwiązać, prawda?

–Między nami – poprawił Chuck machinalnie.

Hentman poprowadził go wąskim korytarzem, a Chuck posłusznie szedł za nim. Jak dotąd nie pojawił się nikt z laserem wymierzonym w niego, ale i tak był posłuszny. Taki ktoś potencjalnie istniał – Chuck był przecież więźniem organizacji.

Korytarzem, tuż przed nimi, przeszła ubrana tylko w szorty dziewczyna, paląca w zamyśleniu papierosa. Wydała mu się znajoma. Kiedy zniknęła za drzwiami, skojarzył ją sobie. To była Patty Weaver. Opuszczając Układ Słoneczny, Hentman był wystarczająco zapobiegliwy, by zabrać ze sobą przynajmniej jedną kochankę.

–Tutaj – powiedział Hentman, otwierając jakieś drzwi.

Weszli do wnętrza małej pustej kabiny. Bunny zamknął drzwi i natychmiast zaczął niezmordowanie, z wściekłością chodzić w tę i z powrotem. Milczał z zatroskaną miną. Statek ciągle drżał od trafiających w niego ciosów. Raz światło w kabinie przygasło, ale wkrótce rozjaśniło się ponownie. Hentman spojrzał w górę, po czym podjął przerwany chód.

–Rittersdorf – odezwał się w końcu. – Nie miałem wyboru, musiałem przejść... – Rozległo się pukanie. – Jezu – rzekł Hentman zniecierpliwiony i kopnięciem otworzył drzwi. – Ach, to ty. – Na zewnątrz, ubrana teraz w rozchełstaną bawełnianą koszulę, stała Patty Weaver.

–Chciałam tylko przeprosić pana Rittersdorfa za... – zaczęła.

–Idź stąd – odparł Hentman, zamykając drzwi, i odwrócił się do Chucka. – Musiałem przejść do Alfańczyków. – Wielkie krople potu, podobne do wosku, pojawiły się na jego czole; nie zadał sobie trudu, aby je wytrzeć. – Czy mnie za to potępiasz? Moja kariera została zrujnowana przez to cholerne CIA, straciłem wszystko na Ziemi. Gdybym mógł...

–Ona ma duże piersi – powiedział Chuck.

–Kto? Patty? A, tak. – Hentman kiwnął głową. – To te operacje, których dokonują w Hollywood i Nowym Jorku. Teraz to bardziej świr niż zwykle powiększanie. I ona też to sobie zrobiła. Nadawałaby się świetnie do mojego show, jak zresztą mnóstwo innych rzeczy. Szkoda, że nie wyszły. Wiesz, o mały włos, a nie udałoby mi się wydostać z Brahe City. Myśleli, że mnie mają, ale oczywiście w porę zostałem ostrzeżony. W ostatniej chwili. – Spojrzał na Chucka oskarżycielsko. – Gdyby mi się udało oddać Alfę III M2 Alfańczykom, to byłbym w domu. Mógłbym resztę życia przeżyć w spokoju. Jeżeli nie, jeżeli Terra przejmie ten księżyc, wtedy przepadłem. – Wyglądał na zmęczonego i przygnębionego. Opowiadanie tego wszystkiego Chuckowi było ponad jego siły. – Co ty na to? – mruknął. – No, odezwij się.

–Hmm – odparł Chuck.

–Czy to jest komentarz?

–Jeżeli sobie wyobrażasz, że mam jakiś wpływ na moją byłą żonę i jej meldunki dla TERPLAN-u w tej...

–Nie – przyznał Hentman, kiwając głową. – Wiem, że nie możesz wpłynąć na jej decyzje odnośnie do tej operacji. Widzieliśmy was wszystkich tam, na dole, kiedy strzelaliście do siebie. Jak zwierzęta. – Patrzył groźnie; siły mu powracały. – Zabiłeś mojego szwagra, Cherigana, gotów jesteś zabić własną żonę... Jak wy żyjecie, ludzie? Nigdy czegoś takiego nie widziałem. I to, że zdradziłeś CIA miejsce mojego pobytu.

–Opuścił nas Duch Święty – rzekł Chuck.

–Chluśnięty? Co za Chluśnięty? – Hentman zmarszczył nos.

–Tutaj trwa wojna, powiedzmy. Może to trochę tłumaczy. Jeżeli nie... – Wzruszył ramionami. Nic innego nie mógł zrobić.

–Ta niezła dziewczyna, z którą leżałeś tam na dole – rzekł Hentman – gdy twoja „była” do was strzelała, to jakiś miejscowy czubek, prawda? Z jednej z tutejszych osad? – Przyjrzał się uważnie Chuckowi.

–Można to tak nazwać – odparł Chuck z niechęcią. Określenie nie bardzo mu się podobało.

–Możesz się dzięki niej dostać do ich międzyklanowego najwyższego zgromadzenia?

–Tak sędzę.

–To jedyne rozsądne rozwiązanie – powiedział Hentman. – Z tym twoim cholernym

Chluśniętym, czy bez niego, ktokolwiek by to był. Musisz dostać się do zgromadzenia i sprawić, by wysłuchali twoich propozycji. – Hentman wyprostował się, jego głos brzmiał stanowczo. – Powiedz im, że muszą poprosić Alfańczyków, by tu wkroczyli i zajęli księżyc. Tak, by legalnie stał się terytorium alfańskim, zgodnie z tymi cholernymi protokołami czy czymś takim. Niezupełnie to rozumiem, ale Alfańczycy i Terra się z nimi liczą. W zamian za to... – Nie spuszczał wzroku z twarzy Chucka, wręcz świdrował go swoimi małymi oczkami. – Alfańczycy zagwarantują klanom swobody obywatelskie. Żadnej hospitalizacji. Żadnej terapii. Nie będziecie traktowani jak półgłówki, będziecie traktowani jako *bona fide* koloniści, posiadający ziemię, zaangażowani w produkcję i handel. Możecie robić wszystko.

–Nie mów „wy” – rzekł Chuck. – Nie należę do żadnego klanu.

–Myślisz, że na to pójda?

–Ja... naprawdę nie wiem.

–Oczywiście, że nie wiesz. Byłeś tu wcześniej z tym symulakronem CIA. Nasz agent, nasz informator w CIA, opowiadał nam o każdym twoim ruchu.

„Więc miałem rację, w CIA był człowiek Hentmana – pomyślał. – W CIA nastąpiła infiltracja”.

–Nie patrz tak na mnie – powiedział Hentman. – Oni też mają swoje wtyki, nie zapominaj o tym. Niestety, nigdy nie udało mi się dojść, kto to jest. Czasami myślę, że to Jeny Feld, czasami że Dark. W każdym razie, dzięki naszemu człowiekowi w CIA dowiedzieliśmy się, że jesteś zawieszony i, naturalnie, zwolniliśmy cię. Co mogłeś dla nas zrobić, nie mogąc dotrzeć do swojej żony tu, na Alfie III M2? Bądźmy rozsądni.

–A dzięki ich agentowi w waszej organizacji... – rzekł Chuck.

–Taa, w ciągu kilku minut CIA wiedziało, że odrzuciłem pomysł scenariusza i zwolniłem cię. Więc ruszyli do akcji, myśląc, że mnie mają... Czytałeś w gazetach. Ale, oczywiście dzięki mojemu agentowi u nich wiedziałem, że ostrze opadnie, więc uciekłem. A ich kapuś w mojej organizacji powiadomił ich, że opuściłem Terrę, lecz nie wiedział dokładnie, gdzie jestem. Tylko Cherigan i Feld wiedzieli. – I dodał filozoficznie: – Może nigdy się nie dowiem, kogo ma tutaj CIA. Teraz to już nieistotne. Większość moich interesów z Alfańczykami utrzymuję w tajemnicy nawet przed członkami mojego personelu, ponieważ oczywiście wiem, że jesteśmy śledzeni od samego początku. – Potrząsnął głową. – Co za bałagan.

–Kto jest waszym agentem w CIA? – zapytał Chuck.

–Jack Elwood. – Hentman uśmiechnął się krzywo, ubawiony reakcją Chucka. – A jak myślisz, dlaczego Elwood zgodził się dać ci ten drogi statek pościgowy? Kazałem mu

to zrobić. Chciałem, żebyś się tu dostał. Jak myślisz, dlaczego Elwood tak silnie nalegał, abyś przejął kontrolę nad symulakronem Mageboomem? To była moja strategia. Od samego początku. A teraz posłuchamy twoich informacji o tych klanach tutaj i o tym, w którą stronę skoczą.

Oto w jaki sposób Hentman i jego pisarze byli w stanie stworzyć ten tak zwany „scenariusz telewizyjny”, który tak bardzo zapadł w jego pamięć; manewrowali Chuckiem za pośrednictwem Elwooda.

Ale to nie była cała prawda. Elwood mógł poinformować organizację Hentmana o istnieniu symulakrona, o tym, kto nim kierował i dokąd był wysłany, ale to było wszystko. Elwood nie znał całej reszty.

–Rzeczywiście, byłem tu wcześniej – rzekł Chuck. – I spędziłem tu trochę czasu, ale tylko w osadzie Hebów, która nie jest reprezentatywna. Hebowie nie są na szczycie hierarchii. Nie posiadam żadnej wiedzy o Pare, ani Mansach, a to oni tutaj rządzą. – Przypomniał sobie analizę sytuacyjną przeprowadzoną przez Mary i jej opis zawilego systemu kastowego na Alfie III M2. Okazał się on słuszny.

Hentman spojrzał na niego uważnie i zapytał:

–Spróbujesz? Ja osobiście wierzę, że wszyscy mogą coś na tym zyskać. Gdybym był na ich miejscu, poszedłbym na to. Ich jedyną i alternatywą jest przymusowa hospitalizacja, nic poza tym. Wóz albo przewóz, powiedz im tak. A ja powiem ci, co ty będziesz z tego miał.

. – Bardzo proszę – rzekł Chuck. – Proszę szeroko omówić ten aspekt.

–Jeżeli to zrobisz, polecimy Elwoodowi przyjąć cię z powrotem do CIA.

Chuck milczał.

–No nieźle – poskarżył się Hentman żałośnie. – Nawet nie raczysz odpowiedzieć. W porządku, widziałeś na statku Patty Weaver. Polecimy jej być miłą dla ciebie. Wiesz, co mam na myśli? – Przez jego twarz przebiegł pospieszny, nerwowy skurcz, imitujący mrugnięcie okiem.

–Nie – powiedział Chuck dobitnie.

–W porządku, Rittersdorf – westchnął Hentman. – Zależy nam na tym. Jeżeli zrobisz to, rzucimy ci wielką kość. – Głęboko, ze świstem zaczerpnął powietrze. – Zagwarantujemy ci zabicie żony. Najbardziej bezbolesne i najszybciej, jak to możliwe. A to znaczy bardzo bezbolesnie... i bardzo szybko.

Po chwili, która obu im wydała się wiekiem, Chuck Rittersdorf odezwał się:

–Nie wiem, dlaczego sądzisz, że tak bardzo zależy mi na śmierci Mary. – Udało mu się wytrzymać przenikliwe spojrzenie Hentmana, ale kosztowało go to wiele wysiłku.

–Jak powiedziałem... Widziałem was tam na dole, strzelających do siebie na oślep. Jak para dzikich zwierząt.

–Broniłem się.

–Jasne – rzekł Hentman, kiwając głową ironicznie.

–Nic z tego, co widziałeś na tym księżycu, a co dotyczyło mnie i Mary, nie zasugerowałyby ci tego. Musiałeś przybyć na Alfę III M2 z tym przekonaniem. I nie dowiedziałeś się tego od Elwooda, bo on też nie mógł o tym wiedzieć. Więc oszczędź sobie trudu opowiadania mi, jak to Elwood...

–W porządku – powiedział Hentman szorstko. – Elwood sprzedał nam tę część o tobie i symulakronie. W ten sposób dostała się ona do scenariusza. Ale nie powiem ci, skąd wzięłem resztę. To tyle.

–Nie pójdę do zgromadzenia – rzekł Chuck. – To tyle.

–Co za różnica, skąd się dowiedziałem? – zapytał Hentman wściekły. – Powiedzmy, że wiem i już. Nie prosiłem o tę informację. Dopisaliśmy to po namyśle, bo kiedy ona mi powiedziała... – przerwał nagle.

–Joan Trieste – domyślił się Chuck. Pracowała z galaretniakiem, więc musiało tak być. I teraz to wyszło na jaw. Ale miało już bardzo małe znaczenie.

–Nie zmieniamy teraz tematu. Chcesz, żeby zabito twoją żonę, czy nie? Zdecyduj się. – Hentman czekał niecierpliwie.

–Nie – odparł Chuck i potrząsnął głową. Nie miał żadnych wątpliwości. Rozwiązanie leżało w zasięgu ręki i on je odrzucił. Ostatecznie.

–Chcesz to zrobić sam. – Hentman wzdrygnął się.

–Nie – odpowiedział. – Twoja oferta przypomniała mi Cherigana, zabijającego galaretniaka w korytarzu obok mojego mieszkania. Stało mi to wszystko przed oczami, tylko zamiast Lorda Runninga Clama ginęła Mary. – „I – pomyślał – to wcale nie jest to, czego chcę. Myliłem się. Ten straszny wypadek czegoś mnie nauczył; nie mogę tego zapomnieć. Ale w takim razie czego chcę od Mary?” Sam już nie wiedział i być może nigdy się nie dowie.

Hentman wyciągnął chusteczkę, by otrzeć czoło.

–Co za numer. Ty i twoje życie rodzinne niweczyście plany dwóch interukładowych imperiów, Terry i Alfya. Czy myślałeś o tym w ten sposób? Poddaję się. Szczerze mówiąc, jestem zadowolony, że powiedziałeś „nie”, ale nie mogliśmy znaleźć nic innego do zaoferowania. Sądziłem, że tego właśnie najbardziej pragniesz.

–Też tak sądziłem – odparł Chuck. „Chyba muszę ją jeszcze kochać – zdał sobie sprawę. – Kobietę, która zamordowała żołnierza Mansów, gdy próbował uciec do swego czołgu. Ale, przynajmniej w jej mniemaniu, broniła się, a kto mógłby ją za to winić?”

Znowu ktoś zapukał do drzwi.

–Panie Hentman?

Bunny otworzył i do środka wbiegł Gerald Feld.

–Panie Hentman, odebraliśmy telepatyczną emanację myśli ganimedejskiego galaretniaka. Jest gdzieś w pobliżu statku. Chce, żebyśmy go wpuścili do środka, by mógł... – spojrzał na Chucka. – By mógł być z panem Rittersdorfem. Mówi, że chce „podzielić jego los”. – Feld skrzywił się. – Bardzo się o niego niepokoi. – Wyglądał na zniechęconego.

–Wpuść tego cholernego stwora – polecił Hentman, a gdy Feld wyszedł, zwrócił się do Chucka: – Szczerze mówiąc, nie wiem, co z tobą będzie, Rittersdorf. Za co się nie weźmiesz, wszystko jest nie tak. Twoje małżeństwo, twoja praca, podróż tutaj, a potem zmiana planów. Co ci właściwie zostało?

–Myślę, że może Duch Święty powrócił – odparł Chuck. Na to przynajmniej wyglądało w świetle faktu, że w ostatniej chwili zmienił zdanie co do oferty Hentmana dotyczącej Mary.

–Kim jest ten ktoś, o którym ciągle mówisz?

–DUCH ŚWIĘTY – odpowiedział Chuck. – To jest w każdym człowieku, ale trudno to znaleźć.

–Dlaczego nie wypełnisz tej próżni czymś szlachetnym? Na przykład ratowaniem tych świrów na Alfie III M2 przed przymusową hospitalizacją? Przynajmniej wrócisz do CIA. Na statku jest kilku wpływowych alfańskich wojskowych... W ciągu paru godzin mogą sprowadzić oficjalne samoloty, by przejąć w formalne, legalne posiadanie ten księżyc. Oczywiście terrańskie statki wojskowe są gdzieś w pobliżu, ale to tylko dowodzi, jak bardzo ostrożnie trzeba przeprowadzać tę operację. Jesteś byłym pracownikiem CIA, powinieneś więc umieć opracować jakąś sztuczkę.

–Zastanawiam się, jakby to było – powiedział Chuck – spędzić resztę życia na tym

księżycu w otoczeniu samych psychopatów.

–A jak, do diabła, wcześniej żyłeś? Choćby twoje stosunki z rąbniętą małżonką. Dasz sobie radę, znajdziesz sobie do łóżka jakąś cizję, która zastąpi ci Mary. W świetle naszego płomienia mieliśmy szczególnie dobry widok... A ta, z którą leżałeś... Niezła jest, prawda?

–Annette Golding – odparł Chuck. – Schizofrenia polimorficzna.

–Tak, i co z tego? Nie jest dobra?

Po chwili wahania Chuck odrzekł:

–Może. – Nie był lekarzem, ale Annette Golding nie wyglądała na bardzo chorą. Właściwie nawet mniej niż Mary. Ale oczywiście lepiej znał Mary, chociaż mimo wszystko...

Rozległo się stukanie do drzwi. Wszedł Gerald Feld i powiedział:

–Panie Hentman, zidentyfikowaliśmy tego faceta, który nas atakuje. To symulakron CIA, Daniel Mageboom. Ganimedejski galaretniak udzielił nam tej informacji za wpuszczenie do środka. Mam pomysł...

–Myślę, że to ten sam pomysł, który i mnie przyszedł do głowy – przerwał Hentman. – A jeżeli nie, to nie chcę go słyszeć. – Odwrócił się do Chucka. – Skontaktujemy się z Jackiem Elwoodem w biurze CIA w San Francisco i zmusimy go, żeby odsunął obecnego operatora symulakrona. Kimkolwiek by był. Zapewne to Petrie. – Najwyraźniej Hentman był całkowicie obeznany w funkcjonowaniu biura CIA w San Francisco. – Potem, Rittersdorf, ty przejmiesz kontrolę nad robotem. Dopóki utrzymamy kontakt radiowy, można to będzie zrobić. A potrzebujemy nie tak znowu wiele informacji. Jedyne: jak go włączyć i wyłączyć. Zrobisz to dla nas?

–Pytanie: dlaczego? – rzekł Chuck.

–B-bo rozwali nam generator i wszyscy wylecimy w powietrze

–odparł Hentman, mrugając niecierpliwie. – Rozwali nas tym swoim cholernym laserem. Dlatego masz to zrobić.

–Ciebie też zabije – wyjaśnił Feld Chuckowi. – I ciebie, i ganimedejskiego galaretniaka.

–Jeżeli pójde do najwyższego zgromadzenia tego księżyca – powiedział Chuck – i poproszę ich, aby szukali protekcji u Alfańczyków, i oni to zrobią, może to wywołać kolejną wielką wojnę między Alfą i Terra.

–Cholera, wcale nie tak – stwierdził z emfazą Hentman. – Ten księżyc tak bardzo nie obchodzi Terry. „Operacja Pięćdziesiąt Minut” to nic ważnego, takie tam... Uwierz mi, mam mnóstwo kontaktów, więc wiem. Gdyby ich to tak bardzo interesowało, wkroczyliby tu wiele lat temu, prawda?

–Bunny ma rację – dodał Feld. – Nasz człowiek w TERPLAN-ie sprawdził to już dawno temu.

–Myślę, że to niezłe wyjaśnienie – rzekł Chuck.

Hentman i Feld wyraźnie odetchnęli z ulgą.

–Zabiorę ten projekt do Adolfville – powiedział Chuck. – I jeżeli uda mi się skłonić klany do zwołania narady zgromadzenia, przedstawię im go. Ale zrobię to na swój własny sposób.

–To znaczy jak? – zapytał nerwowo Hentman.

–Nie jestem dobrym mówcą – odparł. – Moją pracą jest programowanie symulakronów, i właśnie symulakron pójdzie na zgromadzenie. Mogę go nafaszerować lepszymi argumentami, niż te, które sam bym wysunął. – „A poza tym – ale tego już nie powiedział głośno – będę znacznie bardziej bezpieczny na statku Hentmana, niż w Adolfville. Armia terrańska może lada chwila przebić się przez tarczę Mansów i wtedy pierwszą rzeczą będzie oblawa na zgromadzenie. Ktoś stojący wówczas przed zgromadzeniem i proponujący lojalność wobec imperium alfańskiego łatwo się będzie odróżniał. Propozycja pochodząca od obywatela Terry zostałaby odebrana, słusznie zresztą, jako akt zdrady. To, co robię – pomyślał zaskoczony Chuck – to wiązanie swojego losu z losem Hentmana”.

Uspokajające myśli galaretniaka dotarły do jego głowy:

–Dokonał pan słusznego wyboru, panie Rittersdorf. Najpierw decyzja, by zostawić żonę przy życiu, i teraz to. W najgorszym wypadku staniemy się poddanymi imperium Alfya. A myślę, że uda nam się przeżyć pod ich rządami.

Hentman, który również odbierał te myśli, uśmiechnął się szeroko.

–Uściśnijmy sobie dłonie – powiedział, wyciągając rękę do Chucka.

Umowa o zdradzie, na dobre i złe, została zawarta.

Masywny czołg Mansów z jarzącymi się światłami, brzęcząc i grzechocząc, zahamował koło Gabriela Bainesa i Annette Golding. Wieżyczka czołgu odskoczyła i Mans ostrożnie wyjrzał ze środka.

W otaczających ich ciemnościach nie pojawił się snop lasera. „Może – pomyślał z nadzieją Gabriel Baines – pani Rittersdorf zastosowała się do prośby Świętego Triumwiratu, do ognistych liter na niebie”. W każdym razie była to szansa dla niego i Annette, jak obiecał im Ignatz Ledebur.

Szybko poderwał się na równe nogi, szarpnął Annette i oboje pognali wzdłuż boku czołgu. Mans pomógł im wejść do środka i we trójkę wpadli do ciasnej kabiny, dyszący i spoceni.

„Uciekliśmy” – powiedział Gabriel do siebie. Ale nie czuł radości. Nie wydawało mu się to takie ważne. Wobec tego wszystkiego, co działo się dookoła, ich dokonanie wydawało się bardzo małe. Wyciągnął rękę i objął Annette.

–Wy jesteście Golding i Baines – zapytał Mans – członkowie zgromadzenia?

–Tak – odparła Annette.

–Howard Straw kazał mi was złapać – wyjaśnił Mans, siadając za pulpitem sterowniczym czołgu i uruchamiając silniki. – Mam was zawieźć do Adolfville. Odbędzie się następne spotkanie zgromadzenia i Straw nalega, żebyście tam byli.

„Więc uratował nas tylko dlatego, że potrzebne mu nasze głosy – pomyślał Baines. – I tylko dlatego Mary Rittersdorf nie zdąży powystrzelać nas w pierwszych blaskach wschodzącego słońca”.

Zabawne. Ale jednocześnie było to świadectwo więzi łączącej klany. Więzi, która obejmowała nawet skromnych Hebów.

W Adolfville kierowca czołgu wysadził ich przed wielkim, kamiennym budynkiem. Gabriel Baines i Annette Golding weszli po dobrze znanych schodach. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Zmęczeni i brudni od leżenia godzinami pod nocnym niebem nie byli w nastroju do banalnych pogawędek.

„Potrzebujemy sześciu godzin snu, a nie spotkania” – pomyślał Baines. Zastanawiał się, jaka była przyczyna zwołania zgromadzenia. Czy mieszkańcy księżycy nie podjęli już decyzji, rozpoczynając walkę z najeźdźcami terrańskimi? Co jeszcze można było zrobić?

W przedpokoju gabinetu-zgromadzenia Gabriel Baines zatrzymał się.

–Chyba wyślę przodem mojego symulakrona – powiedział do Annette. Specjalnym kluczem otworzył schowek, w którym legalnie przechowywał robota, dzieło Mansów. Nigdy nic nie wiadomo, a głupio by było stracić życie teraz, gdy umknęli doktor Rittersdorf.

–Och, wy Pare... – rzekła Annette ze smutnym rozbawieniem.

Po uruchomieniu mechanizmu symulakron Gabriela Bainesa wytoczył się z warkotem.

–Dzień dobry panu – odezwał się, a potem skinął głową Annette. – Panno Golding. Pójdę teraz, proszę pana. – Z uprzejmie pochyloną głową przeszedł koło nich i wszedł energicznie do gabinetu zgromadzenia.

–Czy to wszystko niczego cię nie nauczyło? – zapytała Annette, gdy czekali na powrót symulakrona.

–Na przykład?

–Że nie ma obrony doskonałej. Nie istnieje żadne zabezpieczenie. Życ to znaczy być narażonym; istotą życia jest ryzyko.

–Cóż – odparł Baines przebiegle. – Możesz zrobić tyle, na ile cię stać, żeby się ochronić. Nigdy nie zaszkodzi spróbować. – To także była część życia i każda istota podejmowała takie próby.

Symulakron Bainesa wrócił i złożył formalny raport:

–Szkodliwych gazów nie ma, nie ma też substancji trujących w dzbanie z wodą, otworów strzelniczych na karabiny maszynowe i maszyn piekielnych. Nie istnieje też zagrożenie wyładowań elektrycznych. Może pan bezpiecznie wejść. – Przerwał, kończąc swe zadanie, a potem, ku ich zaskoczeniu, zaklekotał ponownie: – Jednakże chciałbym zwrócić pańską uwagę na fakt, iż w gabinecie jest jeszcze jeden symulakron. I wcale mi się on nie podoba, ani trochę.

–Kto to? – spytał Baines zdumiony. Tylko Pare mógł tak drzeć o własną skórę, by używać drogiego symulakrona. A Gabriel był oczywiście jedynym delegatem Pare.

–Osoba, która zwraca się do zgromadzenia – odparł jego symulakron. – Ten, na którego czekali delegaci, to symulakron.

Gabriel Baines otworzył drzwi i zerknął do środka. Wszyscy już byli, a przed nimi stał towarzysz Mary Rittersdorf, Daniel Mageboom, który według galaretniaka był z

nią podczas ataku laserowego na jej męża, Mansa, Gabriela i Annette Golding. Co tutaj robił Mageboom? Symulakron Bainesa był naprawdę dobry. Łamiąc wszystkie swoje zasady, Gabriel wszedł i zajął miejsce.

„A teraz – pomyślał – doktor Rittersdorf powystrzela nas wszystkich z ukrycia”.

–Pozwólcie mi wyjaśnić – powiedział symulakron Mageboom, gdy tylko Gabriel Baines i Annette Golding usiedli. – Jestem Chuck Rittersdorf; w tej chwili kieruję robotem z pobliskiego miejsca na Alfie III M2, z międzyukładowego statku Bunny’ego Hentmana. Pewnie go widzieliście, na burcie ma wymalowanego królika.

–Więc nie występujesz już z ramienia terrańskiej agencji wywiadowczej CIA – przerwał ostro Howard Straw.

–To prawda – przyznał symulakron Mageboom. – Odebraliśmy CIA kontrolę nad tym urządzeniem, przynajmniej na jakiś czas. Oto propozycja, która, jak sądzimy, daje największe nadzieje Alfie III M2 i wszystkim klanom. Musicie, formalnie, jako najwyższa władza księżyca, natychmiast zwrócić się do Alfańczyków z prośbą o wkroczenie i aneksję. Dadzą wam gwarancję traktowania was jako prawowitych osadników, a nie pacjentów szpitala. Ta aneksja może zostać dokonana za pośrednictwem statku Hentmana, na którym w tej chwili dwóch wysoko postawionych urzędników alfańskich...

Symulakron bryknął, wstrząsnął się i zamilkł.

–Coś z nim nie tak – powiedział Howard Straw, wstając.

Nagle symulakron Mageboom rzekł:

–Wrzzzzzzzzzzzzmus. Kadraks an wigdum nidd. – Jego ramiona zatrzepotały. Opuścił głowę i oświadczył: – lb srwn dngmmmm kunk!

Howard Straw gapił się na niego blady i spięty, a potem odwrócił się do Gabriela Bainesa:

–CIA z Terry włączyła się do hiperprzestrzeni transmisji ze statku Hentmana. – Klepnął się po udzie, znalazł broń, podniósł ją i zamknął jedno oko, by dokładnie wycelować.

–To, co powiedziałem przed chwilą – stwierdził symulakron Mageboom, jakby zmienionym, bardziej podniesionym głosem – powinno zostać zlekceważone jako zdradziecka pułapka i absurdalne złudzenie. Szukanie tak zwanej ochrony u imperium alfańskiego będzie dla Alfie III M2 czynem samobójczym z jednego powodu...

Jednym strzałem Howard Straw unieszkodliwił symulakrona; Mageboom, z przedziurawionym obwodem mózgowym, z trzaskiem zwałił się na ziemię. Zapadła cisza. Symulakron nie poruszył się więcej. Po chwili Straw odłożył broń i usiadł roztrzęsiony.

–CIA w San Francisco odebrało kontrolę Rittersdorfowi – powiedział. Niepotrzebnie, ponieważ wszyscy delegaci, nawet Heb Jacob Simion, śledzili uważnie bieg wypadków.

–Wszyscy jednak słyszeliśmy propozycję Rittersdorfa. A to jest teraz istotne. – Obrzucił spojrzeniem zebranych. – Powinniśmy działać szybko. Przeprowadźmy głosowanie.

–Głosuję za przyjęciem propozycji Rittersdorfa – powiedział Gabriel Baines, myśląc, że gdyby nie szybka reakcja Howarda Strawa, symulakron – ponownie pod kontrolą Terry – mógłby eksplodować i pozabijać ich wszystkich.

–Popieram – rzekła Annette Golding z ogromnym napięciem. Gdy podliczono głosy, okazało się, że wszyscy, oprócz Dino Wattersa, nędznego Depa, opowiedzieli się za aneksją.

–Co się z tobą dzieje? – zapytał Depa zaciekawiony Gabriel Baines.

Głuchym, pełnym rozpaczy głosem Dep odpowiedział:

–Myślę, że to beznadziejne. Terrańskie statki wojskowe są za blisko. Tarcze Mansów nie wytrzymają zbyt długo. Albo nie uda się nam skontaktować ze statkiem Hentmana. Coś na pewno się nam nie uda i Terranie powyrzynają nas do ostatniego. A w dodatku boli mnie żołądek od czasu, kiedy się pierwszy raz zebraliśmy – dodał. – Chyba mam raka.

Howard Straw przycisnął guzik i wszedł lokaj zgromadzenia, niosąc przenośny nadajnik radiowy.

–Skontaktuję się teraz ze statkiem Hentmana – oświadczył Mans i włączył nadajnik.

Rozmawiając drogą radiową z resztkami swojej organizacji z Terry, Bunny Hentman podniósł głowę i z nieprzytomnym wyrazem twarzy powiedział do Chucka Rittersdorfa:

–Powiem ci, co się stało. Ten facet, London, szef oddziału CIA w San Francisco i przełożony Elwooda, załapał, co się dzieje. Przez cały czas śledził działalność symulakrona. Już wcześniej musiał coś podejrzewać. Nic dziwnego, skoro uciekłem.

–Czy Elwoodnie żyje? – zapytał Chuck.

–Żyje, tylko trzymają go w twierdzy CIA. I Petri ponownie przejął kontrolę. – Hentman podniósł się, chwilowo przerywając połączenie z Terra. – Ale nie odzyskali kontroli nad Mageboomem na czas.

–Jesteś optymistą – rzekł Chuck.

–Słuchaj – powiedział energicznie Hentman. – Ci ludzie w Adolfville mogą być z prawnego i medycznego punktu widzenia obłąkani, ale nie są głupi. Szczególnie, jeżeli w grę wchodzi ich własne bezpieczeństwo. Słyszeli propozycję i założę się, że teraz głosują za jej przyjęciem. Niedługo powinniśmy dostać od nich sygnał radiowy. – Spojrzał na zegarek. – Powiedzmy, w ciągu piętnastu minut. – Odwrócił się do Felda. – Sprowadź tych dwóch Alfańczyków, aby mogli natychmiast przekazać wiadomość swojej flotyli.

Feld wybiegł z kabiny.

Po chwili Hentman westchnął i usiadł. Zapalił grube, zielone terrańskie cygaro, odchylił się do tyłu z rękami na karku i przyglądał Chuckowi.

Mijały minuty.

–Czy imperium Alfy potrzebuje komików telewizyjnych? – zapytał Chuck.

Hentman uśmiechnął się szeroko.

–Tak samo jak programistów symulakronów.

Dziesięć minut później nadszedł odzew z Adolfville.

–W porządku. – Hentman pokiwał głową, słuchając Strawa. Spojrzał na Chucka. – Gdzie są ci dwaj Alfańczycy? Nadszedł czas. Teraz albo nigdy.

–Jestem tutaj, reprezentuję Imperium. – To był Alfańczyk RBX 303. Klekocząc, wszedł do pokoju z Feldem i drugim Alfańczykiem. – Chciałbym ich jeszcze raz zapewnić, że nie będą traktowani jako chorzy, lecz jako pełnoprawni osadnicy. Bardzo się niepokoiimy, aby było to jasne. Polityka alfańska zawsze była...

–Przestań tu wygłaszać mowy – przerwał zjadliwie Hentman. – Wezwij wasze statki wojenne. – Wręczył mikrofon nadajnika Alfańczykowi. Podniósł się zmęczony i stanął obok Chucka. – Jezu – mruknął. – W takiej chwili chce streszczać ich politykę zagraniczną z ostatnich sześćdziesięciu lat. – Potrząsnął głową. Jego cygaro zgasło, więc z wielką uwagą zapalił je ponownie. – Cóż, myślę, że teraz otrzymamy odpowiedź na nasze ostatnie pytanie.

–Jakie? – zapytał Chuck.

–Czy imperium alfańskie potrzebuje komików telewizyjnych i programistów symulakronów – odparł Hentman. Odszedł i stanął, przysłuchując się, jak RBX 303 próbuje za pomocą nadajnika zmobilizować alfańska flotyllę wojenną. Wypuszczając kłęby dymu z cygara, z rękami w kieszeniach, czekał w milczeniu. Z wyrazu twarzy nikt nie domyśliłby się, że jego życie zależy od tej rozmowy.

Drżąc z nerwowego podniecenia, Gerald Feld podszedł do Chucka i zapytał:

–Gdzie jest teraz frau doktor?

–Pewnie krąży gdzieś na dole – odparł Chuck. Statek Hentmana, znajdujący się na orbicie o apogeum wynoszącym trzysta mil, nie miał już bezpośredniego kontaktu z wydarzeniami zachodzącymi na powierzchni księżycy. Pozostało jedynie połączenie radiowe.

–Nie możemy nic zrobić, prawda? – spytał Feld. – A pewnie by chciała.

–Moja żona, a raczej była żona, jest przerażona – odparł Chuck. – Jest sama na wrogim księżycu, czekając na flotę terrańską, która prawdopodobnie nigdy nie przybędzie. Chociaż ona oczywiście o tym nie wie. – Nie czuł do Mary nienawiści; odeszła teraz, jak wiele innych rzeczy.

–Żal ci jej? – zapytał Jerry Feld.

–Ja... chciałbym po prostu, żeby nigdy nie wydarzyło się to wszystko, co zaszło między nami. Chodziło mi o jej stosunek do mnie. Ale mam przeczucie, że w jakiś niejasny sposób, którego nie mogę pojąć, Mary i ja mogliśmy jeszcze być razem. Może za wiele lat...

–Ma te krążowniki. Udało się – oświadczył Hentman rozpromieniony. – Teraz możemy się tak kompletnie, absolutnie spić, że... Sami sobie dopowiedzcie. Mam tutaj, na statku, flaszkę. Nic, rozumiecie, nic więcej od nas nie chcą. Zrobiliśmy co trzeba. Teraz jesteśmy obywatelami imperium Alfy. Niedługo dostaniemy tabliczki rejestracyjne zamiast nazwisk, ale ja nie mam nic przeciwko temu.

Kończąc swą rozmowę z Feldem, Chuck rzekł:

–Może kiedyś, gdy to nie będzie miało znaczenia, będę mógł spojrzeć w przeszłość i zrozumieć, co powinienem był zrobić, by uniknąć tego wszystkiego, tej strzelaniny między mną i Mary. – „W tym obcym świecie – dodał do siebie – który nie jest domem żadnego z nas, a gdzie przynajmniej ja będę musiał pozostać na resztę życia. Może Mary także” – pomyślał ponuro. A do Hentmana powiedział: – Gratulacje.

–Dziękuję – odparł Hentman i dodał: – Gratulacje, Jerry.

–Dziękuję – rzekł Feld i zwrócił się do Chucka: – Gratulacje i wszystkiego najlepszego, kolego Alfańczyku.

–Zastanawiam się – rzekł znów Chuck do Hentmana – czy mógłbyś mi oddać pewną przysługę.

–Na przykład? Dla ciebie wszystko.

–Pożycz mi szalupę. Chciałbym dostać się na powierzchnię księżycy – odparł.

–Po co? Przecież jesteś tu bezpieczniejszy.

–Chcę poszukać mojej żony.

–Jesteś pewien, że tego chcesz? – zapytał Hentman, unosząc brwi. – Taak, widzę to po twojej minie. Cóż, może ci się uda ją namówić, by pozostała z tobą na Alfie III M2. Jeżeli klany nie będą miały nic przeciwko temu. Jeśli władze alfańskie...

–Daj mu szalupę – przerwał Feld. – W tej chwili jest naprawdę nieszczęśliwy. Nie ma czasu słuchać twoich kazań.

–W porządku. – Hentman kiwnął głową. – Dam ci ją, możesz wylądować tam i narobić wszelkich głupstw, na które masz ochotę. Umywam od tego ręce. Oczywiście mam nadzieję, że wrócisz, ale jeżeli nie... – wzruszył ramionami. – Tak to już jest.

–I weź ze sobą galaretniaka – dodał Feld.

Pół godziny później Chuck zaparkował szalupę w gąszczu rachitycznych drzewek przypominających topole i stanął, oddychając świeżym powietrzem i nasłuchując. Nie dochodził go żaden dźwięk. To był jedynie mały świątek, na którym nie działo się nic szczególnego. Zgromadzenie głośowało, klan starał się utrzymać ekran ochronny, kilkoro ludzi czekało w strachu i drzeniu, ale prawdopodobnie większość mieszkańców, jak na przykład Hebowie z Gandhitown, nadal wiodła swój żywot, tak jakby nic się nie stało.

–Czy jestem obłąkany? – spytał Lorda Runninga Clama, który tkwił kilka metrów dalej przy nawilżaczu (galaretniak był wodolubny). – Czy to najgorsza z najgorszych rzeczy, jakie mogłem zrobić?

–Obłąkany – odparł galaretniak – jest, mówiąc dokładnie, terminem prawnym; ja uważam cię za bardzo głupiego. Myślę, że Mary Rittersdorf prawdopodobnie zamorduje cię, jak tylko cię zobaczy. Ale może chcesz tego. Jesteś zmęczony; to była długa walka. Te nielegalne stymulanty, których ci dostarczałem, nie pomogły. Myślę, że tylko jeszcze bardziej cię zmęczyły i straciłeś nadzieję. Może powinieneś

się udać do Cotton Mather Estates.

–Co to jest? – Już sama nazwa sprawiła, że cofnął się z odrazą.

–Osada Depów. Spróbuj tam pożyć w nie kończących się ciemnościach przygnębia. – Ton myśli galaretniaka brzmiał strofująco.

–Dzięki – odparł Chuck z sarkazmem.

–Twojej żony nie ma w pobliżu – stwierdził Lord Running Clam. – W każdym razie nie odbieram jej myśli. Chodźmy stąd.

–W porządku. – Ciężkim krokiem wrócił do szalupy. Przechodząc za nim przez otwarty właz, galaretniak pomyślał:

–Zawsze istnieje taka ewentualność, że Mary nie żyje. Musisz i to wziąć pod uwagę.

–Nie żyje? – Zatrzymał się, wpatrując się w galaretniaka. – Jak to?

–Jak powiedziałeś Hentmanowi, na tym księżycu trwa wojna. Zdarzyły się wypadki śmiertelne, ale jak dotąd bardzo niewiele. Jednak prawdopodobieństwo przypadkowej śmierci jest tutaj ogromne. Ostatnim razem widzieliśmy Mary Rittersdorf podczas piekielnie nudnych projekcji na niebie. Uważam więc, że powinniśmy się udać do Gandhitown, gdzie żyje główny pomysłodawca Triumwiratu, Ignatz Ledebur. Pośród swego brudu, kotów, żon i dzieci.

–Ale Ledebur nigdy...

–Psychoza jest psychozą – odparł galaretniak. – A fanatykowi nigdy nie można naprawdę ufać.

–To prawda – zgodził się Chuck.

Wkrótce byli w drodze do Gandhitown.

–Zastanawiam się – pomyślał galaretniak – co byłoby dla ciebie lepsze. Może, z pewnego punktu widzenia, lepiej by było, gdyby ona już...

–To moja sprawa – przerwał mu Chuck.

–Przepraszam – pomyślał galaretniak ze skruchą, ale zadzwięczało w tym przygnębie. Nie mógł przestać myśleć o problemach Chucka.

Szalupa brzęczała cicho. Żaden z nich nie odezwał się już więcej.

Ignatz Ledebur kładąc kupkę gotowanego makaronu przed czarnymi pyskami swych

dwóch owiec, spojrzął w górę i zobaczył szalupę, lądującą na drodze obok jego chałupy. Skończył karmić owce i powoli wrócił do chaty. Koty wszystkich ras i kolorów szły za nim pełne nadziei. Rzucił rondel do zlewu na stos zaskorupałych naczyń i zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na kobietę śpiącą na deskach stołu. Potem podniósł kota i wyniósł go na zewnątrz. Przybycie statku oczywiście nie było dla niego niespodzianką. Widział go już w swojej wizji. Nie czuł niepokoju, ale z drugiej strony błogo mu też nie było.

Dwie postacie – jedna ludzka, a druga żółta i amorficzna – wyłoniły się z szalupy. Zaczęły z trudem przedzierać się przez sterty śmieci w kierunku Ledebura.

–Ucieszycie się pewnie, jak się dowiecie, że właśnie w tej chwili alfańskie statki wojenne przygotowują się do lądowania na naszym księżycu – powiedział zamiast powitania. Uśmiechnął się, ale mężczyzna stojący przed nim nie odwzajemnił uśmiechu. – Więc wasza misja – mówił dalej, lekko zmieszany – przyniosła wspaniałe rezultaty. – Nie podobała mu się wrogość, której nie krył mężczyzna. Dzięki swojemu mistycznemu, psionicznemu postrzeganiu ujrzał gniew, błyszczący złowieszczą czerwoną chmurą wokół jego głowy.

–Gdzie jest Mary Rittersdorf? – zapytał Chuck. – Moja żona. Wiesz? – Odwrócił się do ganimedejskiego galaretniaka. – Czy on wie?

–Tak, panie Rittersdorf – pomyślał Lord Running Clam.

–Twoja żona – odparł Ignatz Ledebur, kiwając głową – robiła tutaj straszne rzeczy. Zabiła już jednego Mansa i...

–Jeżeli nie zaprowadzisz mnie do mojej żony – powiedział Chuck Rittersdorf – posiekam cię na kawałki. – Zrobił krok w kierunku świętego.

Głaszcząc kota, Ledebur odparł:

–Proszę wejść i napić się herbaty.

Zanim spostrzegł, znalazł się na ziemi; w uszach mu dzwoniło, a w głowie tępo pulsowało. Z trudem usiadł, zastanawiając się, co się stało.

–Pan Rittersdorf pana uderzył – wyjaśnił galaretniak. – Cios trafił tuż nad kością policzkową.

–Nigdy więcej – powiedział Ledebur ochryple. Poczul w ustach smak krwi, splunął i zaczął masować głowę. Żadna wizja nie ostrzegła go przed tym. – Jest w domu – powiedział po chwili.

Chuck Rittersdorf minął go, podszedł do drzwi, otworzył je i zniknął w środku.

Ledeburowi w końcu udało się podźwignąć. Przez moment stał chwiejnie, a potem powlókł się za nim. Wewnątrz, w dużym pokoju zatrzymał się przy drzwiach, podczas gdy koty skakały, biegały i walczyły ze sobą.

Przy łóżku Chuck Rittersdorf pochylił się nad śpiącą kobietą.

–Mary – powiedział. – Obudź się. – Wyciągnął rękę i potrząsnął jej nagim, zwisającym bezwładnie ramieniem. – Zabieraj swoje rzeczy. Idziemy stąd. Wstawaj.

Kobieta w łóżku Ignatza Ledebura, zastępująca mu Elsie, powoli otworzyła oczy, spojrzała Chuckowi prosto w twarz, a potem gwałtownie zamrugła, całkowicie już przytomna. Odruchowo usiadła, po czym chwyciła porozrzucane koce, otulając się w nie i zakrywając małe, sterczące piersi.

Galaretniak przezornie nie wchodził do środka.

–Chuck – odezwała się Mary Rittersdorf niskim, stanowczym głosem. – Przyszłam do tego domu z własnej woli, więc...

Chwycił ją za nadgarstki i wyciągnął z łóżka. Koce rozwinęły się, kubek z kawą upadł na podłogę i wystygły płyn się wylał. Dwa koty, które weszły pod łóżko, wybiegły stamtąd przestraszone, w trakcie ucieczki mijając Ignatza Ledebura.

Szczupła i naga Mary Rittersdorf stała naprzeciw swego męża.

–Nie możesz już decydować o tym, co mi wolno robić, a czego nie – powiedziała. Sięgnęła po swe ubranie, podniosła bluzkę i zaczęła grzebać w poszukiwaniu dalszych części garderoby. Starła się za wszelką cenę opanować. Ubierała się starannie, a z wyrazu jej twarzy można było sądzić, że jest w tym pokoju sama.

–Alfańskie statki kontrolują teraz ten rejon – rzekł Chuck. – Mansowie gotowi są podnieść swoją tarczę, by ich wpuścić. To wszystko wydarzyło się, kiedy ty spałaś w... – skinął głową w kierunku Ignatza Ledebura -...w łóżku tego tutaj indywiduum.

–A ty jesteś z nimi? – lodowato zapytała Mary, zapinając bluzkę. – Po co pytam. Oczywiście, że tak. Alfańczycy wzięli w posiadanie księżyc, a ty będziesz żyć pod ich panowaniem. – Ubrała się i zaczęła powoli, z namaszczeniem czesać włosy.

–Jeżeli zostaniesz tutaj – powiedział Chuck – na Alfie III M2, i nie wrócisz na Terrę...

–Zostanę tutaj – odparła Mary. – Sama już na to wpadłam. – Wskazała na Ignatza Ledebura. – Nie z nim; to był tylko chwilowy kaprys i on o tym wiedział. Nie mogłabym mieszkać w Gandhitown. Nie wyobrażam sobie życia tutaj.

–Więc gdzie?

–Myślę, że w Da Vinci Heights – odparła.

–Dlaczego? – Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

–Nie jestem pewna, jeszcze tam nie byłam. Ale podziwiam Mansów, podziwiam nawet tego, którego zabiłam. Nigdy się nie bał, nawet wtedy, kiedy uciekał do swojego czołgu, wiedząc, że i tak mu się nie uda. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego, nigdy.

–Mansowie nigdy cię nie wpuszczą – stwierdził.

–Ależ tak – z przekonaniem kiwnęła głową. – Na pewno to zrobią.

Chuck odwrócił się i spojrzał pytająco na Ignatza Ledebura.

–Twoja żona ma rację – przyznał Ledebur. – Obydwaj, i ty, i ja, straciliśmy tę kobietę. Nikt jej nie może przy sobie długo utrzymać. To nie leży w jej naturze. – Odwrócił się i z ponurą miną wyszedł z chaty. Podszedł do miejsca, gdzie czekał galaretniak.

–Myślę, że udowodniłeś panu Rittersdorfowi, iż jest to niemożliwe – pomyślał Lord Running Clam.

W drzwiach chaty pojawił się Chuck, blady i wściekły. Minął Ignatza Ledebura, idąc w kierunku szalupy.

–Chodźmy – rzucił przez ramię do galaretniaka. Ganimedejczyk najszybciej, jak tylko potrafił, biorąc pod uwagę jego warunki fizyczne, pospieszył za nim. Obydwaj weszli do szalupy, włączyli zamknięcie za nimi i pojazd z buczeniem wzniósł się w górę w poranne niebo.

Przez chwilę Ignatz Ledebur obserwował go, a potem wrócił do chaty. Zastał Mary szukającą w lodówce czegoś, z czego można by było przyrządzić śniadanie. Razem przygotowali posiłek.

–Mansowie są w pewnym sensie bardzo brutalni – zauważył Ledebur.

Mary zaśmiała się.

–No i co z tego? – spytała ironicznie.

Nie znalazł na to odpowiedzi. Jego świętość i jego widzenia nie pomogły mu ani trochę.

–Czy ta szalupa zawiezie nas do Układu Słonecznego na Terrę? – spytał Chuck po dłuższej chwili.

–Wykluczone – odparł galaretniak.

–W porządku – rzekł Chuck. – Znajdę terrański krążownik stacjonujący gdzieś w tej okolicy. Wracam na Terrę; przyjmę każdy wyrok, jaki tylko przyjdzie do głowy władzom, a potem umówię się z Joan Trieste.

–Biorąc pod uwagę fakt, iż sąd zażąda kary śmierci, trudno będzie ci się z nią spotkać – stwierdził Lord Running Clam.

–Więc co proponujesz?

–Coś, co ci się nie spodoba.

–Jednak powiedz mi. – W obecnej sytuacji nie mógł niczego zlekceważyć.

–Musisz... hm, to trochę krępujące. Postaram się to wyjaśnić. Musisz namówić swoją żonę, by poddała cię gruntownym testom psychologicznym.

–By dowiedzieć się, do której osady najbardziej bym pasował? – zdołał po chwili wykrztusić Chuck.

–Tak, właśnie o to chodzi – odparł galaretniak z wahaniem. – Nie po to, żeby stwierdzić, że jesteś psychopata, lecz by zbadać odchylenie twojej osobowości...

–Przypuśćmy, że testy nie wykażą żadnego zaburzenia, żadnej nerwicy, ukrytej psychozy, deformacji charakteru, tendencji psychopatycznych, innymi słowy niczego. Co wtedy zrobisz? – Był niemal pewien, jaki będzie rezultat badania. Nie pasował do żadnej z osad Alfry III M2. Tutaj był samotnikiem, wyrzutkiem, nie było nikogo, kto by chociaż w części był do niego podobny.

–Twoje długotrwałe pragnienie zabicia żony – powiedział galaretniak – może być symptomem ukrytej choroby umysłowej. – Starał się, by jego głos, zabrzmiał przekonywająco. Ale nie udało mu się to. – Ciągle jednak wierzę, że warto spróbować – nalegał.

–Założmy, że stworzę nową osadę – rzekł Chuck.

–Osadę składającą się z jednej osoby – dodał galaretniak.

–Muszą się tu od czasu do czasu pokazywać jacyś normalni ludzie, którzy nie posiadają żadnych zaburzeń, i dzieci, które ich jeszcze nie wykształciły. Przyjęto tutaj klasyfikowanie wszystkich jako schizofreników polimorficznych, dopóki nie dowiedzie się, że jest inaczej. To niewłaściwe. – Zastanawiał się nad tą ewentualnością, od kiedy po raz pierwszy pomyślał o pozostaniu. – Ktoś w końcu do mnie przyjdzie. To kwestia czasu.

–Chatka na kurzej nóżce w lesie – zadumał się galaretniak – i ty w środku, czekający cierpliwie, by schwytać przechodzących nieopodal. – Zachichotał. – Przepraszam, nie powinienem tego traktować tak lekko, wybacz.

Chuck nie odpowiedział, kierując szalupę w górę.

–Czy poddasz się testom, zanim założysz własną osadę? – zapytał Lord Running Clam.

–W porządku – odparł Chuck. Nie wydawało mu się to takie głupie.

–Czy sądzisz, że mimo waszej wzajemnej wrogości twoja żona może właściwie przeprowadzić testy?

–Myślę, że tak. – Testy były tylko rutynowymi czynnościami, nie wymagały interpretacji.

–Będę działał jako pośrednik między wami. Nie będziecie musieli się kontaktować, dopóki nie będą znane wyniki – zdecydował Ganimedejczyk.

–Dzięki – odparł z wdzięcznością Chuck.

–Jest jeszcze jedna możliwość. Może trochę naciągana, ale także warto wziąć ją pod uwagę – odezwał się galaretniak w zamyśleniu. – Może ona być niezwykle owocna, choć może to zabrać trochę czasu. Może uda ci się nakłonić Mary, by również poddała się testom.

Pomysł całkowicie zaskoczył Chucka. Analizując go, nie mógł dostrzec żadnej wynikającej z niego korzyści, ponieważ mieszkańcy księżycy mieli nie być poddani terapii, o tym już zdecydowano, i to w wyniku jego działań. Gdyby testy wykazały, a było to wysoce prawdopodobne, że Mary cierpi na poważne zaburzenia, to po prostu taka by pozostała. Nie zająłby się nią żaden psychiatra. Więc co miał na myśli galaretniak, mówiąc „niezwykle owocna”?

Ganimedejczyk, odbierając jego myśli, wyjaśnił:

–Przypuśćmy, że twoja żona odkryje u siebie poważne odchylenia maniakalne. Przynajmniej taka jest moja diagnoza, a myślę, że jej byłaby podobna. Gdyby zdała sobie sprawę, że jest, jak Howard Straw i ci dzicy czołgiści, Mansem, stanęłaby wobec faktu, że...

–Czy naprawdę wierzysz, że wzbudziłoby to w niej pokorę, że byłaby mniej pewna siebie? – Chuck uznał, że Galaretniak ewidentnie nie był autorytetem w sprawach ludzkiej natury, a zwłaszcza natury Mary Rittersdorf. Już nie mówiąc o tym, że u maniaka, tak jak i u Pare, zwątpienie w siebie nie istniało. Cała ich struktura

emocjonalna opierała się na uczuciu pewności.

Jakie by to było proste, gdyby naiwne wizje galaretniaka były słuszne. Gdyby osobom cierpiącym na poważne zaburzenia wystarczyło pokazać wyniki testów, by zrozumieli i zaakceptowali swoje psychologiczne deformacje. „Boże – pomyślał Chuck – jeżeli współczesna psychiatria czegoś dowiodła, to właśnie tego, że świadomość bycia chorym psychicznie, w żaden sposób nie poprawia stanu zdrowia chorego. Czy gdy lekarz mówi ci, że masz chore serce, natychmiast poprawia ci się krążenie? Bardziej prawdopodobne, że zaistnieje coś odwrotnego. Osobowość Mary, w otoczeniu podobnych jej, ustabilizowałaby się na zawsze. Jej maniakalne tendencje uzyskałyby status społeczny. Mogłaby na przykład zostać kochanką Howarda Strawa, być może nawet zastąpić go w najwyższym zgromadzeniu. W Da Vinci Heights urosłaby w siłę, kosztem innych”.

–Jednakże kiedy poproszę ją o przygotowanie ci testów, będę nalegał, by także się nim poddała. Ciągle wierzę, że może to przynieść jakąś korzyść. „Poznaj siebie” to jakiś stary terrański slogan, prawda? Pochodzi chyba jeszcze ze starożytnej Grecji. Ciągle uważam, iż poznać siebie, to znaczy znaleźć broń, dzięki której wy, gatunki nietelepatyczne, możecie przekształcić swoją psychę, jeżeli nie...

–Jeżeli nie co?

Galaretniak nie odpowiedział. Najwyraźniej sam niezupełnie wiedział.

–Daj jej testy – powiedział Chuck. – I zobaczymy. – „Zobaczymy, kto ma rację” – pomyślał. Miał nadzieję, że galaretniak.

Tej samej nocy w Da Vinci Heights Lordowi Runningowi Clamowi, po delikatnych negocjacjach, udało się namówić doktor Mary Rittersdorf, aby przebyła pełnozakresowe testy psychologiczne, a potem by przeprowadziła je na swoim mężu.

W skomplikowanym pod względem kształtu architektonicznego domu delegata Mansów, Howarda Strawa, spotkało się ich troje. Straw rozwalił się na stojącym z tyłu fotelu, rozbawiony sytuacją. Pełen rezerwy i jak zwykle pełen pogardy. Szkicował kredkami serię portretów Mary Rittersdorf. Była to tylko jedna z jego artystycznych pasji, której nie potrafił się oprzeć nawet podczas przewrotu politycznego. Typowy Mans – był na tyle wszechstronny, by trzymać wiele srok za ogon.

Mary, siedząca przy ręcznie rzeźbionym biurku Howarda Strawa, na którym rozrzucone były rezultaty testów, powiedziała:

–Trudno mi się do tego przyznać, ale to był rzeczywiście dobry pomysł. Nas dwoje poddających się tym standardowym testom na psychoprofil. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczona wynikami. Pozostawię je bez komentarza. Najwyraźniej powinnam się poddawać tego typu badaniom regularnie... – Siedziała smukła i giętka, ubrana w

biały golf i tytańskie metalizowane spodnie marynarskie. Wyciągnęła papierosa i zapaliła go drżącymi rękami. – Nie masz śladu zaburzeń umysłowych, kochanie – powiedziała do Chucka siedzącego naprzeciw niej. – Wesółych świąt – dodała i uśmiechnęła się lodowato.

–A co z tobą? – spytał Chuck ze ściśniętym gardłem.

–Nie jestem wcale Mansem. Właściwie jestem kimś zupełnie przeciwnym, odkryłam u siebie ślady zaawansowanej depresji. Jestem Depem. – Ciągłe się uśmiechała. Był to dla niej wyraźny wysiłek i Chuck podziwiał ją za to. – Moje ciągle naciskanie na ciebie, związane z twoimi dochodami, to wszystko było spowodowane depresją, przeczuciem, że coś na pewno się nie uda, że musimy coś zrobić albo będziemy zgubieni. – Zapaliła następnego papierosa. – Co ty na to? – zwróciła się do Howarda Strawa.

–Chociaż tu nie zamieszkasz – odparł ze zwyczajnym dla niego brakiem zrozumienia – będziesz żyć tuż obok, w Cotton Mather Estates, z przyjemniaczką Dino Wattersem i resztą podobnych. – Zachichotał. – A niektórzy są jeszcze gorsi, sama zobaczysz. Pozwolimy ci tu zostać parę dni, ale potem będziesz musiała odejść. Nie jesteś jedną z nas. – Po czym dodał, już mniej szorstko: – Gdybyś przewidziała to, założę się, że pomyślałabyś wcześniej dwa razy, zanim zgłosiłabyś się do TERPLAN-u. – Spojrzał na nią uważnie.

Wzruszyła ramionami, nie odpowiadając. A potem nagle, ku zaskoczeniu wszystkich zebranych, rozplakała się.

–Boże, nie chcę żyć z tymi cholernymi Depami – wyszeptwała. – Wracam na Terrę. – A do Chucka powiedziała: – Ja mogę, w przeciwieństwie do ciebie. Nie muszę tu zostawać, by znaleźć swoje miejsce tak jak ty.

Myśli galaretniaka dotarły do Chucka:

–Teraz, gdy znasz już wyniki testów, co zamierzasz zrobić, Chuck?

–Pójdę i założę własną osadę – powiedział Chuck. – Nazwę ją Thomas Jeffersonburg. Mather był Depem, da Vinci Mansem, Adolf Hitler – Pare, Gandhi – Hebem. To będzie Thomas Jeffersonburg – osada Normów. Na razie składająca się tylko z jednej osoby, ale z wielkimi widokami na przyszłość. – „Przynajmniej problem wyboru delegata najwyższego zgromadzenia zostanie automatycznie rozwiązany” – pomyślał.

–Jesteś kompletnym głupkiem – powiedział Howard Straw obelżywie. – Nikt nigdy nie przyjdzie, by żyć z tobą. Spędzisz resztę życia w zupełnej izolacji. W ciągu sześciu tygodni sfiksujesz. Będziesz się nadawać do każdej innej osady na księżycu, oprócz tej jednej.

–Może masz rację – kiwnął głową Chuck. Ale nie był tak zupełnie pewien. Jeszcze raz pomyślał o Annette Golding. W jej przypadku nie trzeba było dużo; była zrównoważona i prawie normalna. Nie było właściwie nic, co by ją odróżniało od Chucka. Jeżeli istniała jedna taka osoba, podobnych musiało być więcej. Miał przecucie, że niezbyt długo będzie jedynym mieszkańcem Thomas Jeffersonburg. Ale nawet jeżeli tak... Przeczeka, bez względu na to, jak długo to potrwa. I na pewno otrzyma pomoc w budowie swej osady; doświadczył już, czym jest owocna współpraca z reprezentantem Pare, Gabrielem Bainesem. A to coś zwiastowało. Udało mu się z Bainesem, uda mu się i z innymi klanami, może z wyjątkiem Mansów takich jak Straw i oczywiście zdegenerowanych Hebów jak Ignatz Ledebur, którzy nie czuli odpowiedzialności wynikającej ze związków międzyludzkich.

–Czuję się fatalnie – powiedziała Mary. Jej usta drżały. – Wpadniesz mnie odwiedzić w Cotton Mather Estates, Chuck? Nie chcę być przez całe życie otoczona tymi Depami.

–Powiedziałaś...- zaczął.

–Nie mogę wrócić na Terrę. Nie po tym, co wykazały testy.

–Oczywiście – powiedział. – Będzie mi bardzo miło cię odwiedzać. – Właściwie zamierzał spędzać dużo czasu w innych osadach. Dzięki temu zapobiegnie zniszczeniu się proroctwa Howarda Strawa. Dzięki temu i nie tylko temu.

–Kiedy następnym razem się rozmnożę – pomyślał do niego galaretniak – będzie mnie już dużo i wtedy niektórzy z nas z przyjemnością zamieszkają w Thomas Jeffersonburg. I tym razem będziemy trzymać się z dala od płonących samochodów.

–Dzięki – odparł Chuck. – Będzie mi bardzo miło mieć was za towarzyszy. Wszystkich.

Howard Straw wybuchnął szyderczym śmiechem – pomysł galaretniaka rozbawił go. Nikt jednakże nie zwrócił na to uwagi. Straw wzruszył ramionami i wrócił do swoich rysunków.

Na zewnątrz ryczały retrosilniki statków podchodzących do lądowania. Długo odkładana alfańska okupacja Da Vinci Heights właśnie się zaczynała.

Chuck podniósł się, otworzył frontowe drzwi i wyszedł w mrok nocy. Przez pewien czas stał samotnie, paląc papierosa i słuchając zbliżających się dźwięków. W końcu zapadła cisza. Dużo czasu upłynie, być może on sam zejdzie już ze sceny, zanim ponownie wystartują pojazdy alfańskie. Czuł to wyraźnie, stojąc w ciemności przy drzwiach domu Howarda Strawa.

Nagle drzwi za nim się otworzyły. Jego żona (a ściślej mówiąc: była żona) wyszła na

zewnątrz i stanęła obok niego bez słowa. Razem słuchali wycia silników lądujących alfańskich statków, podziwiając ogniste smugi na niebie, każde z nich zatopione we własnych myślach.

–Chuck – odezwała się nagle Mary. – Musimy zrobić jedną ważną rzecz... Może nawet o tym nie myślałeś, ale jeżeli mamy się tu osiedlić, musimy znaleźć jakiś sposób, by sprowadzić z Terry nasze dzieci.

–To prawda. – O tym właśnie myślał. – Ale czy rzeczywiście chcesz je tu ściągnąć? – „Szczególnie Debby” – pomyślał. Dziewczynka była nadzwyczaj wrażliwa; mieszkając w tym miejscu, niewątpliwie przejęłaby pewne formy zachowania od psychopatycznej większości. To był duży problem.

–Ale jeżeli ja jestem chora... – Mary nie dokończyła zdania; nie było to konieczne. Ponieważ jasne było, że jeżeli ona była chora, Debby była już na pewno narażona na jakiś wpływ choroby umysłowej podczas ich życia rodzinnego. Jeżeli miała doznać jakiegś szkody, to pewnie już jej doznała.

Chuck rzucił papierosa w ciemność, objął żonę i przytulił do siebie. Pocałował ją w czubek głowy, chłonąc ciepło i słodki zapach jej włosów.

–Zaryzykujmy. Wystawimy dzieci na działanie tego środowiska. Być może staną się one modelem dla tutejszych dzieci... Możemy umieścić je we wspólnej szkole na Alfie III M2. Jeżeli, oczywiście, nie masz nic przeciwko temu. Co ty na to?

–W porządku – powiedziała Mary cicho. A potem, bardziej energicznie, dodała: – Chuck, czy naprawdę myślisz, że mamy szansę, ty i ja, by stworzyć nowe podstawy naszego życia... dzięki którym moglibyśmy dłużej być razem? Czy też... – machnęła ręką –...wrócimy do naszych starych podejrzeń, nienawiści i całej tej reszty?

–Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą.

–Możesz skłamać. Powiedz, że nam się uda.

–Uda się.

–Naprawdę tak myślisz? Czy kłamiesz?

–Ja...

–Powiedz, że nie kłamiesz – jej głos brzmiał błagalnie.

–Nie kłamię – odparł. – Wiem, że nam się uda. Jesteśmy oboje młodzi i otwarci, nie sztywni jak Pare czy Mansowie. Prawda?

–Prawda. – Mary zamilkła na chwilę, a potem rzekła: – Jesteś pewien, że nie wolisz tej dziewczyny Poly, tej Annette Golding, ode mnie? Tylko szczerze.

–Wolę ciebie – tym razem nie kłamał.

–A co z tą, której Alfson zrobił zdjęcie podczasowe? Ta Joan, czy jak jej tam? To znaczy... spałeś z nią przecież.

–Ale jednak wolę ciebie.

–Wytłumacz mi, dlaczego – poprosiła. – Przecież jestem chora.

–Nie wiem, jak to powiedzieć. – Nie potrafił tego w ogóle wyjaśnić; sam tego nie rozumiał. A jednak tak było.

–Życzę ci szczęścia w twojej jednoosobowej osadzie – rzekła. – Jeden człowiek i tuzin galaretniaków. – Roześmiała się. – Co to będzie za zwariowana enklawa. Tak, jestem pewna, że powinniśmy sprowadzić tutaj nasze dzieci. Zawsze myślałam, że jestem... no, wiesz, całkowicie różna od swoich pacjentów. Oni byli chorzy, a ja nie. A teraz... – zamilkła.

–Nie ma zbyt wielkiej różnicy – dokończył za nią.

–Ale ty tak się nie czujesz, prawda? Że jesteś całkowicie inny niż ja... W końcu testy wykazały, że ty jesteś zdrowy. W moim przypadku inaczej.

–To tylko jeden stopień niżej – powiedział całkiem serio. Jego działanie motywowały impulsy samobójcze, podczas gdy Mary – wrogie i mordercze. On zadowolająco rozwiązał testy, podczas gdy jej się to nie udało. Ale cóż to za różnica. Mary, tak samo jak on i jak każdy na Alfie III M2, włącznie z aroganckim reprezentantem Mansów, Howardem Strawem, dążyła do osiągnięcia równowagi psychicznej; to był naturalny odruch żywych stworzeń. „Zawsze jest jakaś nadzieja, być może nawet dla Hebów (niech ich Bóg ma w swej opiece). Chociaż szansę mają, niestety, niewielkie. My, Terranie, też mamy nikłe szansę – pomyślał. – My, którzy właśnie zostaliśmy emigrantami na Alfie III M2. A może nam się uda?”

–Doszłam właśnie do wniosku – powiedziała Mary ochryple – że cię kocham.

Wzruszyło go to.

Nagle spokój jego mózgu zakłóciły wyraźne myśli galaretniaka: – Ponieważ jest to chwila wyznań, sugeruję, aby twoja żona wyłożyła kawę na ławę, jak to było z pracą dla Bunny’ego Hentmana. – Poprawił się: – Przepraszam za określenie „kawa na ławę”, jest ono wyjątkowo niefortunne. Jednakowoż istota mojej wypowiedzi pozostaje ta sama. Pani Rittersdorf tak bardzo zależało, aby podjął pan dobrze

płatną pracę...

–Pozwól mi to wytłumaczyć – powiedziała Mary.

–Ależ proszę – zgodził się galaretniak. – A ja odezwę się tylko wtedy, jeżeli pani coś pominie.

–Miałam przelotny romans z Bunnym Hentmanem, Chuck – rzekła Mary. – Tuż przed odlotem z Terry. I to wszystko.

–Nie – zaprzeczył galaretniak. – To nie wszystko.

–Szczegóły? – zapytała wzburzona. – Czy mam powiedzieć dokładnie, kiedy i gdzie...

–To nie to. Inny aspekt pani romansu z Hentmanem.

–Dobrze. – Mary z rezygnacją kiwnęła głową. – Podczas tych czterech dni powiedziałam Bunny’emu, że będziesz chciał mnie zabić, jeżeli nie uda ci się popełnić samobójstwa. Przewidziałam to na podstawie swoich doświadczeń zawodowych. – Na chwilę zamilkła. – Nie wiem, dlaczego mu o tym powiedziałam. Może po prostu się bałam. W każdym razie musiałam się komuś zwierzyć, a z nim byłam wtedy blisko.

A więc to nie Joan. Wiedząc to, poczuł się trochę lepiej. Nie mógł winić Mary za to, co zrobiła. To i tak był cud, że nie poszła na policję. W każdym razie nie kłamała, kiedy mówiła, że go kocha. To stawiało ją w nowym świetle; nie skorzystała z okazji, aby zranić jego uczucia w trudnej chwili.

–Może na tym księżycu urodzą się nam jeszcze jakieś dzieci – powiedziała Mary. – Zupełnie jak galaretniaki... Przylecieliśmy tu i będziemy stale zwiększać swoją liczebność, aż będzie nas legion. Większość. – Zaśmiała się miękko i oparła w ciemności o Chucka, po raz pierwszy od lat.

Na niebie pojawiły się alfańskie statki, a oni milczeli, zastanawiając się, w jaki sposób sprowadzić z Terry swoje dzieci. Chuck pomyślał, że to będzie trudne, może nawet bardziej skomplikowane niż to wszystko, przez co przeszli. A może organizacja Hentmana będzie mogła im pomóc? Albo galaretniak, z tymi jego kontaktami wśród Terran i nie-Terran. Dwie wysoce prawdopodobne możliwości. A agent Hentmana w CIA, jego były szef Jack Elwood... Ale Elwood siedział teraz w więzieniu. Gdyby nawet im to nie wyszło, będą tu mieli inne dzieci. Co prawda nic nie zastąpi tych straconych, ale byłby to dobry omen, zbyt dobry, aby go przegapić.

–Czy ty mnie też kochasz? – spytała Mary z ustami tuż przy jego uchu.

–Tak – powiedział szczerze. A potem jeszcze: – Boli! – ponieważ bez ostrzeżenia

ugryzła go, niemal odrywając mu kawałek małżowiny.

To też wyglądało na omen.

Ale nie mógł jeszcze powiedzieć, jaki.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/